

P. 9786 Cht. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/289

1971



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Al. HERTZ :

MYŚLI O TELEWIZJI

Cz. MIŁOSZ :

REAKCJA

J. GIDYŃSKI :

SKAZYWANIE BEZ SĄDU

SPIS RZECZY

Aleksander Hertz:	<i>Myśli o telewizji</i>	3
Czesław Miłosz:	<i>Reakcja</i>	23
OBSERWATORIUM		
—	<i>Pogrom</i>	32
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Małe, matowe lustro</i>	33
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Rozważania o nie-świętej trójcy</i>	37
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	43
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	51
St. Bobrowski:	<i>Tragiczna śmierć Kazlauskasa</i>	56
—	<i>Kronika</i>	58
K R A J		
Józef Gidyński:	<i>Skazywanie bez sądu</i>	60
—	<i>Noty</i>	71
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
I. M. Bocheński, O.P.:	<i>Rycerz Niepokalanej w rzeczywistości</i>	73
SPRAWY I TROSKI		
Alicja Iwańska:	<i>O grupach etnicznych</i>	89
—	<i>Odznaczenia Krzyżem A.K.</i>	92
KRONIKA KULTURALNA		
Wiktor Weintraub:	<i>Po co Tadeusz Zieliński</i>	95
—	<i>Ignorancja czy niechlujstwo</i>	103
—	<i>Komunikaty</i>	104
K S I A Ź K I		
M. Broński:	<i>Przedsięwzięcie piśmiennicze</i>	106
Maria Czapska:	<i>Kronika życia i twórczości Mickiewicza</i>	109
Józef Łobodowski:	<i>Prof. Kubijowycz</i>	116
Benedykt Heydenkorn:	<i>Publikacje Ukraińców z Kanady</i>	121
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	125
—	<i>Pełny wykaz wydawnictw Biblioteki „Kultury”</i>	128
WOLNA TRYBUNA		
Z. S. Siemaszko:	<i>Odpowiedzialność i dyscyplina na autostradzie</i>	135
Zbigniew Byrski:	<i>List do Redakcji</i>	145
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	148
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	153
◆		
A. S., Sz. Laks, Sł. Mrozek, J. Ros, W. W. Soroka, A. Wołodkiewicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	154

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Październik-October

1971

INSTITUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Zdzisław Pechnik, Paryż, po raz trzeci	F. 100,00
Bezimiennie z Rose Bay, NSW (Australia)	F.6.600,00
Bezimiennie Kanady	F. 8,00
Bezimiennie z New Yorku	F. 5,50

DZIĘKUJEMY!



P. 9786 chr. Arch.

Myśli o telewizji

I

W lipcu roku 1969 miało miejsce wydarzenie, które powszechnie uznano za posiadające olbrzymie znaczenie historyczne: po raz pierwszy w swych dziejach człowiek wylądował na księżycu. Można było powątpiewać, czy koszt tej wyprawy nie mógł być lepiej użyty na ziemi, ale nie można było kwestionować historycznego znaczenia tej wyprawy. Słowa Armstronga: „*The Eagle has landed*” zostają się w naszych dziejach jako jedno z tych powiedzeń, które znaczą początek nowej epoki.

I o nadejściu nowej epoki mówiło także to, że naocznymi świadkami tego wydarzenia były niezliczone miliony ludzi na całym świecie. Dzięki telewizji byliśmy świadkami wyprawy śmiałych astronautów, oglądaliśmy wszystkie jej etapy i pierwsze kroki stawiane przez ludzi na tym dziwnym, tajemniczym towarzyszu naszej ziemi, ośrodku wierzeń, tęsknot i nadziei. Nikt z nas, którzy byliśmy widzami tego wydarzenia, nie umiał przewidzieć, jakie będą jego dalsze następstwa, ale też nikt chyba nie wątpił, że zachodzi coś niezwykle ważnego, rozpoczynającego nowy etap w historii ludzkości. I sędzę, że nie byłem odosobniony w doznawaniu wstrząsu wewnętrznego na myśl, iż sążone mi było dożyć takiej chwili, naocznie być świadkiem takiego wydarzenia.

Równy rok później w Stanach Zjednoczonych zostały przeprowadzone badania, mające na celu ustalenie jak mocno w pamięci ludzkiej zachował się fakt wyprawy Armstronga i dwóch jego towarzyszy. Były to badania na skalę dość skromną. Zwrócono się do stosunkowo nielicznej grupy widzów lądowania człowieka na księżycu, starając się ustalić, co zapamiętali o tym wydarzeniu i jego bohaterach. Wyniki były godne zastanowienia.

Wydarzenie zachowało się w pamięci badanych. Wszyscy pamiętali, że właśnie przed rokiem ludzie wylądowali na księżycu. Inaczej jednak wyglądało, gdy pytano o nazwiska bohaterów wyprawy i o to, co z nimi stało się później. Większość pytanych nie pamiętała nazwisk astronautów i nie umiała powiedzieć, co robią oni obecnie. Stosunkowo najlepiej zachowało się w pamięci nazwisko Armstronga, ale duża część pytanych i jego nie umiała wymienić. Bardzo drobna mniejszość umiała bezbłędnie określić, czym obecnie zajmują się astronauty. Bardzo niewielu wiedziało, że np. Collins zajął stosunkowo dość wysokie stanowisko w administracji federalnej. A przecież prasa pisała o tym dużo, no i Collins jest postacią, zdawałoby się, tak malowniczą, że nie łatwo ją zapomnieć.

Słowem, w pamięci ludzkiej wydarzenie pochłonęło jego bohaterów, którzy zatarli się, zatracili swoją indywidualność, swoją osobowość, stali się cieniami. Wydarzenie zdepersonalizowało swoich aktorów, pozbawiając ich nawet nazwisk. I to wydaje się czymś niezmiernie zmiennym i znacznie przekraczającym rozmiary i wagę określonego wypadku historycznego.

Bezspornie było to wydarzenie kolosalnie skomplikowane. Złożył się na nie szereg różnorodnych momentów. Był w Stanach Zjednoczonych moment dumy narodowej — rzecz oczywista. Było poczucie ogromu przygody, która zaniósła istoty ludzkie poza obręb naszej planety, na teren innego ciała kosmicznego. I — a może nade wszystko — był podziw dla technologicznego aspektu całego osiągnięcia. Doskonałość maszyny, która zaniósła człowieka na księżyc, precyzja z jaką to się odbyło, fantastyczna sprawność i koordynacja całego aparatu ludzkiego i technicznego, który współdziałał w tej podróży — wszystko to narzucało się widzowi ze szczególną mocą. I to zostało zapamiętane. Ale dlaczego tak słabo zachowały się w pamięci nazwiska trzech wspaniałych astronautów, trzech bohaterów tej niezwyklej wyprawy? Dlaczego nastąpiła ich depersonifikacja? Czyżby technologia i organizacja pochłaniały żywego człowieka? I jeżeli tak było w tym wypadku, to jak musi to wyglądać w wypadkach mniej efektywnych, bardziej codziennych?

Można przyjąć, że przy całym ogromie i nowatorstwie przedsięwzięcia trzech astronauty mieli zadanie łatwiejsze od zadań wielkich odkrywców-podróżników dawnych czasów. Pomoc, z jakiej korzystali, była rozmiarów gigantycznych. Stała za nimi współczesna technologia i fantastyczna organizacja, przez cały czas podróży nie opuszczająca ich ani na chwilę. Nic podobnego nie służyło pomocą podróżnikom czasów minionych. A przecież ryzyko tej wyprawy było szalone. O rozmiarach tego ryzyka największej powiedziały losy wyprawy Apollo 13 i tragiczna śmierć trzech

kosmonautów sowieckich. Ale równocześnie Armstrong i jego towarzysze wykazali się sprawnością, kompetencją na skalę niezwykłą. I wykazali się męstwem, opanowaniem i przytomnością umysłu również na skalę niezwykłą. Chyba mieli prawo oczekiwać, że nazwiska ich i osoby zachowają się trwale w pamięci świadków ich bohaterstwa.

Co się stało, było mi podane przez telewizję. Dzięki niej razem z milionami innych widzów stałem się naocznym świadkiem wielkiego wydarzenia historycznego. Siedząc wygodnie w fotelu, oglądałem pierwsze kroki stawiane przez człowieka na księżycu. Siedząc wygodnie w fotelu, jestem naocznym świadkiem i całej masy innych wydarzeń naszych czasów: wojny w Wietnamie, wojny na Środkowym Wschodzie, wypadków w Pakistanie, w Północnej Irlandii, najazdu na Czechosłowację, niezliczonej ilości innych wydarzeń, składających się na treść bieżącej historii. Są wśród nich wydarzenia wstrząsające. Są mi one podawane naocznie. Wchłaniam je, patrząc na ekran telewizyjny, siedząc wygodnie u siebie w mieszkaniu, patrząc na nie jak na *widowisko*. Oczywiście doceniam doniosłość tego, co widzę. Wiem, że w jakiejś mierze wpływa ono na moje własne losy, na losy mojego pokolenia i pokoleń przyszłych. Ale mimowoli spoufalam się z tym, co widzę. Mimowoli zaczynam je odczuwać jako *widowisko*. Widowisko doniosłe, pasjonujące, wstrząsające, ale nie mniej nie przestające być widowiskiem, nie mniej nie przestające być częścią programu, ba, jednego z wielu równoczesnych programów, jakie ofiaruje mi ekran tej magicznej skrzynki.

Nie ulega wątpliwości, że wśród dzisiejszych środków masowego przekazu telewizja zajęła miejsce naczelnego źródła informowania nas o tym, co się dzieje. W założeniu swym miała ona zbliżyć nas do wydarzeń bieżących dziejów, unaocznnić, ułatwić naszą ich percepcję. Telewizja, unaoczniając wydarzenia, miała nas z nimi bezpośrednio związać, dać nam taki ich obraz, jakiego nie dawały i dać nie mogły dotychczasowe środki masowego przekazu. Czy jednak tak się staje? I czy stać się może, skoro telewizja siłą rzeczy zamyka się w ramach widowiska, bez wątpienia fascynującego i jak najbardziej plastycznego, ale nie mniej nie przestające być widowiskiem? W tym widowisku widzimy fabułę, zazwyczaj gubić żywych ludzi.

Ten widowiskowy charakter podawania wydarzeń przez telewizję musi mieć zasadniczy wpływ na naszą percepcję tych wydarzeń. Mam tu widowisko, które mogę wygodnie oglądać całymi godzinami, z najbliższego powodu dowolnie je wyłączając lub zmieniając na inne, nie siląc się na głębsze przemyślenie tego, co widzę, nie dbając o zachowanie w pamięci osób bohaterów rozgrywających się wydarzeń. I w ostatecznym wyniku prowadzi

to do deprecjacji tych wydarzeń. Loty przestrzenne, krwawe wojny, rewolucje — wszystko to znajdzie się w jednym rządzie z całą masą innych widowisk — filmów, występów komików, *musicals*, przygód detektywistycznych, zawodów sportowych. Widowisko jest *rozrywką*. Telewizja sprowadza do poziomu rozrywki wszelkie widowiska, jakimi operuje.

Nie posuwajmy się zbyt daleko w oskarżaniu telewizji o przyczynianie się do deprecjacji wydarzeń, które rozgrywają się przed nami. W jakiejś mierze odpowiedzialność za to ponoszą i wszelkie inne środki masowego przekazu. Słowo drukowane w postaci prasy codziennej zalewa nas masą wiadomości o wypadkach. Duża część tych wiadomości sływa po nas, nie pozostawiając głębszego śladu. Co było sensacją dziś, jutro ulega zapomnieniu. Odnosi się to przede wszystkim do tej masy zadrukowanego papieru, jaką codziennie nas darzy prasa amerykańska. Jesteśmy zbyt dobrze, zbyt wszechstronnie obsługiwani, byśmy mogli ogarnąć i pochłonąć to wszystko. Dzisiejszy czytelnik pisma codziennego siłą rzeczy przerzuca te zadrukowane płachty papieru, rzadko mając czas i ochotę, by się poważnie nad nimi zastanowić. Nazwiska, fotografie i życiorysy dzielnych astronautów były podawane i przez prasę codzienną, i tak samo po roku zapomniane.

I nie kwestionujmy walorów wychowawczych telewizji. Telewizja amerykańska ma osiągnięcia wychowawcze o bezspornej wartości. Wystarczy wymienić choćby tylko telewizję „oświatową” z jej wspaniałymi programami dla dzieci. „Sesame Street” czy „Mister Rogers' Neighborhood” to programy o ogromnej wartości wychowawczej. Dyskusje czy wywiady telewizyjne są pozycjami o wybitnym znaczeniu. I to samo da się powiedzieć o takich programach rozrywkowych jak słynna „The Forsythe Saga”. Ale równocześnie przez swój widowiskowy charakter telewizja w stopniu jeszcze większym niż inne środki masowego przekazu staje się źródłem deprecjacji wydarzeń, masowego zobojętnienia wobec nich, i przyczynia się do szybkiego ich zapomnienia.

Trzeba stale pamiętać, że telewizja w kraju takim jak Stany Zjednoczone jest dziś głównym narzędziem masowego informowania o wypadkach. W Ameryce wyjątkiem jest mieszkanie, w którym nie ma aparatu telewizyjnego. I wyjątkami są ludzie, którzy jakiejś części dnia nie spędzają przy tym aparacie. Olbrzymia masa ludzka jest systematycznie informowana o świecie za pośrednictwem telewizji i jej głównie zawdzięcza swoją percepcję bieżących wydarzeń historycznych.

Są to sprawy bardzo istotne i warto się nad nimi zastanowić. Bo przecież telewizja stała się dziś zasadniczym elementem naszej kultury. Jej rola jest kolosalna, jej wpływ sięga bardzo

daleko. Stała się ona częścią naszego życia codziennego, tak zwykłą i oczywistą, że bez niej trudno sobie to życie wyobrazić.

II

Skargi na wady telewizji jako środka rozpowszechniania informacji stale powtarzają się w Stanach Zjednoczonych. Celuje w tym Spiro Agnew, który szczególnie pewnym systemom telewizyjnym stawia bardzo ciężkie zarzuty. Że są w doborze i przedstawianiu wydarzeń stronnicze, nieobiektywne, że starają się dyskredytować administrację Nixona. Ale zarzuty płyną i z innych źródeł. Telewizja goni za sensacjami, za wypadkami które dają się efektywnie udramatyzować, które są pełne akcji, koncentruje swoją uwagę na zjawiskach negatywnych, drastycznych, pomijając sprawy mniej efektowne, bardziej banalne a w swej treści pozytywne. W pogoni za sensacją — twierdzi się — telewizja stara się ją prowokować, sztucznie stwarzając sytuacje, które może dramatycznie wykorzystać. Jeden z wielkich systemów telewizyjnych był nawet oskarżony o próbę zaaranżowania inwazji Kuby przez wrogów Castro w tym jedynie celu, by zdobyć sobie efektywny materiał widowiskowy! Słowem, wypadki historyczne byłyby tu podporządkowane celowi dostarczania widzom ekscytującego materiału widowiskowego.

Trudno jest przesądzać, ile w tych oskarżeniach mieści się słuszności. Zapewne jakaś doza tych oskarżeń jest oparta na faktach. Ale podobne zarzuty były podnoszone i pod adresem innych środków masowego przekazu. W pierwszym rządzie — pod adresem prasy. I ta goni za sensacją, za wysuwaniem na czoło wypadków dramatycznych, fascynujących, przemawiających do wyobraźni czytelników. Powiada się przecież w Ameryce, że nie jest *news*, kiedy pies ugryzie człowieka, ale jest *news* (po angielsku „nowina” i „wiadomość” wyrażają się tym samym słowem), kiedy człowiek ugryzie psa. Czytelnik gazety zarówno jak widz telewizji czy słuchacz radia najwyżej przyjmuje wypadki niezwykłe, odbiegające od rutyny dnia codziennego, przynoszące mu dreszcz sensacji.

Jednym z kanonów prasy amerykańskiej jest równowaga w podawaniu wiadomości i ich ocen. Wiadomości powinny być podawane jak najbardziej obiektywnie, bez uwag czy komentarzy wprowadzających element wartościowania. Gazeta powinna być dostępna dla wszelkich opinii, włączając te, które programowo jej nie odpowiadają. *The New York Times* ma specjalny dział, gdzie głos zabierają ludzie o najbardziej sprzecznych poglądach. Na mniejszą czy większą skalę da się to powiedzieć o całej prasie

Stanów Zjednoczonych. Instytucja zsyndykalizowanych „kolumnistów” (są wśród nich największe nazwiska) w stopniu szczególnym służy tej samej sprawie. Czytelnicy setek gazet mogą przeczytać na tej samej stronie wypowiedzi konserwatysty Williama Buckley'a i liberała Maxa Lerner'a.

W zasadzie to samo odnosi się i do telewizji. I ona dba o równowagę w przedstawianiu wydarzeń i wypowiedaniu poglądów. W dyskusjach i wywiadach telewizyjnych biorą udział przedstawiciele wszelkich koncepcji od skrajnej Prawicy do skrajnej Lewicy. Sprawa wietnamska wywołała nieskończoną ilość dyskusji, w których ścierały się i ścierają poglądy przedstawicieli obu sprzecznych kierunków.

Ale każde pismo codzienne, nawet przy zachowywaniu największego obiektywizmu w przedstawianiu i omawianiu wydarzeń, ma swoją koncepcję, ma jakąś zasadniczą linię polityczną. Nikt nie wątpi, jakie stanowisko zajmie *Times* czy *Washington Post* w stosunku do takich czy innych spraw życia zbiorowego. Wyrażają to „artykuły redakcyjne” (*editorials*) i wyrażają to czołowi publicyści tych pism. I wyrażają to szczegóły techniki redakcyjnej — sposób łamania, charakter nagłówków, rozmiary wiadomości i niezliczone inne szczegóły. *Times* drukuje *all the news that's fit to print* — wszystko co nadaje się do druku. Tak brzmi hasło tego znakomitego pisma. Ale co się nadaje, jest sprawą polityki redakcyjnej.

Nie inaczej jest z telewizją. Każdy z jej wielkich systemów coś reprezentuje, wyraża jakieś poglądy czy filozofię. Wyrażają to czołowi komentatorzy. Eric Sevareid czy Howard K. Smith zajmują bardzo wyraźne stanowiska i w jakiejś mierze reprezentują swoje systemy. I systemy telewizyjne przeprowadzają swoją politykę — w szeregowaniu wiadomości, w sposobach ich dramatyzowania, w wysuwaniu jednych na czoło i w tuszowaniu innych.

Tu telewizja jest zgodna z prasą. Ale od prasy zasadniczo różni ją charakter przekazu, jakim operuje. Jest to przekaz przede wszystkim wizualny i jest to przekaz widowiskowy. Wymaga on takiego doboru, który by zostawiał najwięcej pola dla jak najbardziej efektownej dramatyzacji. Obiektywne znaczenie „Czarnych Panter” czy awantur radykalnej młodzieży jest dość wątpliwe. Ale jest to wyjątkowo wdzięczny materiał widowiskowy i przez to szczególnie pojętny dla telewizji. Jest zapewne wiele racji w twierdzeniu, że „Czarne Pantery” swój rozgłos zawdzięczają przede wszystkim telewizji. I że wybitnie rozděła ona słynne awantury w czasie konwencji demokratycznej w Chicago w roku 1968. Wypadki, które przy użyciu innych środków masowego przekazu wypadłyby dość blado i niezbyt dramatycznie, w tele-

wizyjnym ujęciu widowiskowym stały się czymś wstrząsającym i niezmiernie efektownym.

III

Stwierdziliśmy więc, że widowiskowy charakter przekazu telewizyjnego prowadzi do depersonifikacji bohaterów wydarzeń. W pamięci widza zachowała się pierwsza wyprawa człowieka na księżyc. Ale zatarły się elementy ludzkie tej wyprawy. Natomiast nazwisko Lindbergha stale się dotąd pamięta. Czyn jego nie był przekazany w formie widowiskowej. Nazwisko Armstronga i jego towarzyszy uległo szybkiemu zapomnieniu, albowiem bohaterowie pierwszej wyprawy człowieka na księżyc zostali sprowadzeni do elementu większej całości, ujętej czysto widowiskowo czyli rozrywkowo.

Ale paradoksem telewizji jest to, że jeżeli w pewnych wypadkach depersonalizuje ona swoich bohaterów, to w innych staje się narzędziem heroizacji pewnych postaci. Jest to wtedy, kiedy jakaś osobistość staje się *celowo* ośrodkiem całego widowiska, kiedy jej zostaną podporządkowane wszystkie inne jego składniki. Telewizja, depersonifikując jednych, staje się zarazem potężnym narzędziem heroizowania innych. Telewizja stała się dziś głównym i najskuteczniejszym środkiem propagandy personalnej. W Stanach Zjednoczonych — a na nieco skromniejszą skalę i gdzie indziej — jest narzędziem tworzenia popularności pewnych postaci, np. w przypadku kampanii wyborczej.

W amerykańskiej demokracji reprezentacyjnej telewizja stała się fundamentem, na którym opiera się akcja przedwyborcza. I tu ujęcie jest czysto widowiskowe. Ale postacią centralną jest kandydat i jego osobie podporządkowane są wszystkie inne komponenty całości. To podporządkowanie jest sprawą wysoce delikatną i wymagającą wielkiej umiejętności. Ale ludzie, którzy takie widowiska montują, nie są amatorami. Madison Avenue wytworzyła tu cały aparat doskonałych specjalistów, którzy wiedzą jak brać się do dzieła. Wyszli oni ze szkoły reklamy handlowej i tam osiągnęli swoją zaprawę. Wiedzą jak należy „sprzedawać” kandydata, jak go pokazać, by „trafił” do gustów jak największej ilości odbiorców.

Ma to szereg ważnych aspektów. Przede wszystkim kandydat musi być dopasowany do wymagań widowiska. Musi stać się aktorem, którego gra uczyni zadość wymaganiom widza i spełni jego oczekiwania, a przede wszystkim — pozyska go dla aktora-bohatera widowiska. Kandydat musi być „zrobiony”, musi być odpowiednio spreparowany — w swym wygładzie, w swym za-

chowaniu, w swych słowach. Obejmuje to zabiegi kosmetyczne, szkołę gestykulacji, dykcji, uśmiechu, swobodnego poruszania się i całą masę innych szczegółów, bez których widowisko będzie nieudane. Wiadomą jest rzeczą, ile pracy reżyserskiej trzeba było włożyć w Nixona, by się odpowiednio zaprezentował. Doświadczania jego słynnych dyskusji z Kennedy'm w roku 1960 nie zostały zmarnowane.

Stąd kandydat-bohater widowiska wyborczego staje się postacią syntetyczną. Przestaje być sobą, a staje się produktem pracy aranżerów całej gry. Słowem, musi osiąść to, co w żargonie Madison Avenue nazywa się „charyzma”.

Charyzma! Dziwne koleje losu przechodziło to słowo. Max Weber, który w swoim systemie nadał mu tak wyraźne znaczenie, zdumiałby się, gdyby się mógł dowiedzieć, co z niego zostało zrobione. Pojęcie to, wywodzące się z teologii chrześcijańskiej, oznacza stan łaski, który z jednostki tak obdarzonej czyni wybrańca, przez Boga przeznaczonego do szczególnych zadań. Charyzma została przeniesiona na wszelkie postaci, które w przekonaniu własnym i swoich zwolenników są powołane do spełniania wielkich misji historycznych. Jest to wybraństwo szczególnego rzędu, stawiające jednostkę ponad resztą, obdarzające ją szczególnymi kwalifikacjami, prowadzącymi do swoistych form zbiorowego działania i swoistych instytucji.

W dzisiejszym ujęciu Madison Avenue charyzma oznacza wytworzenie w jednostce właściwości widowiskowych najbardziej pokupnych dla mas odbiorców telewizyjnych. Mieć charyzmę to znaczy mieć takie właściwości wyglądu, słowa, zachowania się, które przemawiają do widza, które pozyskują go dla bohatera-aktora. Jest rzeczą wysoce wskazaną, aby bohater widowiska był z natury obdarzony takimi właściwościami. Ale nie musi być beznadziejne, jeżeli ich nie posiada. W każdym wypadku zadaniem specjalistów z Madison Avenue jest stworzenie czy rozwinięcie charyzmy, takie wypracowanie kandydata, by stał się jak najbardziej pokupny.

Jeżeli mówię o Madison Avenue, to nie oznacza to, bym sprawy te sprowadzał wyłącznie do stosunków amerykańskich. W jakiejś mierze Madison Avenue istnieje dziś wszędzie, choć posługuje się innymi etykietkami. Działa ona w systemach totalitarnych, gdzie cały aparat propagandy pracowicie wytwarza syntetyczne postaci bohaterów-aktorów kierownictwa państwowo-partyjnego. Technologia tych zabiegów jest tam być może bardziej tradycyjna, mniej wyrafinowana, bardziej prostacka. Chodzi tam przecież o ludzi, którzy już osiągnęli władzę. Ale w demokracjach przedstawicielskich, gdzie wybory nie są czczą formalnością, rola różnych Madison Avenue coraz bardziej zyskuje na znacze-

niu. Przodują tu oczywiście Stany Zjednoczone, które są nie tylko demokracją przedstawicielską, ale i krajem o najwyższej technice propagandowo-komercyjnej. Widowisko telewizyjne w tym wypadku staje się znakomitą formą produkowania postaci „charyzmatycznych”, mogących utrwalić się w pamięci widzów.

Nie oznacza to, by ludzie ci musieli być miernotami, by nie posiadali własnych walorów intelektualnych, moralnych czy politycznych. Bohaterowie politycznych widowisk telewizyjnych mogą reprezentować — i nieraz reprezentują — wybitne wartości indywidualne, mogące się zaznaczyć i na ekranie telewizyjnym. Ale by wypaść należycie na tym ekranie, muszą oni przejść przez jakąś transformację z rąk fachowców z Madison Avenue. Telewizja ma tu swoje surowe wymagania, którym najbardziej wartościowi kandydat musi się poddać.

Nie trudno się domyślić, że dla przedstawicielskiej demokracji kryją się w tym poważne niebezpieczeństwa. Jej założeniem jest dobór jednostek kierowniczych, uznanych przez wyborców za najcenniejsze. Kryteria cenności mogą tu być bardzo rozmaite, ale cenna indywidualna ma mieć znaczenie zasadnicze.

W rzeczywistości widowisko telewizyjne i tu przeprowadza swoistą depersonifikację. Nie ważne jest to, kim jesteś naprawdę. Ważne jest to, jak się pokażesz widzowi. Ważne jest to, byś się wykazał „charyzmą”. A ta przestaje być twoją własnością indywidualną i staje się produktem zabiegów twoich reżyserów. Kandydat przestaje być człowiekiem żywym, staje się produktem syntetycznym.

Niestety cała ta komedia nie kończy się po wyborach. Jednostka wybitniejsza jest stale pod obstrzałem kamer telewizyjnych. Musi się pokazywać publiczności i musi być jej pokazywana. Inaczej, musi stale brać udział w widowisku. I musi przyjmować konwencje gry widowiskowej.

Ale fakt, że w demokracjach przedstawicielskich ciężar akcji wyborczej coraz bardziej sprowadza się do widowiska telewizyjnego, ma jeszcze i inne aspekty. Telewizja jest bardzo kosztowna.

Dla przeprowadzenia kampanii wyborczej niezbędne jest najwzszechstronniejsze wyzyskanie widowiskowych możliwości telewizji. Cała masa momentów ma tu decydujące znaczenie: sąsiedztwo programu szczególnie popularnego, dostanie się na stację, która przyciąga możliwie największe ilości widzów, odpowiednie spreparowanie widowiska itp. W wypadku kandydata ogólnonarodowego w grę wchodzi tu potężne miliony.

Stwarza to od razu nierówność startu kandydatów. Kandydat o zasobach Rockefellera ma tu przewagę nad kandydatem, który musi uparcie i pracowicie zabiegać o pomoc materialną ze wszelkich źródeł. Nie oznacza to, by ta przewaga materialna automa-

tycznie gwarantowała zwycięstwo wyborcze. Ostatecznie głos decydujący należy do samych wyborców, którzy niekoniecznie i nie zawsze kierują się walorami widowiskowymi kandydatów. Nie jeden z nich na marne wyrzucił sumy bardzo imponujące. Ba, nieraz jako argument przeciwko rzucającemu pieniędzmi kandydatowi używane jest wyrażenie *moneybag*. W całości jednak nie będzie błędem stwierdzić, że środki materialne mają wybitne znaczenie dla wyników kampanii wyborczej. W tych zapasach bojowych złote kule noszą najszybciej i trafiają najcelniej.

Są to fakty głęboko niepokojące. Dla współczesnej demokracji przedstawicielskiej *circenses* telewizyjne może być co najmniej równie groźne jak *circenses* starożytnego Rzymu.

W Stanach Zjednoczonych doskonale zdają sobie z tego sprawę. Podejmowane są próby ograniczenia tej przedwyborczej orgii telewizyjnej. Wprowadzana jest kontrola nad wydatkami, zgłaszane są projekty ustawowego ich ograniczenia. Jak dotąd jednak wyniki są bardzo mizerne. Nie byle jakie interesy są zaangażowane w tym rzucaniu milionami na akcję widowiskowo-wyborczą. Szczególnie Republikanie, znacznie zasobniejsi od Demokratów, nie palą się do ustawowego ograniczenia tych możliwości telewizyjnych. W beznadziejnej sytuacji są małe grupki dysydenckie, nie mogące nawet marzyć o środkach, jakimi dysponują ich potężni rywale.

Oczywiście najważniejszą rzeczą byłoby przyznanie kandydatom równego czasu i równych środków przekazu telewizyjnego, i przekaz ten powinien być bezpłatny. Ale telewizja amerykańska — pomijając stacje i systemy „oświatowe” czy miejskie — jest przedsiębiorstwem handlowym, obliczonym na zysk. Zostawia ona nieco miejsca na tzw. programy publiczne, które są bezpłatne. Jest to jednak drobiazg w porównaniu z tym, co jest skomercjalizowane. A właśnie o te miejsca skomercjalizowane szczególnie zabiega propaganda wyborcza — i za to musi płacić. I to sprawia, że amerykańska kampania wyborcza wymaga takich kapitałów i że przewagę startu zdobywają w niej ci, którzy takimi kapitałami rozporządzają.

IV

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej przy roli telewizji jako narzędzia „sprzedawania” kandydatów, tworzenia ich „obrazu” (*image*) i narzucania go odbiorcom. Sprawa ta jednak wymaga pewnych dalszych uzupełnień.

Jak daleko sięga skuteczność telewizji w produkowaniu syn-

tetycznych postaci bohaterów za cenę kolosalnych wysiłków materialnych i organizacyjnych? Miernikiem tej skuteczności byłyby wyniki wyborów. Niewątpliwie zabiegi te są skuteczne. Inaczej kampanie wyborcze wyrzekłyby się telewizji. Ale jest to skuteczność tylko w pewnych granicach. Nie wszyscy widzowie-wyborcy poddają się tej perswazji w jednakowym stopniu. W roku 1970, jakkolwiek Republikanie mieli przewagę materialną nad Demokratami, nie zdobyli większości w amerykańskich ciałach reprezentacyjnych. Obie izby Kongresu są nadal demokratyczne. Wyborcy wypowiadali się za kandydatami, którzy rozporządzali stosunkowo skromnymi środkami materialnymi, i odrzucali kandydatów, którzy operowali olbrzymimi sumami. Widocznie wyborcy mieli swoje racje, silniejsze od pieniędzy i techniki inscenizacyjnej. Nie najgorzej by to świadczyło o wyborcach.

A i trwałość „obrazów” tworzonych przez telewizję nie wydaje się zbyt mocna. I jakkolwiek w tej dziedzinie nie były prowadzone badania, wydaje się że zwłaszcza pokonani kandydaci szybko ulegają zapomnieniu i obrazy ich bardzo prędko zacierają się w pamięci widzów. Weźmy dla przykładu Ottingera, nowojorskiego kandydata do Senatu Demokratów w roku 1970. Będąc osobiście człowiekiem bardzo majątnym, przeznaczył ogromne sumy na swoją kampanię telewizyjną. Jednak przegrał, i dziś, w rok po wyborach, jest rzeczą wątpliwą, czy wielu widzów poznałoby go, gdyby znów pokazał się na ekranie. Po roku 1964 malowniczy obraz Goldwatera wyraźnie zatarł się w pamięci widzów, którzy przestawali go odróżniać, gdy pokazywał się na ekranie niezauważony. Zmieniło to się nieco w roku 1968, gdy Goldwater ponownie został wybrany do Senatu jako przedstawiciel Arizony. Urok jego jednak znacznie osłabł i Goldwater przestał się specjalnie narzucać uwadze, stając się po prostu jednym z senatorów. Zapewne to samo da się powiedzieć o Humphrey’u, którego obraz po roku 1968 szybko przybladł i który — podobnie jak Goldwater — jest dziś znów widziany jako jeden z członków Senatu.

Inaczej oczywiście wygląda sprawa z jednostkami zwycięskimi w skali ogólnonarodowej, stale odgrywającymi naczelne role w życiu publicznym. Jednostki te wciąż występują na ekranach, telewizja stale robi z nich swoich bohaterów. Ich „charyzma” jest bez przerwy rozbudowywana i utwierdzana. Nixon z racji swego stanowiska jest ciągle „pokazywany” przez telewizję. Jest rzeczą wiadomą, że każde jego wystąpienie publiczne jest pracowicie przygotowywane, że jest połączone z całą masą zabiegów reżyżerskich, włączając w to kosmetyczne. To samo odnosi się do jednostek głośnych, aktywnych, z racji swej działalności często pokazywanych na ekranach. Kennedy, Muskie, Fulbright, McCarthy, Rockefeller, Lindsey, Scott i cała masa innych, chcąc nie

chcąc stali się obiektami zabiegów telewizyjnych i przyjmują ich reguły.

Jednostka pokazywana na ekranie ma więc osobowość nie tylko syntetyczną, ale — jak się wydaje — niezbyt trwałą. Aby nabrać trwałości, musi być stale podtrzymywana, utrwalana czy nawet uzupełniana. Bez wątplenia coś podobnego istnieje i we wszelkich pozostałych środkach masowej propagandy i na innych terenach masowego przekazu. Bohater, o którym prasa przestaje pisać, bardzo szybko przestaje być bohaterem i ulega zapomnieniu. Telewizja jednak z racji swych właściwości technicznych bohatera tego podaje wizualnie, i to zmusza do specjalnych zabiegów inscenizacyjnych, obcych wszelkim innym środkom masowego przekazu. Stąd nawet w tych wypadkach, kiedy telewizja programowo tworzy indywidualności, zachodzi w gruncie rzeczy proces depersonifikacji tych indywidualności, które z żywych ludzi stają się kukłami, manipulowanymi przez przemysłnych specjalistów od reżyserii widowiskowej.

Nie są to zjawiska nowe. Ostatecznie i bez telewizji Hitler, Stalin, Mussolini i wszelcy inni byli odpowiednio preparowani na użytek mas swoich wyznawców. Obraz, jaki ci otrzymywali, był syntezą różnych zabiegów reżyserskich. Niski wzrost Stalina był starannie ukrywany, uzdolnienia aktorskie Mussoliniego czy Hitlera były sprytnie wyzyskiwane przez zastępy doradców, specjalizujących się w takich operacjach.

Każdy z nas — nawet najskromniejszy — jest w jakiejś mierze aktorem. Przyjmujemy na siebie jakieś role, które staramy się wykonywać, mniej lub więcej pomyślnie. Im pozycja jednostki jest wyższa, tym bardziej zmusza ją do kunsztu aktorskiego. I odwrotnie — opanowanie kunsztu aktorskiego jest wysoce pomocne w osiągnięciu pozycji życiowych.

Są to więc rzeczy bardzo stare. Już w dawnym Rzymie mówiono o aktorstwie Juliusza Cezara. Sceniczność, aktorstwo stale towarzyszyły życiu publicznemu człowieka.

Telewizja osiąga w tym punkt szczytowy. Ma ona możliwości techniczne, jakie były nieznane czasom poprzednim. Przede wszystkim rozszerza ona zespół widzów. Na bohatera skierowane są oczy milionów ludzi. W wypadku akcji politycznej nie są to widzowie bierni. Gra bohatera ma wpłynąć na ważne decyzje widzów. Musi to więc być gra specjalnie kunsztowna i w drobiazgach przepracowana.

V

Kiedy lat temu przeszło czterdzieści nastąpiło gwałtowne rozpowszechnienie się radia, nie brakło głosów krytycznych, ostrze-

gających przed niebezpieczeństwami nowego wynalazku. Radio miało zabić salę koncertową, książkę, prasę codzienną, miało prowadzić do izolacji słuchacza. Obawy te okazały się nieuzasadnione. Sala koncertowa nie zniknęła, książka nie przestała być czytana, prasa nie straciła swoich czytelników. A i izolacja słuchacza nie okazała się zbyt poważna. Ostatecznie każdy czytelnik książki czy gazety jest w procesie czytania pozostawiony sam sobie i przez to nie staje się odizolowany od innych.

Podobne obawy powtórzyły się, gdy rozpoczęła się era rozkwitu telewizji. I to na skalę jeszcze większą. Telewizja codziennie na szereg godzin przykuwa do ekranu miliony widzów, zostawiając im mało czasu na korzystanie z teatru, kina, książki czy gazety. I tym samym prowadzi do izolacji odbiorcy. Były to obawy bardzo poważne i stale powracające. Marshall McLuhan sądzi, że elektroniczna masowa komunikacja prowadzi do atomizacji publiczności „czytającej”, izoluje odbiorcę, czyniąc z niego biernego spożywcy rozrywkowego widowiska.

Mam wrażenie, że w obawach tych jest niemało przesady. Jeżeli kinematografia przeżywa dziś okres kryzysu, to nie jest to wyłącznie z racji telewizji, ale na skutek okoliczności zawartych w samej kinematografii. Zły film nie staje się lepszy przez to, że jest pokazany na ekranie telewizyjnym. Nic nie przemawia za tym, by telewizja miała się odbić ujemnie na poczytności książki. Zapewne, ludzie którzy godzinami wpatrują się w ekran, mają mało czasu na książki. Ale czy poświęcali im więcej czasu i uwagi, gdy telewizji nie mieli? To jest wysoce wątpliwe. Faktem jest natomiast, że w Stanach Zjednoczonych — kraju największego rozpowszechnienia się telewizji — nakłady książek nie zmniejszyły się, biblioteki publiczne nie wykazały obniżenia się frekwencji, księgarnie nie zaczęły masowo bankrutować. Ba, w wielu wypadkach można mówić o wzroście czytelnictwa książek. I od czasu do czasu nie jest to bez zasługi ze strony samej telewizji. Słynny cykl telewizyjny „The Forsyte Saga” wyraźnie rozbudził zainteresowania czytelnice dla dzieła Galsworthy'ego. Dyskusje telewizyjne na temat nowości literackich, krytyczne ich omawianie (szczególnie stacje „oświatowe” celują tu pod względem kompetencji i bezstronności), wywiady z autorami — wszystko to wyraźnie sprzyja wzrostowi czytelnictwa książek.

I to samo da się powiedzieć o prasie, codziennej i periodycznej. Jeżeli w Ameryce zachodzi proces fuzji pism codziennych, czego następstwem jest zmniejszanie się ich liczby, to jest to powodowane przez czynniki niezależne od oddziaływania telewizji. W całości czytelnictwo prasy zmniejszeniu nie ulega. Nawet ten widz, który w telewizji szuka przede wszystkim reportaży

z zawodów sportowych, sięga do pisma codziennego, by w nim znaleźć dodatkowe szczegóły opisu tych zawodów.

Nic więc nie przemawia za tym, by telewizja miała rugować inne środki masowego przekazu, by miała niszczyć teatr, kino, książkę i prasę. Miłośnicy sportu nadal zapełniają olbrzymie stadiony, nie kontentując się wygodnym oglądaniem u siebie w domu najbardziej fascynującego widowiska telewizyjnego. Jeżeli ekran pokazuje nam masowe zgromadzenia publiczne, to przecież jest to możliwe dzięki temu, że stale znajdują się wielkie gromady ludzkie, które w tych zgromadzeniach biorą czynny i bezpośredni udział. Izolacja jednostek nie jest tu więc zupełna i co najwyżej ogranicza się do tych, którym w każdej sytuacji wystarcza rola biernych widzów.

Jeżeli telewizja budzi we mnie niepokój — i w tym bynajmniej nie jestem odosobniony — to powodują go zupełnie inne okoliczności. Wynika on z faktu jej widowiskowego charakteru. A to mieści się w samej istocie tego narzędzia masowego przekazu. Fakt, że reżyseria telewizyjna celowo deformuje przedstawiane wydarzenia, że depersonalizuje ich bohaterów, że z wielu bohaterów robi postacie czysto syntetyczne, że w selekcji przedstawianych wydarzeń kieruje się wolarami ich widowiskowości, że — wreszcie — jako narzędzie akcji politycznej w demokracji przedstawicielskiej podporządkowuje tę akcję momentom komercyjnym — wszystko to są pochodne zasadniczej właściwości przekazu telewizyjnego — jego widowiskowości. I w tym — w moim przekonaniu — kryją się wielkie niebezpieczeństwa dla demokracji przedstawicielskiej, dla całej naszej cywilizacji, dla zdolności współczesnego człowieka percepcyjnego rozgrywających się dokoła niego wydarzeń bieżącej historii. Wymaga to dalszego zastanowienia się.

VI

Telewizja nie zabiła ani innych środków masowego przekazu, ani różnych tradycyjnych form oddziaływania kulturotwórczego. To trzeba podkreślić bardzo mocno. Nie jest też rzeczą pewną, czy telewizja szczególnie przyczyniła się do atomizacji społecznej, do izolacji między jednostkami ludzkimi. Jeżeli te procesy zachodzą — a zachodzą one bezspornie — to telewizja jest tu co najwyżej jednym z wielu czynników warunkujących te procesy. Ale równocześnie telewizja staje się coraz potężniejszym narzędziem kształtowania się naszego obrazu rozwijającej się rzeczywistości.

Jeszcze jakieś dwieście lat temu, a nawet mniej, ludzkość —

a przynajmniej przytłaczająca jej większość — mogła się była obywać bez naszych środków masowego przekazu. Stosunkowo drobnej jej części potrzebne, a nawet niezbędne, były stałe informacje o tym, co działo się na szerokim świecie. Prasa ówczesna zapewniała tej drobnej grupie stały dopływ mniej lub więcej dokładnych wiadomości o wypadkach bieżącej historii. Na tej podstawie czytelnik gazety mógł osiągać jakąś percepcję wydarzeń, mógł wytwarzać sobie jakiś ich osąd, umożliwiając mu osiągnięcie jakiejś wobec nich postawy.

Ale to dotyczyło nieznacznej mniejszości. W świecie np. huculskim, tak wspaniale przedstawionym przez Vincenza, wystarczyło wiedzieć, że Rzym jest pępkiem świata, że mieszka tam „papa rymskijski”, że w Widniu jest cesarz, który troszczy się o swoich poddanych. Hucuł miał percepcję wydarzeń, które bezpośrednio rozgrywały się dokoła niego. Ale były to wydarzenia jego wsi i wsi sąsiednich. Były to wydarzenia bardzo ważne i hucuł miał poczucie ich doniosłości. Wyznaczały one treść świata, w którym przebywał i którego był współtwórcą. Był to jednak świat przestrzennie bardzo ograniczony. Wieści o tym, co w nim się działo, docierały naocznie i ustnie, percepcyjnie było czymś prostym i nie wymagającym skomplikowanych środków technicznych.

To samo dawało się powiedzieć o olbrzymiej większości ludzkości. Żyła ona swoim życiem historycznym, niezmiernie dla niej doniosłym, ale zamykającym się w bardzo ciasnych ramach wiejskiej wspólnoty. W stosunku do wydarzeń wielkiego świata było to życie pozahistoryczne, choć bardzo bogate we własną historię.

Wszystko to zmieniło się gruntownie. Dziś radio dotarło nawet do *bush'u* afrykańskiego. Było to nieuniknionym następstwem nie tylko przemian technologicznych, ale — i to przede wszystkim — tych przemian społecznych, jakie zaszły i wciąż zachodzą w naszych czasach. Polegają one na upolitycznieniu najszerszych mas ludzkich.

Fundamentem, na którym opiera się demokracja, jest dobrze poinformowany obywatel. Jeżeli ma decydować o losach swojej zbiorowości, musi wiedzieć jak najwięcej o tym, co w niej się dzieje i o tym, co się dzieje poza jej obrębem. Demokracja zakłada stały dopływ wiadomości, które muszą być poddawane bezstronnie i wszechstronnie. Wolność słowa, prawo do stałej dyskusji, do ścierania się sprzecznych poglądów, do wydawania nieskrępowanych osądów wydarzeń — bez tego wszystkiego demokracja nie istnieje. Ostatnio w Stanach Zjednoczonych sądy niedwuznacznie rozciągnęły to i na telewizję, gwarantując jej te same uprawnienia, jakie konstytucyjnie były przyznawane słowu drukowanemu.

Ale i systemy totalitarne muszą opierać się na stałym dopływie informacji. Jest to informacja uzależniona od racji ideologicznych i potrzeb władzy grupy rządzącej. Nie jest ona niezależna i bezstronna, jest w samym swym założeniu odpowiednio spreparowana. Ale musi być masowa, musi być obliczona na jak największe zastępy odbiorców.

W każdym wypadku jednostka jest zaopatrywana w potężne środki, umożliwiające jej percepcję wydarzeń bieżącej historii. W demokracji w tym procesie percepcyjnym jednostka jest w zasadzie zdana na siebie, a w każdym razie ma swobodę samodzielnego osiągnięcia wyników tego procesu. Czy w praktyce potrafi z tego korzystać, jest sprawą zupełnie inną. W systemach totalitarnych taka swoboda percepcji nie istnieje z samego założenia. Percepcyjność jest całkowicie podporządkowana celom i racjom grupy rządzącej i brak w tym posłuszeństwa jest oceniany jako działanie przestępcze. Jeżeli jednostka usiłuje zdobyć się na samodzielność w percepcyjnym wydarzeniu, musi w tym posługiwać się drogami nielegalnymi i narażać się na prześladowania.

Możemy zostawić na stronie systemy totalitarne, w których dezinformacja odbiorcy jest założeniem wszelkich gatunków informowania. Ograniczmy się do demokracji, w której obywatel musi być informowany możliwie jak najbardziej bezstronnie i wszechstronnie. Bez tego demokracji grozi zagłada.

Nie możemy się skarżyć na ubóstwo środków informowania. Jesteśmy zalewani powodzią wiadomości o wydarzeniach, jakże złożonych, pełnych sprzeczności, trudnych do uchwycenia. Materiał informacyjny jest tu przebogaty, tak bogaty, że nie łatwo jest w nim się połąpać. Dla należytego jego strawienia niezbędna jest wiedza przygotowawcza i przede wszystkim niezbędne jest posiadanie jakiejś perspektywy historycznej. A ta jest udziałem tylko bardzo nielicznych wybranych. A i u nich owa perspektywa historyczna nie jest czymś jednolicie ustalonym, mającym charakter prawdy obiektywnej. Jest wyrazem osądów, zazwyczaj sprzecznych, zazwyczaj powierzchownych, zazwyczaj opartych na naszym emocjonalnym odczuwaniu historii.

W percepcyjnym zachodzących wydarzeń gubi się nie tylko przeciętny obywatel, ale — i to nieraz szczególnie — ten, który z racji swych funkcji kierowniczych jest najbardziej odpowiedzialny za losy swej zbiorowości. Historia człowieka jest niekończącym się pasmem błędów i pomyłek tych, którzy za przebieg tej historii ponoszą główną odpowiedzialność.

Największy, najlepszy, najpełniejszy dopływ informacji o wydarzeniach nie zabezpiecza nas przed popełnianiem zasadniczych błędów percepcyjnych. Co wydaje nam się dziś drobnym epizodem, pozbawionym większego znaczenia, może w ostatecznym

wyniku okazać się wydarzeniem o największej doniosłości dla dalszego rozwoju wypadków. „Kanonada pod Valmy” mogła się być wydać drobnym wypadkiem, choć jeden z jej świadków uznał w niej punkt zwrotny w historii. Ale świadkiem tym był Goethe, i był on odosobniony w tej ocenie.

Takich „kanonad pod Valmy” nie brak jest zapewne i w czasach naszych, i nie każda z nich jest należycie uchwytowana i oceniana w potoku wiadomości dostarczanych przez nasze środki masowego przekazu. I zapewne nie częstym zjawiskiem są obserwatorzy na miarę Goethego.

Źródła informacji muszą selekcjonować wiadomości, jakie podają. Robią to ludzie, którzy przy całej swjej zaprawie nie są nieomylni. Kierują się rutyną swjej codziennej pracy i nie roszczą sobie ambicji do przenikliwości, jaką Goethe wykazał pod Valmy. I na coraz większą skalę terenem ich działalności jest telewizja. Jej rozpowszechnienie jest tak masowe, jej atrakcyjność jest tak wielka, że stała się ona główną podstawą naszej percepcji zachodzących wydarzeń.

VII

Siłą telewizji jest widowiskowy charakter jej przekazu. Ale w tym zarazem zawiera się jej słabość i zawiera się jej niebezpieczeństwo dla życia zbiorowego naszych czasów.

Jak każdy środek masowego przekazu, telewizja musi być wybitnie selektywna w doborze faktów które podaje. Ale swoistą jej właściwością w tym doborze jest dawanie pierwszeństwa faktom o walorach wyraźnie widowiskowych. A że wydarzenie normalnie musi być włączone w ramy kilkominutowego widowiska, przeto musi być ono zredukowane do momentów najbardziej dramatycznych, najsilniej przemawiających do uwagi i wyobraźni widza. Pamiętajmy, że informacja telewizyjna najczęściej posługuje się aparatem kinematograficznym, co daje szerokie pole dla wszelkich wycięć i retuszu.

Człowiek przedstawiciel amerykańskiej informacji telewizyjnej — Walter Cronkite, Howard K. Smith, Harry Reasoner i cała plejada innych — mają za sobą wieloletnie doświadczenie dziennikarskie i telewizyjne, znają świat i jego sprawy, reprezentują poziom bardzo wysoki. Nie można też kwestionować ich rzetelności. Pozycja, jaką osiągnęli, warunkuje ich niezależność w wydawaniu sądów. Mogą sobie pozwolić na konflikty zarówno z własnymi chlebodawcami jak i z wszelkimi innymi ośrodkami władzy, włączając w to administrację państwową. A szczególnie z tą ostatnią. Nie nadaremnie Spiro Agnew tak brzydko wyra-

zał się o czołowych przedstawicielach amerykańskiej informacji telewizyjnej. Pretensje Wice-Prezydenta nie wpłynęły jednak na zmianę ich stosunku do niego.

I nie ulega też wątpliwości, że w całej masie wypadków dramatyzowanie przez nich wydarzeń miało pozytywne następstwa społeczne. Telewizja w sposób wysoce dramatyczny przedstawiła warunki mieszkaniowe w gettach nowojorskich i innych miast. Poruszyło to opinię publiczną i miało wyraźny wpływ na podjęcie akcji do walki z tym złem. Telewizja, pokazując rozmiary narkomanii i dramatyzując ją, stała się ważnym narzędziem walki z tą katastrofą społeczną naszych czasów. Telewizja śmiało porusza wielkie problemy ekologii współczesnej, walczy z niszczeniem przyrody, zatrutowaniem powietrza i wody. I nie cofa się w tym przed pokazywaniem i dramatyzowaniem faktów najbardziej drastycznych, nie szczczędając winowajców, bez względu na to skąd się wywodzą. Telewizja poparła działalność Ralphi Nadera, mającą na celu obronę interesów konsumenta. I przykładów takich można by przytoczyć więcej. W swej ogromnej większości najwybitniejsi przedstawiciele informacji telewizyjnej reprezentują różne odcienie liberalizmu i swoim przekonaniem potrafią dać wyraz.

Niewątpliwie telewizja amerykańska jest — pomijając telewizję „publiczną” — przedsiębiorstwem komercyjnym. Reklama handlowa jest zasadniczym źródłem jej dochodu. Ale z telewizją stało się to, co już od dawna ma miejsce w wypadku prasy codziennej i periodycznej. Jest ona tak potężna, że w dużym stopniu potrafiła uniezależnić się od ogłoszeniodawców. Przeciwnie, ci są od niej zależni, albowiem muszą zabiegać o miejsce w programie. Kandydatów na takie miejsce jest dużo i telewizję stać na to, by wybierać. Mogła była przecież pozwolić sobie na wyrzeczenie się ogłoszeń papierosowych i na tym nie ucierpiała. Miejsca pozostawione po papierosach bez trudu zostały wypełnione przez inne ogłoszenia.

Na terenie New Yorku działa dwanaście stacji telewizyjnych i — przynajmniej w pewnych godzinach — mam do wyboru dwanaście programów. Niektóre z tych stacji działają bez przerwy po kilkanaście godzin, a jedna (WCBS) całą dobę. Możliwości wyboru są tu więc ogromne i mogą być zaspokajane gusta nawet bardzo wybrednych widzów.

Każda z tych stacji daje programy informacyjne. Główne systemy operują zastępami korespondentów, rozsianych po całym świecie. Co podają, jest zajmujące, barwne, pozwalające nam nacznie być świadkami wydarzenia. Żadna inna forma masowego przekazu nie może się wykazać sugestywnością równą tej, jaką daje przekaz wizualny. Wydarzenia widziane pasjonują nas bardziej niż wydarzenia opisane czy opowiedziane.

A jednak! Zaczęliśmy nasze uwagi od stwierdzenia zdumiewającego faktu, że po roku ogromna ilość widzów nie potrafiła wymienić nazwisk pierwszych zdobywców księżycy. Ze nastąpiła tu depersonifikacja bohaterów jednego z największych wydarzeń historycznych. I stwierdziliśmy, że depersonifikację zachodzą w wypadkach, kiedy całe widowisko jest skoncentrowane dokoła postaci bohaterkich, gdzie zadaniem telewizji jest właśnie wytworzenie tych postaci, nadanie im cech bohaterkich czy — używając popularnego dziś wyrażenia — charyzmatycznych.

Jak sądzę, wynika to z widowiskowej natury telewizji. W tym mieści się treść tej postaci masowego przekazu. Telewizja *musi* tworzyć widowisko. A wszelkie widowisko ma swoje wymagania, bez których widowiskiem być nie może. Bacon, wśród różnych rodzajów błędnych rozeznań ludzkich, wymienia „idola theatri”. Choć Bacon miał tu na myśli sprawy inne, sama nazwa „idola theatri” nie najgorzej pasuje do telewizji jako podstawy naszej percepcji zachodzących wypadków historycznych.

Telewizja umieściła nas w olbrzymim teatrze i pokazuje nam wydarzenia jako kolosalne widowisko, w którym fragmenty wypadków migają jedne po drugich, przetwarzając się w jakiś pędzący kalejdoskop. Ale wydarzeń widowiska nie traktuje się na serio. Wie się, że jest to na niby. Fragmenty tego widowiska pasjonują nas przez chwilę, wstrząsają nami, stają się źródłem przeżycia. Ale po jednym obrazie zaraz przychodzi drugi, trzeci, czwarty i tak dalej bez końca. Nie zawsze nawet mamy czas na pełne przyswojenie sobie tego, co widzimy. Szczegóły zaciera się, toną w całości wielkiego spektaklu.

I mimowoli staje się no rozrywką. A rozrywki nie traktuje się zbyt poważnie. Przenosi nas ona w świat złudzenia, daje chwilę wytchnienia i ulega zapomnieniu.

Czy więc telewizja dała nam większy zasób wiedzy o świecie? Czy dała nam możliwość lepszego rozumienia tego świata? Wszystko to wydaje się bardzo wątpliwym. A może raczej telewizja staje się czynnikiem zubożniania nas wobec tego, co widzimy? Czy jej widowiskowość nie pochłania faktów, nie wypiera momentu refleksji nad faktami?

Na pytania te trudno jest dać jednoznaczną odpowiedź. Pojęcie telewizji w czambuł jest równie sporne jak ślepy dla niej zachwyty. Ani przez chwilę nie kwestionuję wielkich walorów telewizji amerykańskiej. W całej masie dziedzin jej oddziaływanie wychowawcze jest wybitnie twórcze i społecznie pożądane. Ma ona osiągnięcia wspaniałe, by tylko wymienić telewizję „oświatową” z jej znakomitymi programami szkolnymi i przedszkolnymi. Ale równocześnie mam świadomość niebezpieczeństw, jakie kryje w sobie telewizja informacyjna. Nie wyobrażam sobie,

jak te niebezpieczeństwa mogą być usunięte. Albowiem wynikają one z samego charakteru techniki tego niezwykłego narzędzia oddziaływania.

Niebezpieczeństwa są w jakimś stopniu właściwe wszelkim innym środkom masowego przekazu. Ale nie w stopniu takim, jak to ma miejsce w telewizji. Albowiem tylko ona stwarza niekończące się widowisko. A wszelkie widowisko ma swoje reguły i wymagania, których celem jest wytworzenie w widzu „idola theatri”. I w tym wypadku nie jest to gra bezinteresowna. A przecież gra ta warunkuje nasze widzenie świata, nasze percepcje wypadków historycznych, nasze osądy i nasze postawy społeczne. I to sprawia, że w telewizji widzę właściwości, które budzą we mnie głęboki niepokój.

Aleksander HERTZ

“POLONIA”

NOWA KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej **KULTURY** i **ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH**.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Reakcja

Wybrałem to słowo, bo myszką trąci i nie wiadomo co dokładnie oznacza. Przynależy do szaty słownej odziedziczonej, całej w strzępach, którą daremnie próbujemy się okryć. Wobec nowej sytuacji człowieka odczuwamy nieprzydatność niegdyś noszonych strojów i chcielibyśmy wystąpić nago, ale to niestety jest niemożliwe. Więc kłócące się ze sobą resztki togi, lisiury, płaszcza. Z góry zresztą uprzedzam, że nie będę zmierzać tutaj do żadnych oczywistych konkluzji. Moja rzecz nieduża: chciałbym tu i ówdzie dotknąć pojęcia, żeby sprawdzić, czy przypadkiem sam nie jestem reakcjonistą.



Zwiedzając katedrę w Bourges (niezupełnie jako turysta, po prostu ktoś z amerykańskich przyjaciół kupił sobie dom w tamtych okolicach) myślałem nie tylko o witrażach. Także, i przede wszystkim, o technice budowniczych. Zważywszy czym było codzienne bytowanie mieszkańców miasta, jaką rozporządzali techniką, gigantyczne dzieło katedry tak górowało nad nimi jak dziś nad krzątającą przeciętnych ziemian, choćby postępujących się telewizją i samochodem, górują pojazdy wysyłane na księżyc. Z tą różnicą, że w katedrze zawierała się też suma ich wiedzy o życiu i śmierci, w rzeźbach i witrażach wyobrażona. Zapewne, owi rzeźnicy, kołodzieje, kotlarze, zrzeszeni w cechy, które jak mogły przyczyniały się do wzniesienia wiecznotrwałego pomnika, żyli swoimi drobnymi sprawami. Jednak zawsze w cieniu tej ich wspólnej budowli, wokół centrum-symbolu. Chcieć dzisiaj wskrzesić taki układ do-środkowy, znaczyłoby oddawać się reakcyjnym marzeniom czyli na siłę odnawiać to, z czego uciekła siła. Była to technika podporządkowana. Czemu są dziś podporządkowane

nauka i technika? Szczęściu człowieka? Co najmniej wątpliwe. Słyszemy nawet, że one to właśnie są racją bytu ludzkości.

Na tympanie diabli wrzucają grzeszników w kocioł, inni miechami podsycają pod nim ogień. W kotle już siedzą mężczyzna i kobieta. Mężczyzna jest mnichem, co widać po grzywce wokół tonsury. Wielka ropucha piekielna gryzie go w język. Druga ropucha gryzie kobietę w gołą pierś. Gdyż powołaniem mężczyzny jest służba Bogu, a najcięższe jego grzechy, które skazać go mogą na wieczne potępienie, wyrażają się w mowie (uwaga politycy, mówcy wiecowi, pisarze). Grzechem kobiety natomiast jest pożądlivość, w całym jej ciele ulokowana. Uznając, że psychosomatyczne właściwości dwóch płci mogą być tylko za pośrednictwem humoru przedstawione, i że w tym wizerunku kryje się jakaś prawda, narazilibyśmy się na zarzut czarnej reakcyjności i tzw. sexizmu.



Polacy pielgrzymują do Paryża, jako że tradycja narzuciła nam wszystkim przekonanie o kulturalnym pierworództwie Lutecji, *Ville Lumière*. Zapytałem: „po co?”, dostałem odpowiedź: „a dokąd mają pielgrzymować?”. Ten ich snobizm wspiera się na wyobrażeniach z których dawno wyparowała treść. Z kraju dotkniętego małością jadą do kraju dotkniętego małością i własne zdrobnienie potęgują francuskim zdrobieniem, przywożąc do domu intelektualne ciuchy. Gospodarczo Francja wyprzedziła Polskę o jakieś pół wieku i trudno jest odtworzyć wrażenia przybyszów stamtąd, nie będąc jednym z nich. I Paryż i prowincja są z roku na rok zażywniejsze i zasobniejsze, ale, sumitując się, niezbyt mnie to obchodzi. Jakikolwiek utwór literacki o Francji nie mógłby mieć za temat nic innego niż właśnie to: brak wielkości. Ktoś powie, że zawsze tak mniej więcej było i że prawdziwa francuska wielkość zawsze dojrzewała samotnie, niedostrzegana przez strasznych mieszczan. Otóż nie. Wielkość wymyka się analogiom, nie mierzy się też porównawczo. Albo jest, albo jej nie ma. Wielkość czy, inaczej, wzniosłość albo wielkoduszność albo szczodrość ducha, poznaje się po tęsknocie jaka nas gnębi kiedy w powietrzu jej nie dostaje. Jest to jakby możliwość, potencjała między-ludzka, tak czy inaczej związana z obrazem samego siebie tworzonym przez dane społeczeństwo. Ideologia, w której przedziwnie splotło się republikańskie dziedzictwo Rewolucji Francuskiej z mitem „kultury”, szkolnym obrzędem nad tekstami klasyków z epoki Ludwika XIV etc., jest już zużyta, opadającą opończę, wszyscy to wiedzą, oddając się w braku czegoś lepszego jedzeniu, piciu i popuszczaniu pasa. Ale mylił się Raymond Aron z radością obwieszczając „koniec

wieku ideologii”. Gdyż nie samym chlebem żyje człowiek, jak tego dowiodły choćby sorbońskie barykady. Oczywiście schlebający młodzieży intelektualisci z dawnej ideologii zachowali tylko niepoohamowane zamiłowanie do retoryki, z jej pomocą konstruując swój świat „anty” — anty-mieszczkański, anty-kapitalistyczny, anty-imperialistyczny i anty-co kto woli. Jest to świat na niby, tym głośniejsze rozbrzmiewający nazwiskami Marksa i Lenina, im bardziej jest jasne, że wszystko co dokonało się w gospodarce Francji od końca wojny dokonało się wbrew woli lewicowych intelektualistów. Czegóż więc mogą szukać w Paryżu Polacy? Francuski marksizm nie jest na wynos, a już na pewno nie na wschód, gdzie rzeczywistość obraca w nic zabawy ekwilibrystów, tu możliwe dzięki kapitalistycznemu otoczeniu. Czy szukają Sztuki? Był taki szczęśliwy człowiek, Julian Przyboś, który chciał być wyłącznie Poetą i żywot spędził na poświęcaniu sobie w tej roli, jako że każde jego słowo było słowem Poety o Poecie. Ten przynajmniej pielgrzymując do Paryża (a mnóstwo w jego wierszach paryskich odniesień) był konsekwentny, bo jego prywatna mitologia była zaczerpnięta z kulturalnej mitologii francuskiego mieszczaństwa (które przyswoiło sobie Rimbauda, Mallarmé oraz tylu innych), już co prawda nieżywej. Ale dziś? Czy czasem o wszelkich podróżach do Paryża nie dałoby się rzec, że są reakcyjne, skoro nostalgia czy automatyczny odruch skłaniają do szukania tego, co niby ma jeszcze być, a już minęło?



W reportażu o Chile streszczone rozmowy z górnikami w kopalni miedzi, dotychczas należącej do amerykańskiego koncernu Anakonda. Ich entuzjazm na wieść o nacjonalizacji. Anakonda właśnie zamierzała przeprowadzić całkowitą niemal automatyzację kopalni i te nowe maszyny pozbawiłyby górników pracy. Nacjonalizacja: zostaną stare maszyny. Co tu jest postępowaniem, co reakcją? Technika obywatela się bez człowieka, obojętna na jego losy, jest nieludzka. Nie byłoby jednak wesołe, gdyby się okazało, że upaństwowienie środków produkcji, zwane przez niektórych socjalizmem, jest chytrym zamiarem Historii, która życzy sobie zahamować postęp techniczny, byle wszyscy znaleźli zatrudnienie przy starych maszynach albo w biurokratycznym aparacie nadzoru i kontroli.



Jeżeli w naszym stuleciu trudno jest nieraz rozróżnić gdzie głowa a gdzie ogon, to myśl reakcyjna dziewiętnastego wieku ukazuje nam swoje wyraźne zarysy i nadaje się do badań. Praw-

dziwych reakcjonistów, z temperamentu, było zresztą niewielu. Nie zaliczamy bowiem do nich tych wszystkich, którzy po prostu opierali się zmianie, odgadując w niej zagrożenie własnych interesów. Reakcjonista z temperamentu nie cierpiał na brak wyobraźni historycznej, przeciwnie, na jej nadmiar, i tam gdzie jego tępi sojusznicy widzieli ład nieruchomy, on widział ruch, fatalistycznie zmierzający w niepożądanym kierunku. Nie tracił czasu na pochwałę istniejących instytucji, które uważał za złe, nie tak złe jednak jak te, które miały je zastąpić. Jego zjadliwa energia lubowała się w znęcaniu się nad mglistymi programami czcicieli postępu, przekonanych, że idą ku „śpiewającemu jutru”. Ponieważ nasz wiek spełnił dziewiętnastowieczne postępowe nadzieje w karykaturze, pisma reakcjonistów, dziś czytane, uderzają celnością i dobitnością diagnozy. Nigdzie chyba przy tym ta krytyka nie osiągnęła tak beczelnej pełni, jak w sporze rosyjskich obrońców samodzielną z liberalną inteligencją, a prym tutaj wiedzie Konstanty Leontjew (1831-1891). Jego teoria „regresywnego rozwoju” Europy (od „pierwotnej jednorodności” do „kwitnącej złożoności” w okresie Renesansu i dalej do „wtórnego zmieszania oraz prostoty” czyli do uwiadu indywiduum, co dziś modnie nazywa się „śmiercią człowieka”) datuje się z lat siedemdziesiątych. Leontjew nienawidził zachodnioeuropejskiego wynalazku, parlamentu, który wzgardliwie przezwiał „goworylnią”. Miał wstręt do importowanych z Zachodu idei, ale też do czarnych tużurków, gorsów i meloników, dopatrując się w nich zapowiedzi powszechnego zniżczenia. Obarczając w swoich artykułach z roku 1880 — ogłaszał je w gazecie *Warszawskiej Dniownik* — rosyjską inteligencję odpowiedzialnością za nihilizm młodzieży, przeprowadzał wywód nienagannie logiczny. Według niego inteligencja rosyjska miała wszelkie dane po temu, żeby zrujnować stary ustroj i przyczynić się do ustanowienia w Rosji nowego ustroju, nieco jednak sprzecznego z jej oczekiwaniami. O tym ustroju nie wypowiadał się, ograniczając się do wzmianki, że będzie to „coś” — tak przerażające, że nie potrafi tego objąć wyobraźnia jego współczesnych. Jako krytyk literacki, uważał całą niemal literaturę rosyjską za zarażoną, jak byśmy dziś rzekli, „turpizmem”: naturalistyczny szczegół, podkreślany w opisie twarzy, gestu, obyczaju, spełniał według niego funkcję krypto-rewolucyjną tj. literatura taka, szerząc wstręt do życia tu i teraz, budziła tęsknotę do życia gdzieś i kiedyś (Gogola słusznie więc dręczyły wyrzuty sumienia po napisaniu „Martwych Dusz” — ale za późno, szkoda została wyrządzona). Skoro cała Europa, a z nią Rosja, były pchane przez ruch historii ku nieodwracalnemu „wtórnemu zmieszaniu”, Leontjew zalecał żeby Rosję „zamozić” — na tak długo jak się da.

Polscy rasowi reakjoniści nie mieli nawet takich ułatwień jak chodzący na udry z ogółem inteligencji Rosjanie. Tam było potężne, własne państwo i jego „teraz” wzywało do obrony. Ale na czym, na jakiej fazie dziejowej, mógł oprzeć się Krasiński, jeżeli polska arystokracja nosiła brzemie klęsk i brzemie Targowicy? Toteż ze zderzenia — pomiędzy łękim przed nieuniknioną rewolucją i wstydem klasowym — poczęła się dialektyczna budowa „Nieboskiej Komedii”. Ale nie inne, w jego istotnym przebiegu, zderzenie patronowało twórczości St. Ign. Witkiewicza: to co się zbliża jest straszne, natomiast to, co jeszcze trwa, nie zasługuje na szacunek. Krasiński i St. Ing. Witkiewicz. Nigdy ich, o ile mi wiadomo, nie zestawiano i tylko z daleka zauważa się wzór udręki wspólny obu arystokratycznym, z ich gustów, pisarzom. Pierwszy w skazanych na klęskę Okopach Św. Trójcy umieszczał szlachtę i arystokrację, drugi nową warstwę przywódczą, po-szlachecką inteligencję, zresztą w Rosji był świadkiem jak spełnia się proroctwo Leontjewa. Witkiewicza teoria „regresywnego rozwoju”, którego punktem szczytowym miał być Renesans, wykazuje zbyt wielkie zbieżności z teorią Leontjewa, żeby nie przypuścić, że ktoś z jego rosyjskich kolegów w pułku podsunął mu pisma „rosyjskiego Nietzschego”.

Leontjew zajmował się publicystyką, występował jako apologeta rządów silnej ręki. Nikt nie będzie zaliczać St. Ign. Witkiewicza do polskiej politycznej prawicy. Szukanie podobieństw zawiodłoby na manowce, wypada jednak napomknąć, że liberalna młodość Leontjewa i późniejsze jego kpiny z liberałów mają niejaki odpowiednik w stosunkach Witkiewicza z ojcem i w wyłamaniu się spod jego duchowej kurateli. Stanisław Witkiewicz ojciec był, jak wskazują jego listy do syna, zacnym postępowcem, szlachetną duszą, ale też żadna spójność, ostrość i jadowitość nie nawiedziły jego światopoglądu. Reakjoniści z temperamentu, jeżeli zgodzimy się na odrębność tego rzadkiego plemienia, mają pociąg do potraw gorzkich, palących i właśnie dlatego, jakby uciekając od prząsnego smaku właściwego łagodnemu humanizmowi, docierają w swoich rozumowaniach aż do najbardziej skrajnych konsekwencji.

Mówiono mi, że obecnie młode pokolenie Rosjan, przynajmniej w Moskwie, czyta z zapałem rosyjskich pisarzy reakcyjnych ubiegłego wieku, czerpiąc z nich pożywkę dla swego nacjonalizmu i na ogół nie udzielając wiele uwagi ich religijnym przekonaniom. Jeżeli tak jest, to Leontjew np. nie musi wychodzić na tym najlepiej. Rosja nie była dla niego wartością samą w sobie, usprawiedliwiał jej istnienie carat, ten jednak z kolei dawał się

uzasadnić tylko jako strażnik i podpora prawdziwego, prawosławnego Kościoła czyli jako spadkobierca Bizancjum. Nazywano Leontjewa „estetą”, ale to chyba błędne. Ten wielbiciel życia we wszelkich jego najbardziej brutalnych przejawach zdawał się pojmować piękno jako bujność, nadmiar, energię, co uzyskiwało pod jego piórem wymiar metafizyczny i stanowiło niezbędne uzupełnienie jego najskrajniejszego religijnego pesymizmu. Ziemia była, jest i będzie padołem płaczu. Ból i cierpienie nigdy nie znikną, a kto sądzi, że potrafi je umniejszyć przy pomocy sprawiedliwszej organizacji społeczeństwa, oddaje się złudzeniom, bo suma ich będzie zawsze ta sama. Wielkość indywiduum polega na stoickiej akceptacji niezrozumiałych boskich wyroków. Stąd u Leontjewa kult postaci reprezentujących arystokratyczny ideał me-
stwa — nie tylko rycerzy, także bałkańskich bandytów i rosyjskich chłopów, zwłaszcza rosyjskich *mnogostradatelnych* chłopiek. Ale życie na ziemi ma też w sobie, że użyjemy terminu innej pesymistki, Simone Weil, „straszliwe piękno”. Zresztą biografia Leontjewa jest jakby metaforą jego wszelkich wewnętrznych skrajności: lekarz na Wojnie Krymskiej, dyplomata na Bałkanach, obicie szpicrutą francuskiego konsula, liczne awantury miłosne, pokuta za grzechy na górze Atos, powieściopisarz, publicysta, ostatni okres życia w klasztorze Optina, gdzie zresztą pisze książkę o stylu Tołstoja. Nie będę zajmować się poglądami Leontjewa na pisarstwo, w każdym razie nie mają one nic wspólnego z tym co zwykło się kojarzyć ze słowem „estetyzm”. Jego ataki na „kako-psychologię” powieściopisarzy, jego zajadły anty-naturalizm, mają źródła religijne: kto ubolewa nad nędzą życia, zamiast wystawiać życia piękno i bogactwo, składa dowód, że nie akceptuje swego miejsca na padole łez.

Sławofilem ani panslawistą Leontjew nie był. Słowianami południowymi i Czechami gardził, bo były to narody demokratyczne, z inteligencją pochodzenia chłopskiego, już zakazaną przez Europę i aspirującą do posiadania własnych „goworylni”. Polacy znajdowali niejaką łaskę w jego oczach jako naród z tradycją rycerską i o silnym rozwarstwieniu klasowym, choć oczywiście jako rzymscy katolicy nie zasługiwali na względy. Co do Rosjan, to tyle ich godności i wielkości ile prawosławia i chroniącego prawosławie caratu. Tuż przed śmiercią wypowiedział opinię, że Rosjanie, jeżeli tracą swoją religię, zmieniają się w magmę, którą zaleją Chińczycy.

Leontjew to tylko jeden z jaskrawych przykładów powszechnie znanego *iunctim* pomiędzy religijnym pesymizmem i uspo-
sobieniem reakcyjnym. Dlatego też postępowcy i rewolucjoniści

wszystkich krajów zwalczały chrześcijaństwo, które za religię optymistyczną nie uchodziło, skoro Drugie Przyjście i koniec czasów nie oznaczają bynajmniej szczęśliwego społeczeństwa na ziemi. Dla Leontjewa przymierze tronu i ołtarza ponad głowami pokornych poddanych było w Bizancjum modelem idealnego „zamrożenia” — na tysiąc lat, bo tak długo trwało przeciw bizantyjskie cesarstwo. „Rzymska schizma” natomiast była winna kompromisowi, co prawda przygotowując renesansowy rozkwit, ale ze zgubnymi następstwami. Jakkolwiek odnosimy się dzisiaj do tego rodzaju majaków, zbycie ich tylko wzruszeniem ramion byłoby małostkowe. Gdyż rasowi reakcyjniści ubiegłego wieku zawdzięczali wigor swoich wywodów negatywnej ocenie natury ludzkiej, a tak ugruntowane ich przepowiednie nie wydają się dziś, po licznych doświadczeniach, głupie. Inna rzecz, że reakcjonistą być nie trzeba, a to z dwóch przyczyn. Po pierwsze, próby „zamrożenia” (są i dziś) będą przy obecnym przyspieszeniu historycznym ułudą i ruch względnie szybko rozsądzi rzekomo trwałe formy. Po drugie, reakcjonista dokonuje operacji na samym sobie, kamieniejąc wewnętrznie z lęku przed jutrem i stopniowo zmieniając się w najezoną obronnie twierdzę, z której wyjście prowadzi chyba tylko przez samobójstwo. A jednak adoracja ruchu dla ruchu, nowego jako coraz lepszego, zupełnie nas zawiodła i można zastanawiać się dowoli nad przekształceniami renesansowego ideału jednostki autonomicznej, aż po rozbicie podmiotu ludzkiego na wiązki refleksów, tak że brak już racji żeby dany człowiek istniał, skoro zamiast niego będzie istnieć inny. Niespodziewane są owoce pracy światłych humanistów. I kto wie, czy największe, najtrudniejsze zadanie nadchodzącej epoki nie sprowadzi się do nowego *iunctim*: pomiędzy tragiczną, pesymistyczną wizją naszych ograniczeń i umiarkowaną wiarą w postęp czy też w możliwość zapobieżenia, przedczesnemu może jednak, finałowi dziejów ludzkiego rodu.

Wróćmy do Francji. Trafic z gwałtownego powietrza Ameryki do Zachodniej Europy, to znaleźć się w regionach, które o apokaliptycznych rysach naszego stulecia zapominają albo chcą zapominać, bo befszyk jest bardziej konkretny. A jednak coś odbywa się na tym skrawku ładu, choć na ile są tego świadomi Europejczycy, trudno orzec. Jeżeli odbywa się, to dlatego, że tu, na półwyspie Apenińskim, jest stolica Rzymsko-Katolickiego Kościoła. Wiele wody w Tybrze, Loarze i Sekwanie upłynęło od tamtych czasów, kiedy wznoszono średniowieczne katedry. Dawno już nie ma Kościoła panującego. Ale nie ma też Kościoła jaki po nim nastąpił, obwarowanego przeciw kolejnym szturmom

mentalności postępowo-laickiej. Teraz oglądamy novum fantastyczne, niezwykle: Kościół zawstydzony. Któż należycie docenia wagę tej przemiany, przesłoniętej retoryką ogólnoludzkiego braterstwa, tolerancji, „dialogu”, pokoju, teilhardowskich rojeń o zgodnym marszu ku punktowi Omega? Kościół zażenowany, sumitujący się, wszem i wobec składający obietnice, że odtąd już nie będzie diabła ani piekła, ani postów, ani seksualnych zakazów, ani kazań o wygnańcach Ewy, którzy szczęścia nie powinni oczekiwać na ziemi, bo Królestwo Boże nie jest z tego świata. Kościół całkiem na miarę Witkiewicza ojca, jakże by się cieszył gdyby tego dożył, i na miarę wszystkich karbonariuszów, masonów, socjalistów dziewiętnastego wieku. I jakieś olbrzymie odwrócenie. Bo my, trzeba przyznać opuszczaliśmy Kościół (czytelnikowi pozostawiam interpretację kogo rozumiem przez „my”), ale właśnie kiedy nauczyliśmy się podawać w wątpliwość wiele z naszych przesłanek i odkryliśmy lekceważoną przez naszych laickich nauczycieli potęgę Zła, Kościół nas opuścił. Nie ludźmy się: opuścił. Reakcyjne katabasy nagle zmieniają się w głosiceli społecznej dobrej nowiny i to ślicznie, nie byłoby powodu do zmartwień. Tylko że my to już braliśmy, a cukier dodany do miodu ma zaiste zbyt mdły smak. Nie, ziemia nie jest dobra i nigdy nie będzie dobra, nikt nie wymknie się rozdwojeniu na świadomość i ciało, na podmiot i przedmiot w samym sobie, nikt nie przestanie być więźniem w piwnicy czekającym aż zostanie wywołany i ścięty kosą śmierci. A społeczeństwo, im bardziej władcze wobec przyrody, co miało równać się zwycięstwu wolności nad koniecznością, tym bardziej jest poddane działaniu demonicznych, przez siebie wydzielanych, mocy. Nie znaczy to, że mamy zwracać wzrok z żalem w przeszłość, bo „dawniej było lepiej” albo zapewniać, że nic się nigdy naprawdę nie zmienia. Tyle, że wiemy jak dużo kosztuje drobny błąd w planach, założona milcząco niewinność człowieka, który, wolny wreszcie od deprawujących wpływów złego społeczeństwa, miał stanąć w pełnym blasku swoich przyrodzonych cnót. Żeby plany nie obracały się przeciwko sobie, potrzebna jest strefa grozy-podziwu wobec Istnienia, jak to niegdyś określał język angielski, *awe*, strefa sakralności. Tej strefy Kościół był przez wieki surowym opiekunem, wbrew poprzednikom i następcom Jana Jakuba Rousseau. Już nie chce¹.

Chyba nie zasłużę na naganę za to, że katedra w Bourges,

1. Mniejsza o to, na ile nie chce i jakie walki toczą się wśród teologów. Zjawiska posiadają swój kształt obiektywny i on jest istotny, nie pozory zdające się mu przeczyć. A czy Kościół może opuścić tych, co się o jego kłopoty nie troszczą? Może, bo nigdy nie był tylko dla wiernych, także dla pagan i ateistów.

mięsiwa i wino i europejskie samochodowe szaleństwo przymuszały mnie do medytacji nad sporem zasadniczym, bez którego z Europy ostatecznie niewiele zostaje. Jeżeli skarżę się na brak wielkości, skarżę się być może po prostu na zgiełk retoryczny w umysłach, tak głośny, że wskazane jest zamilczeć w rozmowach o reakcjonistach, Bizancjum i Rzymie.

Czesław MIŁOSZ

Ukazał się 2-gi specjalny numer Kultury

w języku rosyjskim

Numer zawiera m.in. artykuły:

Hanna Kostek: *Szczerze rozmowy*;

Leszek Kołakowski: *Tezy o nadziei i beznadziejności*;

Witold Gombrowicz: *Berliński dziennik*;

Jerzy Stempowski: *Polacy w powieściach Dostojewskiego*;

Czesław Miłosz: *Science Fiction i przyście Antychrysta*;

Milovan Džilas: *Nad dogmatem*;

Andrzej Stawar: *Sowiecka biurokracja*.

Ponadto: POEZJE — RECENZJE i szereg innych artykułów.

Str. 240.

Cena F. 11,00.

Вышел Второй специальный номер "Культуры" на русском языке.

В номере:

Ганна Костек: *Разговор по душам*;

Лешек Колаковский: *Тезисы о надежде и безнадежности*;

В. Гомбрович: *Берлинский дневник*;

Ежи Стемповский: *Поляки в романах Достоевского*;

Чеслав Милош: *Научная фантастика и пришествие Антихриста*;

Милован Джилас: *Над догматом*;

Андрей Ставар: *Советская бюрократия*.

Кроме того номер содержит стихи, рецензии и другие материалы.

240 стр

Цена: 11 F

Obserwatorium

Pogrom

Słowo pogrom określa dokładnie postępowanie reżymu Husaka wobec przedstawicieli nauki, kultury i sztuki w Czechosłowacji.

Co najmniej 460 historyków pozbawiono możliwości pracy naukowej, w tej liczbie 278 z praskich instytutów badawczych. Historyk Szedivy został skazany na rok więzienia, historyk Tesarz oczekuje rozprawy sądowej, wszczęto śledztwo przeciw 23 autorom *Czarnej Księgi* z października 1968, zapowiadany jest pierwszy proces czterech historyków z tej grupy (Otahal, Preczan, Seidlerova, Czeczкова). Zlikwidowano, „zreorganizowano” lub „oczyszczono” główne instytuty historyczne; symboliczną wymowę ma fakt, że zbiory i budynek Instytutu Historii Socjalizmu przekazano nowopowstałemu Instytutowi Kultury Sowieckiej. W październiku 1970 został opublikowany na Zachodzie list dwóch znanych historyków Hübla i Mlynarika: Hübl i jego żona byli wówczas bez pracy, obecnie zatrudniono jego jako kontrolera defektów na praskich budowach a ją jako sprzątaczkę. Z przemyczonego również na Zachód listu Klady, b. dziekana wydziału filozoficznego na uniwersytecie Karola w Pradze, dowiedzieliśmy się że prosi on o pracę „przynajmniej posługacza pogrzebowego”.

Wszyscy niemal wybitniejsi socjologowie, filozofowie, teoretyczni ekonomiści i prawnicy na próżno starają się o jakiegokolwiek zatrudnienie. Szczególnie ciężka jest sytuacja materialna profesora Karela Kosika, utrzymującego się wyłącznie z doraźnej pomocy przyjaciół.

W roku 1970 rozpędzono Instytut Socjologii przy Akademii Nauk, oraz „zreorganizowano” Instytut Filozofii w drodze rugów, które dotknęły wszystkich pracowników na stanowiskach kierowniczych i połowę zwykłych pracowników naukowych. Umie-

rają czasopisma specjalne, usuwa się bezustannie wykładowców filozofii w szkołach wyższych.

Rozwiązano związki twórcze i zrzeszenia naukowe, zlikwidowano większość czasopism kulturalnych. Władze usiłują stworzyć „komitety przygotowawcze” nowych lojalnych związków, tymczasem bez członków. „Komitet przygotowawczy” Związku Pisarzy ogłosił, że liczy najwyżej na 80 do 100 członków, co oznacza że około 400 pisarzy czechosłowackich (w tej liczbie najwybitniejsi) stracili możliwość publikowania. Bez pracy jest wielki reżyser teatru *Za branou*, Krejcz. Ofiarą czystek na uniwersytetach padło wielu historyków literatury. Do pozostania po roku 1968 na emigracji zostali m.in. zmuszeni pisarze Goldstücker, Liehm, Skvorecky, Lustig, Mnaczk, Laub, Błaszкова, Benesz, Kryl, filozofowie Kusak i Svitak, reżyserzy filmowi Forman, Passer, Barabasz, Kadar, Klos, Jasny; nie pracuje w filmie Nemeš. O tym jak głęboko sięga pogrom świadczy fakt, że na wszystkich uczelniach ograniczono drastycznie zapisy na wydziały humanistyczne.

Odpowiedzią na pogrom powinien być bojkot jego organizatorów i profiteurszy. Niżej podpisani zwracają się z wezwaniem do swoich kolegów w kraju — a także do przedstawicieli świata nauki, kultury i sztuki na Zachodzie, — by dali wyraz solidarności z rugowanymi i prześladowanymi, unikając jakichkolwiek form bliższej współpracy z „normalizatorami” w instytucjach naukowych i kulturalnych w Czechosłowacji rządzonej przez Husaka. W roku 1968, po wydarzeniach marcowych w Polsce i u progu „praskiej wiosny”, intelektualistów proskrybowanych czy dyskryminowanych w Warszawie zapraszano do Pragi. Nie można naturalnie tego przyjaznego gestu odwzajemnić dzisiaj. Ale można i trzeba na każdym kroku dać odczuć grabarzom „praskiej wiosny”, że są znienawidzeni i izolowani również poza granicami Czechosłowacji.

Józef CZAPSKI, Jan DREWŃOWSKI, Zygmunt HAUPT, Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI, Jan LEBENSTEIN, Józef LEWANDOWSKI, Juliusz MIEROSZEWSKI, Czesław MIŁOŠZ, Tadeusz NOWAKOWSKI, Roman PALESTER, Wiktor WEINTRAUB, Józef WITTLIN.

Małe, matowe lusterko

Ma rację profesor Isaiah Berlin w swoich *Four Essays on Liberty*, twierdząc że rok 1903 był punktem kulminacyjnym

procesu który zmienił historię naszego świata. Na kongresie rosyjskiej partii socjaldemokratycznej, zaczętem w Brukseli a zakończonym w Londynie, zabrał któregoś dnia głos delegat nazwiskiem Posadowski:

„Mamy podporządkowywać naszą przyszłą politykę takim lub innym fundamentalnym zasadom demokratycznym, uznając je za wartości absolutne? Czy też wszystkie zasady demokratyczne muszą być podporządkowane wyłącznie wymaganiom naszej partii? Opowiadam się zdecydowanie za tym drugim. Nie ma takich zasad demokratycznych, których nie wolno by nam było podporządkować potrzebom naszej partii. (Okrzyki z sali: „A świętość jednostki ludzkiej?”). Tak, również to. Jako partia rewolucyjna, zdążająca do rewolucji społecznej, winniśmy się kierować wyłącznie tym co może nam dopomóc w osiągnięciu celu ostatecznego. Musimy patrzeć na zasady demokratyczne jedynie z punktu widzenia potrzeb naszej partii; jeśli nie dogadza na to czy inne żądanie, mamy prawo je zignorować”.

Piechanow nie tylko poparł Posadowskiego, ale w przystępie euforii ukuł głośną formułę *Salus revolutiae (!) suprema lex*. I choć „papież marksizmu rosyjskiego” wrócił później do większej równowagi, droga leninowskiej „partii nowego typu” została raz na zawsze wytyczona. Wstąpił na nią w dalszej kolejności i nowoczesny faszyzm. Głos Posadowskiego był, co warto podkreślić, jakby echem rozmówek na herbatce „u naszych” w *Biesach*. Okazało się, że Dostojewskij nieźle dostrzegał dążenie rewolucjonistów „nowego typu” do bezgranicznej władzy zarówno nad „pojedynczym dygotliwym stworzeniem”, jak nad „całym mrowiskiem ludzkim”; że nie padł bynajmniej ofiarą majaczenia w złośliwej gorączce, gdy wyznaczył im świętego patrona w osobie Wielkiego Inkwizytora. Berlin, odmierzając z historycznej perspektywy wagę kongresu brukselsko-londyńskiego, wywołuje z zapomnienia cień Josepha De Maistre, rzecznika tajemnicy nadprzyrodzonego autorytetu i duchowego absolutyzmu, chwalcę kata w *Les Soirées de St. Petersburg* i inkwizycji w *Lettres sur l'Inquisition espagnole*. U progu naszego stulecia narodziła się świecka wersja atrybutów i narzędzi władzy, które cenił De Maistre.

Pisano książki i rozprawy o deprawacji języka Trzeciej Rzeszy. Zabieg hitlerowców był stosunkowo prosty, o wiele prostszy i mniej kosztowny niż *newspeak* Orwella: kaleczyli i korumpowali umysły nie przez eliminację słów, lecz zmieniając ich dotychczasowy ładunek emocjonalny: z pozytywnego na negatywny i odwrotnie. W roku 1903 zakiełkował pomysł najbardziej przebiegły: powierzenia słowom roli masek. Co innego znaczyło słowo „socjalizm” dawniej, nie znikło jednak wcale z wystąpienia Posadowskiego, przeciwnie nabrało groźnego majestatu. Maski „socjalizmu” przywdziewają dziś naturalni spadkobiercy Posadowskiego, a nawet w precyzyjnych i wnikliwych skądinąd analizach „rewizjonistycznych” krytyków ustroju sowieckiego zdarza się o nim czytać jako o „despotycznym modelu socjalizmu”. Mimo wszystko, socjalizmu.

W poprzednim numerze *Kultury* Zbigniew Zdołeński zadał pytanie: „Ile jeszcze pozostałości dawnego, naiwnego „rewizjonizmu” zachowało się w poglądach i nawykach myślowych tych intelektualistów, którzy w zasadzie dojrzałością swoją wykroczyli poza jego ograniczoność?”. Należałoby je postawić inaczej: wykroczyli rzeczywistości poza jego ograniczoność, zdobyli się na decydujący krok? Zwykło się upatrywać się „rewizjonizmu” w tym, że jest zbuntowanym ale prawowitym dzieckiem „systemu”, działa czy próbuje działać, nie zrywając z jego podstawowymi założeniami teoretycznymi. Co było może kiedyś pewną siłą, staje się z każdym dniem wyraźniej słabością. Włoką się jak kula u nogi stare dogmaty, szuka się rozwiązań nie zanadto odbiegających od doktryny, nie pozwala się umrzeć iluzjom. Począwszy od roku 1956, za patriarchę „rewizjonizmu” uchodzi Lukacs. Nazajutrz niemal po inwazji Czechosłowacji węgierski filozof zgodził się dać wywiad towarzyszom z komunistycznej *Australian Left Review*, pod warunkiem że zostanie ogłoszony dopiero po jego śmierci. Najważniejsze fragmenty tego wywiadu ukazały się obecnie w całej prasie światowej. Są w nim rzeczy oczywiste, banały, pożyteczne naturalnie i nie pozbawione posmaku sensacji, jeśli się zważy kto je wypowiada: Rosjanie mylą się (zapewnia Lukacs), sądząc że dalej mogą kierować międzynarodowym ruchem komunistycznym jak za czasów Lenina; głównym motywem inwazji Czechosłowacji było zniszczenie wszelkiej opozycji, gdyż Rosjanie obawiają się że każdy ruch reformy musi się w końcu przeobrazić w opozycję; destalinizacja przeprowadzana metodami stalinowskimi budzi nieufność i nastraja pesymistycznie, bo stanowią o niej względy czysto taktyczne. I nagle osobliwe zdanie o Rosjanach, którzy okupując Czechosłowację zachowali się jak „najgłupszy dyletanci”. Można znaleźć wiele określeń dla wypadków z sierpnia 1968 roku, ale co tu ma do rzeczy „dyletantyzm”? Oznacza że „fachowcy”, „specjaliści” załatwiliby sprawę zgrabnie? Lukacs, który w tym samym wywiadzie wystawia nader pochlebne świadectwo Nowej Lewicy na Zachodzie jako „inicjatorce oporu przeciw społeczeństwu manipulowanemu”, nie wyszedł na własnym podwórku poza ograniczoność odgórnego „rewizjonizmu”.

W wywiadzie również, udzielonym dwóm wysłannikom tygodnika *Spiegel*, zaprezentował ostatnio swoje poglądy profesor Goldstücker. Mniejsza o dość wątle i powierzchowne nauki, jakie Goldstücker wyciągnął z okresu stalinizmu. Istotniejszy od nich jest upór w podkreślaniu „kierowniczej roli partii”, jedynej depozytariuszki „nowych idei i nowego programu”: dogmat wybił się w roku 1968 w Pradze, co byłoby ostatecznie i zrozumiałe i w dużym stopniu uzasadnione, ale na emigracji po dwóch latach rządów Husaka. Cała tragedia nieuchronności powtarzanych cyklicznie błędów w systemie skażonym u źródeł — której prześląski widać już tu i ówdzie na stronicach nowej książki Bieńkowskiego *Socjologia kłęski* — zostaje przez Goldstückera przezornie wyminięta. Przyznajmy, praski uczyony uderza w pew-

nym momencie na alarm: „Im dłużej trwać będzie obecna sytuacja (w bloku sowieckim), tym mniejsza szansa pokojowego rozwiązania i tym większe niebezpieczeństwo żywiołowego wybuchu, który może być katastrofalny, prawdopodobnie dla całego świata”. Czyli jeszcze jedno pilne ostrzeżenie pod adresem rządzących. Czego wciąż brak większości współczesnych „rewizjonistów”, to spojrzenia na rzeczywistość nie z góry, z wyżyn „uszkodzonego” mechanizmu władzy, lecz z dołu, z mandatu społeczeństwa. Uważają je na ogół za tajemniczy i nieobliczalny „żywioł”.

Wypowiedź Goldstückera kończy się chwalebny oświadczeniem: „Po dojrzałym namyśle doszedłem do wniosku, że jedyną na świecie rzeczą rewolucyjną jest prawda. Jeśli mówię o słabościach, błędach i zbrodniach popełnionych w imię socjalizmu, nie ponoszę za nie winy, ale po prostu nazywam je po imieniu. To jest obowiązek intelektualisty wobec społeczeństwa. Błędy i zbrodnie obciążają tych, którzy je popełnili. Oni są prawdziwymi wrogami socjalizmu. Wielki patriota rosyjski Gogol, tak przywiązany do swojej ojczyzny, wybrał jako motto do *Rewizora* przysłowie ludowe: „Nie przygaduj zwierciadłu, kiedy masz gębę krzywą”. Prawda bywa istotnie rewolucyjna, rzecz tylko w tym żeby krzywą gębę odbijało wielkie czyste zwierciadło a nie małe matowe lustro.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:

6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Archiwum polityczne

Rozważania o nie-świętej trójcy

Trudno wyobrazić sobie kompanię wojska, która składałaby się wyłącznie z Kawalerów orderu *Virtuti Militari*. O wartości kompanii decyduje procent żołnierzy, którzy w obliczu wroga wykażą zdyscyplinowane męstwo i zdolność do poświęcenia.

W sprawach społecznych również o wszystkim decyduje procent. Procent ludzi społecznie uświadomionych i zaangażowanych.

Straty w Wietnamie oblicza się cyfrą zabitych i rannych. To jest typowy przykład niedostateczności metody statystycznej w sensie socjologicznym. W Ameryce piętrzą się problemy wewnętrzne. W Nowym Jorku co 8 minut jeden człowiek jest obrabowany, poraniony a często zabity. To olbrzymie miasto staje się dżunglą, którą coraz trudniej jest administrować i zarządzać. Lecz i w tym wypadku statystyki nie mówią wszystkiego. Gdyby podobne stosunki jak w Nowym Jorku panowały w Pekinie — Chińczycy mogliby sobie powiedzieć: Chiny są krajem rolniczym i o wszystkim w ostatecznym obrachunku decyduje chłop i wieś. W Chinach jest ponad 600 milionów chłopów.

Ameryka natomiast, w przeciwieństwie do Chin — jest cywilizacją nie wiejską lecz urbanistyczną. Zagadnienie Nowego Jorku nie jest kryzysem izolowanego miasta lecz jest symptomem kryzysu urbanistycznej cywilizacji amerykańskiej.

Kryzys amerykański obejmuje sprawy rasowe, socjalne i gospodarcze. Mówiąc o Wietnamie trzeba pamiętać, że przez wiele lat setki tysięcy młodych Amerykanów wyizolowano z naturalnego, narodowego „krwiobiegu”. Ci młodzi, dynamiczni ludzie byli potrzebni na froncie wewnętrznym — jako społecznicy, reformatorzy, nowoczesni menadżerowie działające związków zawodowych itp. „Adrenalina” organizmu społecznego została skierowana na zewnątrz i to stanowi główną stratę wojny wietnamskiej choć statystyki na ten temat milczą.

W Stanach Zjednoczonych zaczyna upowszechniać się przekonanie, że front wewnętrzny jest najważniejszy. To stanowi naj-

większą i najbardziej zasadniczą różnicę pomiędzy Ameryką a Rosją Sowiecką. Amerykanie wiedzą, że muszą rozwiązać swoje główne problemy wewnętrzne — by umocnić pozycję Stanów Zjednoczonych w przekształcającym się świecie. Natomiast sowieccy przywódcy uważają, że front wewnętrzny w ZSSR — istnieje tylko w imaginacji sowietologów zachodnich.

Zaznaczyłem powyżej, że w każdym społeczeństwie tylko pewien procent ludzi zajmuje się sprawami społecznymi i problemem reform. Ci ludzie stanowią drożdże postępu. Odnosi się wrażenie, że w Ameryce owe potencjalne kadry postępu są rozproszone na globalnym froncie polityki zagranicznej. Brak jest wizji i talentów na scenie polityki wewnętrznej.

Stany Zjednoczone — w przeciwieństwie do Rosji — mogą zredukować swoje zaangażowania zamorskie. Z całą pewnością tak się stanie — ponieważ nie można stróżować na granicach nie-komunistycznego świata i równocześnie reformować swoje własne społeczeństwo i system cywilizacyjny. Nie można być policjantem w Wietnamie — jeżeli nie potrafi się być policjantem w Nowym Jorku.

Era amerykańska, która trwała blisko 30 lat — dobiega kresu. W owym okresie Amerykanie pomogli — nie tylko swoim sprzymierzeńcom lecz i pokonanym wrogom — odbudować się po drugiej wojnie światowej. „Cuda gospodarcze” byłych wrogów, które wyrosły pod amerykańskim parasolem atomowym — zagroziły pozycji dolara.

Nie jest moim celem w niniejszym artykule analizowanie złożonej sytuacji Stanów Zjednoczonych, chciałem natomiast uwytknąć dwa punkty:

I. — Wydaje się pewne, że zaangażowanie globalne oraz równoczesne różnorakie reformy wewnętrzne przekraczają możliwości nawet Ameryki. Stany Zjednoczone będą więc zmuszone zredukować swój program zewnętrzny — by móc zmobilizować się wewnętrznie.

II. — Umiarkowana redukcja zaangażowań globalnych i energiczne podjęcie programu koniecznych reform społecznych i gospodarczych — Ameryce niczym nie zagraża.

Rosja sowiecka znajduje się dokładnie w przeciwstawnym położeniu i istota owej przeciwstawności stanowi główną różnicę pomiędzy Związkiem Sowieckim a Stanami Zjednoczonymi.

Rosja — jeżeli ma trwać nadal w swej obecnej postaci — musi zachować *status quo* zarówno na wewnątrz jak i na zewnątrz. Albowiem zmiany wewnętrzne spowodowałyby zmiany zewnętrzne i odwrotnie. Z tych przyczyn Sowiety muszą prowadzić politykę *containment* w stosunku do narodów Związku Sowieckiego, narodów satelickich — jak również w stosunku do Chin, Stanów Zjednoczonych i całego globu. Tylko w ramach *status quo* Rosja Sowiecka — taka jaką ją znamy — jest do pomysłenia.

Moskwa podpisała układ przyjaźni i wzajemnej pomocy z Indiami — ponieważ Czu En-lai napisał list (o nieujawnionej treś-

ci) do prezydenta Pakistanu. Sowiетom nic nie zależy na Indiach — zależy im natomiast na powstrzymaniu Chin.

Agencja węgierska podała w połowie sierpnia br. wiadomość, że premier Czu En-lai zamierza odwiedzić Bukareszt, Belgrad i Tirane. Dopatrzono się w tej inicjatywie chińskiej próby stworzenia osi Rumunia-Jugosławia-Albania — wymierzonej przeciwko Sowiетom.

W chwili gdy dyktuję te słowa — podano wiadomość, że Breżniew wybiera się we wrześniu br. z wizytą do Belgradu.

Dewizę sowieckiej polityki można sformułować następująco: albo *status quo* albo chaos. Na Bałkanach — chaos lepiej by odpowiadał celom Sowiетów niż chwiejny *status quo*. Sowiety popierają emigracyjnych separatystów chorwackich — w nadziei, że po śmierci marszałka Tito ci panowie przyczynią się do rozbicia federacji jugosławańskiej. Tym którzy powiedzą, że nie ma na to dowodów trzeba odpowiedzieć, że tego typu informacje nigdy nie są w 100 procentach sprawdzalne.

Uporczywie powtarzają się pogłoski o tajnym układzie wzajemnej pomocy i obrony zawartym pomiędzy Rumunią a Jugosławią. Faktem jest, że w roku 1968 obydwaj państwa potępiły inwazję sowiecką Czechosłowacji oświadczając, że w razie napaści bronić będą swoich granic i niezależności.

Latem rb. odbyły się na Węgrzech wspólne manewry sowiecko-węgiersko-czechosłowackie. Strategicznym założeniem manewrów była budowa mostów pontonowych poprzez Dunaj. Cwiczenia wykazały, że kolumny sowieckich czołgów każdej chwili mogą przekroczyć Dunaj.

Również ubiegłego lata odbyła się w Moskwie „konferencja na szczytach” państw uznających doktrynę Breżniewa. Rumunów na konferencję nie zaproszono — zademonstrowano im natomiast strategiczne mosty na Dunaju, zbudowane wspólnym wysiłkiem „doktrynerów” Breżniewa.

Gdyby kiedyś federacja jugosławańska rozpadła się — krnąbrna Rumunia znalazłaby się w trudnej sytuacji. Z tych przyczyn Rumuni zacieśniają swoje stosunki z Chinami od których mają otrzymać jeszcze w bieżącym roku bronie rakietowe.

Do serii sensacji bałkańskich należą również odwołane manewry sowiecko-bułgarskie.

Pomnikiem *status quo* w Europie jest Berlin. Na gmachu przy Potsdamerstrasse — powiewają flagi czterech zwycięskich mocarstw — tak jakby wojna skończyła się wczoraj a nie przed przeszło ćwierć wiekiem. Wewnątrz tego gmachu obradują ambasadorowie czterech mocarstw w sprawie Berlina. Obradują z przerwami od 17 miesięcy.

Berlin w znacznej mierze jest kluczem do Europy. Niemal wszystko zależy od rozwiązania kwestii berlińskiej; ratyfikacja (przez NRF) układu rosyjsko niemieckiego, układu pomiędzy NATO a państwami Paktu Warszawskiego w sprawie redukcji zbrojeń, europejska konferencja bezpieczeństwa, która miałaby

na celu unormowanie i ustabilizowanie stosunków pomiędzy Wschodem i Zachodem Europy.

Rosjanie w końcu — po 354 posiedzeniach — zgodzili się na neutralizację Austrii. Może więc po następnych 17 miesiącach zgodzą się na załatwienie kwestii Berlina.

Trudno bawić się dziś w politycznego proroka — wydaje mi się jednak, że z dużą szansą prawdopodobieństwa można ustalić sprawy na które Moskwa się nie zgodzi. Kreml nie zgodzi się na zjednoczenie już nie obu republik niemieckich lecz choćby wschodniego i zachodniego Berlina. Nie zgodzi się na obalenie muru Ulbrychta. Moskwa nie zaakceptuje żadnej propozycji, która zasadniczo zmieniałaby *status quo*. Ponieważ Moskwie zależy na tym by rząd w Bonn ratyfikował układ rosyjsko-niemiecki — na jakieś ustępstwa Sowiety będą musiały przystać. Sądzę, że do wytargowania są ustępstwa które, nie zmieniając *status quo*, ułatwiłyby życie Berlińczykom.

Przewaga Sowieców w broni pancерnej w teatrze środkowo-europejskim wyraża się proporcją 50 : 1. Jak w takich warunkach można mówić o wzajemnej redukcji zbrojeń?

Rosja — wyjąwszy wojnę atomową — militarnie jest nie do pokonania. Z tej również przyczyny nie można na niej niczego wymusić na drodze dyplomatycznej. W moim przekonaniu Sowiety można by osłabić, a może nawet rozłożyć tylko poprzez ideologię.

Czytelnik, który w tym miejscu sceptycznie się uśmiechnie, przosny jest by artykuł przeczytał do końca.

Przemiany ideologiczne w małej Czechosłowacji — oceniono w Moskwie jako poważne zagrożenie. Rosjanie zapłacili olbrzymią cenę za przywrócenie w Czechosłowacji ideologicznej ortodoksji. Kto wie czy na skutek inwazji na Czechosłowację Rosja nie straciła Bałkanów? Doktryna Breżniewa, która była reakcją na rewolucję czechosłowacką — odsłoniła przed światem totalną, nagą prawdę sowieckiego imperializmu. A przecież Praga nie miała żadnej szansy stania się światową stolicą komunizmu w nowym wydaniu.

Przyjrzyjmy się postawie i pozycji trzech atomowych supermocarstw. Postęp oznacza przemianę. Do przemian, w najszerszym tego słowa znaczeniu, zdolne są Stany Zjednoczone, Chiny — lecz nie Sowiety. W Sowieciech jakkolwiek przemiana oznaczałaby upadek systemu a tym samym upadek — nie Rosji — lecz Sowieców. Chiny mogłyby wskrzesić czy poszerzyć politykę „stu kwiatów” nie ryzykując upadku czy rozkładu. Polityka „stu kwiatów” w Sowieciech musiałaby doprowadzić do upadku Breżniewów i Kosyginów i w bezpośredniej konsekwencji do przewrotów w krajach satelickich.

Sowiety osiągnęły punkt szczytowy stotalizowania i ortodoksji. W takiej sytuacji możliwa jest tylko jedna polityka — to znaczy obrona *status quo* bez względu na koszty. Ortodoksja z definicji nie może się zmienić — może tylko upaść.

Gdyby Kościół katolicki anulował dogmat o transsubstancji —

jak życzyłyby sobie pewne koła protestanckie — kościół rzymski przestałby być kościołem katolickim. Ortodoksja może trwać lub upaść — lecz z chwilą gdy się przekształca — upada, ponieważ przestaje być ortodoksją.

Komunizm chiński jest daleki od skostnienia. Dowiodła tego zarówno „rewolucja kulturalna” jak i przeprowadzana obecnie reforma szkolnictwa.

Nie twierdzę — co podkreślam z naciskiem — że komunizm chiński będzie ewoluował w kierunku socjalizmu o ludzkim obliczu. Ewolucji chińskiego komunizmu nikt nie jest w stanie przewidzieć. Twierdzę natomiast, że Chińczycy mogliby sobie pozwolić na „odwilż” daleko łatwiej i bezpieczniej niż Rosjanie. Wydaje mi się również prawdopodobne, że Chińczycy z chwilą kiedy wyjdą z izolacji i pogłębią swoją znajomość współczesnych stosunków międzynarodowych — dojdą powoli do wniosku, że ich polityka w stosunku do Sowieców jest nie tylko błędna lecz katastrofalna. Współzawodnictwo na temat: „kto jest lepszym stalinistą” — jest przedsięwzięciem beznadziejnym z dwóch przyczyn. Po pierwsze — żadna partia komunistyczna nie może być bardziej stalinowska niż partia sowiecka, która wydała Stalina. Doktryna Breżniewa, którą Chińczycy potępiają, jest chemicznie czystym stalinizmem i żaden stalinista nie może jej odrzucać. I punkt drugi. Poza partią sowiecką — nikt nie chce ani stalinizmu ani doktryny Breżniewa, ponieważ stalinizm jest komunizmem z rosyjskim, imperialistycznym obliczem. Chiny mogłyby się stać prawdziwie stalinowskie tylko wówczas, gdyby zaakceptowały status Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Niepodległość i stalinizm są pojęciami przeciwstawnymi.

Chiny są jedynym państwem na świecie, które posiada potencjalne możliwości rozbicia imperium sowieckiego bronią ideologiczną.

Czechosłowację można zmusić do posłuszeństwa kolumnami czołgów — lecz nie Chiny.

Odrzucać doktrynę Breżniewa, głosić, że każde państwo komunistyczne ma prawo do niepodległości — to jeszcze za mało. Rumunia swoją terytorialną niepodległość okupuje ideologicznym konformizmem. Gdyby Czechosłowacja w latach 1967-1968 była ideologicznie równie konformistyczna jak dzisiejsza Rumunia — do inwazji byłoby nie doszło. Co komu z niepodległości na zewnątrz — jeżeli na wewnątrz trzeba żyć w kaftanie bezpieczeństwa. Tego typu niepodległość terytorialna jest fikcją. Osobiście wolałbym żyć na Węgrzech, które uznają doktrynę Breżniewa — lecz są znacznie mniej konformistyczne niż Rumunia. Marginesy wolności są większe na Węgrzech niż w Rumunii. Nacjonalizm nie stanowi namiastki wolności. Rumuni są bardzo rumuńscy — lecz wolni nie są.

Chińczycy muszą sobie zdać sprawę z faktu, że anty-sowiecki stalinizm nie ma po prostu sensu — podobnie jak nie ma sensu antyrzymski katolicyzm. Jeżeli ktoś odrzuca zwierchność Rzymu

— automatycznie odrzuca katolicyzm i musi przyjąć inną formę chrześcijaństwa.

Antysowietyzm chiński nie może być politycznie skuteczny — dopóki jest stalinowski. Stalinizmowi można przeciwstawić tylko antystalinizm — konserwatywnemu konformizmowi — rewolucyjny anty-konformizm.

Chińczycy nie będą nigdy championami zachodniego typu demokracji. Tego nikt nie oczekuje. Wolno natomiast oczekiwać, że Chińczycy — choćby tylko na eksport — powrócą do polityki „stu kwiatów”, starając się zagarnąć pod swój wpływ dziesiątki milionów anty-stalinowskich komunistów w krajach, które tworzą imperium sowieckie.

Dziś Chiny — ze swoimi propagitkami radiostacji Tirana — nie stanowią żadnej alternatywy dla komunistów anty-imperialistów w bloku sowieckim. Pekin potępił Dubczeka za rewizjonizm a Sowiety za agresję. Innymi słowy nikt nie miał racji — ani Dubczek ani Breżniew. Lecz to było w roku 1968. W sierpniu br. Chińczycy zaofiarowali pomoc prezydentowi Sudanu Numeiri, który — by użyć słów radia Moskwa — „dokonał barbarzyńskiej rzezi komunistów”. Oczywiście chodziło w tym wypadku o komunistów pro-sowieckich a więc pełnej krwi stalinowców.

Pekin nie zarzucił prez. Numeiri rewizjonizmu choć — w przeciwieństwie do Dubczeka — rewizjonista Numeiri operował raczej masowo szubienicą.

Czy Chińczycy politycznie mądrzeją, czy też to co w Europie Środkowej jest potępienia godnym rewizjonizmem — w Sudanie jest pochwałą godnym buntem przeciwko imperialistycznej polityce Sowietów?

Chińczycy — jeżeli by chcieli ująć podziemny bunt przeciwko Sowietom w swoje żagle — musieliby stworzyć alternatywny model komunizmu, który obejmowałby nie tylko prawo do niepodległości terytorialnej, lecz również prawo do swobodnej interpretacji marksizmu w zgodzie ze stopniem rozwoju społeczno-przemysłowego danego kraju.

Czy Chińczycy to zrobią — trudno przewidzieć. Wydaje się jednak, że mieliby po temu możliwości.

Rozważania o nie świętej trójcy — to znaczy o Ameryce, Rosji i Chinach — chciałbym zakończyć następującą refleksją.

Ostrze zarządzeń gospodarczo-finansowych prezydenta Nixona było zwrócone głównie przeciwko Japonii.

Polityka amerykańska — jeżeli ją dobrze odczytuję — jest nieco schizofreniczna. Amerykanie jedną połową mózgu chcieliby by Japończycy uzbroili się atomowo i na terenach Azji wskoczyli w ich buty. Lecz w drugiej połowie amerykańskiego mózgu zarejestrowana jest pamięć o Pearl Harbour i pewien, nie sprecyzowany jeszcze, niepokój. Ow niepokój wyraził najpełniej Herman Kahn, jeden z mędrców Hudson Institute. Według Kahna i kilku innych specjalistów — Japonia wejdzie w trzecie tysiąclecie naszej ery — jako największa potęga przemysłowa globu.

Japonia, kraj pobity i okupowany, który pracą i lojalnością dosłużył się rangi młodszego partnera Ameryki — to jest znane zagadnienie. Japonia — największe mocarstwo przemysłowe świata plus bronie atomowe — to jest nowe i niepokojące zagadnienie.

Gdyby Amerykanie zechcieli na powyższy temat wyrazić swoje obawy — w Pekinie znajdą najżarliwszych słuchaczy.

Juliusz MIEROSZEWSKI

8 sierpnia 1970

Widziane z Brukseli

Otwarte listy i zamknięci ludzie

„Maska spadła...!” Pod takim niedwuznacznym tytułem można było ostatnio przeczytać w jednej z brukselskich gazet alarmujące wezwanie do obrony stolicy przed „flamandzkim imperializmem” (dosłownie). Autor listu, zasłużony obrońca francuskiego charakteru Brukseli, odpierał ataki prasy flamandzkiej twierdzącej: a) że „Bruksela była zawsze miastem flamandzkim, leży na terytorium Flandrii i Flandria nie zamierza z niej zrezygnować” i b) że Bruksela zamieszkała jest przez setki tysięcy osób, które „choć są w połowie sfrancuziałe, to jednak należą do narodu flamandzkiego”. Tezy flamandzkie uznane zostały na pierwszej stronie największego dziennika belgijskiego za „rasizm czystej wody” i porównane do procedury nazistów, którzy na podobnej zasadzie wcielili do Wehrmachtu mieszkańców Malmedy, Luksemburga i Alzacji.

Belgowie, naród spokojny i do podobnej pasji, konsumowanej zresztą wyłącznie w gazetowej i werbalnej formie, może ich doprowadzić tylko spór na temat zasad współżycia Flamandów, Walonów i Brukselczyków. Ponieważ temperament polemiczny Belgów spala się w tej bogatej dziedzinie, nic dziwnego, że każda polemika prasowa na i n n y temat zostaje przyjęta z życzliwym niedowierzaniem. A właśnie do takiej polemiki doszło...

Sztuka i życie

Oto bliski memu sercu (i nie tylko sercu) brukselski *Le Soir* wydrukował pewnego dnia komentarz o sytuacji w Czechosłowacji. Tytuł odpowiadał treści: „Kultura w więzieniu”. Chodziło mianowicie o to co Aragon, poeta komunistyczny, nazwał „Biafłą ducha” czy może „duchową Biafłą”. Mowa więc była o teatrze

czechosłowackim, o tym jak cenzura pokrajała „Mutter Courage” Brechta, „Henryka V” Szekspira, „Don Juana” Molièra i kilka innych wyrotowych sztuk. Dla nas takie zabiegi to nic wielkiego, widzieliśmy lepsze w „Dziadach” na premierze wydarzeń marcowych, ale autor *Soir*’u myślał, że Belgami wstrząśnie, jako że w tym kraju nawet na Arrabalu się nudzą, a cenzura nie wycina kwestii, a przykrywa pewne części ciała. Otóż, autor z *Soir*, przy okazji opowieści o losach Krejczy, jednego z najciekawszych reżyserów praskich właśnie wylanego z teatru, który sam stworzył i prowadził, wyrażał pewne wątpliwości czy niefrasobliwa obecność wielu zachodnich ludzi teatru na międzynarodowej *quadriennale* spektaklu w Pradze, natychmiast po likwidacji ich wielkiego kolegi, jest najlepszym pomysłem. W oczach np. opinii czechosłowackiej — mówił komentarz — taka obecność dostarcza alibi „normalizatorom”.

Nieostrożny komentator najpierw dostał „z lewa”, co jest zupełnie normalne, nie pierwszy raz się zdarza i nikt poważny nie zwraca tu na to uwagi. Równocześnie odezwał się jeden z zachodnich uczestników tej *quadriennale*, broniąc swej (i innych) obecności w Pradze. Odrzucił oskarżenie, nigdzie zresztą nie sformułowane, o kolaborację z „normalizatorami”, zakomunikował, że w konkretnej sytuacji Krejczy nie mogą pomóc „diatryby” (ostre, polemiczne mowy — patrz Słownik wyrazów obcych str. 172), że mogą one, te diatryby, wyrządzić mu niedźwiedzią przysługę, że zamiast diatryb lepiej byłoby wydać na Zachodzie Krejczego „Notatki reżysera”, bo to i wydawca zarobi i sam Krejczca będzie miał z tego pożytek. No i że on sam, czyli teatrolog zachodni, nie ma sobie nic do wyrzucenia, bo osobiście podpisał uroczysty list z protestem w obronie Krejczego, który sam *Monde* na dobrym miejscu wydrukował.

Autor, ten od „Kultury w więzieniu”, odpowiedział na list wycieczkowicza do Pragi długą ripostą. Zgodził się, że hasło absolutnego bojkotu jest absolutnym idiotyzmem, ale dodał, że nie znaczy, iż każdy kontakt jest mądry, właściwy i pożyteczny. Dla przykładu zapodał, że dziwne byłoby, gdyby szachiści zebrali się na turnieju w Pradze w dzień po aresztowaniu arcymistrza Pachmana, lub też żeby Aragon bezradnie — jak Iwaszkiewicz — asystował na Zjeździe pisarzy sowieckich w potępianiu Sołżenicyna, denuncjonowaniu Amalrika itp. *Soir* dodał także, że nie należy bać się diatryb, bo diatryba szwedzkiego ministra Nilsona spowodowała w 68 roku anulowanie wizyty Cyrankiewicza, ale mogła za to przesładowanym polskim syjonistom i nie popsuła sytuacji międzynarodowej, ani nawet stosunków polsko-szwedzkich.

Jeżeli natomiast chodzi o list, w którym największe sławy teatru: Beckett, Bejart, Brook, Dürenmatt, Godard, Olivier (sir), Planchon, Strehler, Terzieff, Tynen i Weiss, domagali się natychmiastowego oddania „Teatru za Bramą” z powrotem Krejczy, to dziennikarz dał artyście delikatnie do zrozumienia, że list chyba zginął po drodze, że podczas kiedy artystom chodzi o sztukę, to

Krejczy chodzi o życie, i że nawet jeżeli wydadzą mu książkę na Zachodzie, to wydawca zrobi może dobry interes, ale Krejczca niekoniecznie, bo pamiętamy rozdział pod tytułem „judaszowe srebrniki...”.

Argument o sztuce i życiu nie zabrzmiał przekonująco, wszyscy byli bowiem pewni, że wobec nacisku takich asów sceny Husak się załamie, przeprosi i odda Krejczy teatr i swobodę. Na szczęście, albo raczej na nieszczęście, Husak wytrwał. Aby zaś przekonać sławnych sygnatariuszy z Zachodu o nieskuteczności przeszkadzania prawdziwej rewolucji kulturalnej (jak ją nazwał nowy redaktor pisma teatralnego w Pradze, zasłużony kolaborant hitlerowski), to zanim jeszcze wysechł atrament pod protestem w sprawie Krejczy, postawiono przed sądem niejakiego Polednaka, byłego dyrektora filmu czechosłowackiego. Za co, detalicznie nie wiadomo, ale KC wskazało, że Polednak oddał film w ręce rewizjonistów, syjonistów i wrogów ZSSR, o czym wymownie świadczyły różne Oskary i inne nagrody festiwalowe.

Wszystko byłoby w porządku, na tym rozumowaniu przecież mucha nie siada, i nie zatrzymywaliśmy się nad tym banalnym wydarzeniem, gdyby nie fakt, że proces Polednaka odbył się tuż, po tym jak najwięksi ludzie filmu oraz liczni krytycy, zebrani w spartańsko-ascetycznych warunkach festiwalu w Cannes, wystosowali do tego samego Husaka ostry list z żądaniem aby sprawiedliwości stało się zadość i to szybko i aby Polednak odzyskał jeżeli nie film to przynajmniej wolność. Odpowiedzi na list nie dostali, natomiast Polednak dostał dwa lata. Po procesie przy drzwiach szczelnie zamkniętych, ludzie filmu wrócili do swych ulubionych zajęć festiwalowych, a Polednak wrócił do celi.

Tak jak po sprawie Krejczy, tak i po Polednaku pozostał tylko list i spokojne sumienie protestujących twórców. Różnica na razie jest tylko ta, że po skazaniu Polednaka nie odbyła się w Pradze jeszcze żadna *quadriennale* filmowa, choć naturalnie nie ma mowy o tym by któryś z sygnatariuszy z *Monde*’u przypomniał ten niemiły incydent.

Kubańskie „L’Aveu”

Dyskretnie zapomniana w Czechosłowacji, sztuka epistolografii zakwitła przepięknie w tropikalnym słońcu Kuby. Znowu oczywiście z powodu jakiegoś sfrustrowanego intelektualisty. W lutym tego roku aresztowano tam mianowicie *companero* Heberto Padilla, średniej, wbrew niektórym opiniom, klasy poetę, bardziej znanego na świecie z licznych podróży służbowych oraz głośnych i odważnych deklaracji politycznych. Wraz z Padillą aresztowano jego żonę, Belkys Cuza, a nieco wcześniej jego przyjaciela, francuskiego dziennikarza Pierre Golendorfa.

Aresztowanie Padilli wywołało wstrząs w zachodniej lewicy intelektualnej, zafascynowanej Kubą i osobowością Fidela. Wte-

dy powstał pierwszy list w sprawie Padilli. Utrzymany w spokojnym tonie, list starał się przekazać Fidelowi niepokój przyjaciół rewolucji kubańskiej z powodu niezrozumiałych represji przeciwko pisarzom, którzy krytykując niektóre aspekty funkcjonowania władzy, spełniają tylko swój rewolucyjny obowiązek. Piszący grzecznie prosili o przychylne potraktowanie ich listu, załączyli wyrazy szacunku i wyrazili niezachwianą solidarność z hasłami rewolucji kubańskiej. Pod listem znalazły się podpisy tych osób, które powinny się tam znaleźć. Figurowały więc tam panie Simone de Beauvoir i Margueritte Duras oraz panowie Enzensberger, Carlos Franqui (towarzysz Fidela od pierwszych dni), Carlos Fuentes (pisarz meksykański, też stary przyjaciel Fidela), trzech panowie Goytisoló, Moravia, Sartre itp.

Nie wiem czy Castro im odpowiedział prywatnie, jeżeli nie to nieładnie, bo większość znał osobiście. W każdym razie odpowiedział im Padilla. Opuścił on mianowicie kryminał po 2 miesiącach (jego żona wyszła po 2 dniach, a Golendorf zostanie 5 lat), przedtem jednak ogłosił samokrytykę, unikalny zupełnie dokument nawet jeżeli uwzględnić kwiecistość hiszpańskiego stylu i prawie bez odpowiednika w przebogatej historii samokrytyk Europy Wschodniej ze Związkiem Sowieckim na czele.

Poeta, jak mówi, „długo walczył ze sobą zanim zdecydował się powiedzieć całą prawdę”, i to „nie strach a chęć naprawienia krzywdy wyrządzonej rewolucji” spowodowała publiczną spowiedź. W części, że tak powiem, teoretycznej, Padilla stwierdza:

„Wykazywałem stałą wrogość wobec rewolucji. Wobec Kubańczyków i obcokrajowców oczerniałem rewolucję i wszelkie jej inicjatywy, przybierając pozę intelektualisty i specjalisty w dziedzinach, o których nie miałem pojęcia. W ten sposób popełniłem ciężkie przestępstwo przeciwko moralności prawdziwego intelektualisty i, co gorsza, przeciwko samej rewolucji”.

Po tym wstępie ideologicznym, Padilla przechodzi do konkretnych. W tej części obwinia „dziennikarza polsko-francuskiego K. S. Karola” oraz francuskiego profesora agronomii Dumonta o to, że „niewątpliwie są agentami CIA”, po czym rozprawia się z innymi wrogami rewolucji takimi jak Magnus Enzensberger, BBC, wydawnictwo Seuil, itp. Na zakończenie Padilla prosi o umożliwienie mu złożenia tej samokrytyki publicznie i przedyskutowanie „z tymi, którzy są już na drodze upadku” sposobu uniknięcia „moralnego i fizycznego samounicestwienia”.

Zachodnich czytelników tego poematu przoną najbardziej zaniepokoiła właśnie ta kwestia fizycznego samounicestwienia. Przyjaciele Padilli oświadczyli zgodnie, że ten przerażający dokument zadziwiająco przypomina „L'Aveu” Londona i że mógł być wydarty Padilli tylko torturami. Juan Arcocha, były kubański korespondent w Moskwie (obecnie stale w Paryżu) i stary przyjaciel Padilli zaprezentował ten pogląd w *Le Monde* i dodał, że nie zdziwiłby się, gdyby w tej sytuacji Padilla także i jego, Arcochę, zaliczył do kadry CIA.

I rzeczywiście. Tak jak p. Szafranski w *Życiu Literackim*

ciągle, w poszukiwaniu chleba, powiększał liczbę agentów CIA wśród polskich syjonistów, tak i Padilla zaczął dopisywać do swojej listy bliskich i dalszych przyjaciół, a przede wszystkim Arcochę. Podczas jednak gdy doniesienia Szafranski, ochoczo i ochotniczo redagowane, wywołały tylko uśmiech bezradnego niesmaku, i — choćby z uwagi na wymiar autora i jego organu — pozostały słodką tajemnicą PRL, to wymuszony, tragicomiczny jęk Padilli, wywołał kolosalne echo.

I tak powstał drugi list w sprawie Padilli. Jego ton ostry i oznacza prawie zerwanie między Castro a najbardziej na Zachodzie oddanymi przyjaciółmi Kuby. Sygnatariusze listu nr 2, wśród których odnajdujemy panie Beauvoir i Duras, panów Enzensbergera, Franqui, Fuentes, trzech panów Goytisoló, Moravię, Sartre'a, oraz panów Pasolini, Resnais i Roy, którzy się do nich przyłączyli, wyrażają „swoją wstyd i gniew” a tekst przypisywany Padilli nazywają „negacją praworządności i sprawiedliwości rewolucyjnej. Ta parodia samokrytyki — zaznaczają panie i panowie — przypomina najbardziej odrażające chwile stalinizmu, prefabrykowane wyroki i polowania na czarownicę”.

Castro znowu nie odpowiedział, ale Padilla nie zwlekał aby odrzucić „zatrute strzały przeciwko Kubie”. W ataku na „perfidie przeciwników” dosiadł znowu Pegaza: „Widzę — wołał poeta — odwiecznych wrogów rewolucji przebranych za pisarzy, filmowców, malarzy... widzę prawdziwe oblicze twórców defetystycznej i reakcyjnej filozofii, tych zaciekłych wrogów socjalizmu...”.

W ten sposób CIA zyskała nowych agentów w rodzaju Dumonta i Karola (który w tym czasie szpiegował akurat u Mao), socjalizm zyskał nowych zaciekłych wrogów w rodzaju pań Beauvoir i Duras oraz panów Sartre'a, Moravii i Pasoliniego oraz trzech panów Goytisoló, a sam Padilla zyskał nowych przyjaciół. Wyraził on mianowicie, wraz z małżonką, swą głęboką wdzięczność funkcjonariuszom tajnej policji, którzy w kontaktach służbowych wykazali „prostotę, skromność, wrażliwość i ciepło...”.

Można by się wzruszyć tą skromnością i prostotą, a zwłaszcza ciepłem, jakże dobrze znanym, z międzyludzkich kontaktów z chłopakami, co to „krew z krwi i kość z kości”, gdyby nie smutny wniosek o „normalizacji” Kuby i o przejęciu rewolucji castrowskiej, która była jeszcze niedawno nadzieją młodego świata, na stare, zardzewiałe pozycje sowieckie. Doradcy sowieccy, po załatwieniu Czechosłowacji, poszli może na „Kubę, jak żywiół gorącą” i poradzili jak w „L'Aveu”: wykańczać odważnych jak Krejca, nieprzekupnych jak Polednak, popularnych jak Padilla. Wykańczać i izolować, zmuszać do emigracji, obrzucać błotem. Likwidować zarazę i niebezpieczeństwo epidemii.

Ze sprawa jakiegoś Padilli jest nieuchronna było widoczne już dawno, choć sygnatariusze listu nr. 1 i nr. 2 udawali, że nic nie widzą. Padilla był skazany na „L'Aveu” w chwili gdy Castro w 1968 roku poparł inwazję ZSSR na Czechosłowację. Mimo odległości, zależność jest podobna. W Czechosłowacji jest ona

prosta, bo czołgi są na miejscu. Na Kubie, której socjalizm ZSSR płaci milion dolarów dziennie, nie licząc pomocy wojskowej, zależność ekonomiczna i polityczna spełnia rolę czołgów niemniej skutecznie a mniej kompromitująco.

Mimo jednak przedstawienia rewolucji kubańskiej na szeroki tor modelu sowieckiego, mimo pojawienia się już na Kubie „alfakracji” czyli nowej klasy zwanej tak od „Alfa Romeo” przydzielanych przez Castro zasłużonym funkcjonariuszom rozmaitych aparatów, nie należy sytuacji upraszczać i identyfikować. Zgodnie bowiem z marksistowską nauką o poszanowaniu specyficznych cech rozmaitych dróg do socjalizmu, zachodzą różnice pomiędzy poszczególnymi krajami obozu pokoju.

Ruska sztafeta

Oto np. podczas gdy Padilla zaprzyjaźnił się z policją, to Sołżenicyn, w liście znanym z poprzedniego numeru *Kultury*, wyraził uczucia wprost przeciwnie. Jeżeli jednak do tego sowieckiego „J'accuse” wracamy, to nie z uwagi na skromność NKWD a na interesujące nas dziś sprawy epistolograficzne.

Oto mianowicie ze spisu prześladowań jakie dotknęły Sołżenicyna w ciągu ostatnich dwóch lat, można by wysnuć wniosek, że tak czuli dla „inżynierów dusz ludzkich” czytelnicy z Kremla nie wzięli pod uwagę listu otwartego, jaki grono 31 pisarzy opublikowało w grudniu 1969 roku w londyńskim *Times*'ie. Panowie Alvarez, Emmanuel, Grass, Greene, Hohnut, Huxley, Miller (Artur), Styron, Toynbee oraz pani McCarthy, a więc wyłącznie lokatorzy Olimpu, wezwali wówczas lokatorów Kremla do zaprzestania prześladowań pisarzy w ZSSR w ogóle, a Sołżenicyna w szczególności. Zagrozili oni, że „jeżeli nasz apel nie będzie wysłuchany, nie pozostanie nam nic innego, jak wezwać pisarzy i artystów z całego świata do zastosowania kulturalnego bojkotu wobec kraju, który się sam postawił poza nawiasem cywilizacji...”.

Ostro powiedziane i nie przez byle kogo!

No i co?

No i nic. Nawet najbardziej zacne głowy nie są bowiem wolne od błędów. Pomysł bojkotu był niepoważny, bo nierealny. Nie przerwał też ani chwilę wymiany i podróży, zniechęcił natomiast innych do podejmowania akcji protestacyjnych. W istocie bowiem nierealność najszlachetniejszego nawet protestu utrudnia walkę z dzierżymordami i sprawia, że kiedy chodzi już nie o bojkot w ogóle a o konkretne kroki, takie np. jak bojkot festiwalu na cmentarzu praskiego teatru, wtedy wielkich nazwisk brak, nie ma komu rzucić właściwego hasła, słabsi jadą, a Husaki zacierają ręce.

Choć Kreml prześladowań nie przerwał, to list „31” nie zawiął jednak w próżni. Obronę Sołżenicyna podejmowało wiele osób i instytucji, a najlepiej bronił się on sam. Ponieważ nas interesuje dziś sztuka epistolografii, więc powiedzmy od razu, że naj-

wspanialszym dokumentem serii sołżenicynowskiej jest otwarty list wielkiego wiolenczelisty Rostropowicza. Jest to drapieżna i nie do odparcia analiza bankructwa do jakiego kulturę sowiecką doprowadziła obłądana polityka partii. Ponieważ nie chodzi nam o szczegóły, nie nasza parafia, więc przejdźmy od razu do wniosków. Rostropowicz, mianowicie, odpowiedzi nie otrzymał, list zresztą nie doszedł do adresata, bo go żadna gazeta moskiewska nie wydrukowała. Prawdopodobnie nie zmieścił się z powodu nawału materiału. Rostropowicz natomiast, bez związku z listem naturalnie, stracił paszport i jak dotąd jeszcze nie wyjechał za granicę. Kary za zerwanie zagranicznych umów zapłaciło państwo sowieckie, bo bogate z domu, a o szkodzie prestiżowej szkoda mówić, bo rzeczywiście nie ma o czym. I słusznie, świat bowiem od razu o wszystkim zapomniał. Witaj więc gorąco (jeżeli nie liczysz manifestacji syjonistów amerykańskich, ale to z innych powodów) wielkich artystów rosyjskich takich jak Ojstrach, Kogan, Gilels i Plissieckaja, a także ochoczo wysyłał swoich do melomanów w ZSSR.

Tylko jeden nie może pojechać. Nazywa się Igor Markiewicz, jest z pochodzenia Rosjaninem i jednym z największych dyrygentów współczesnych. A dlaczego nie może jechać? A no, znowu przez pisanie listów. Markiewicz mianowicie wziął z kolei w obronę Rostropowicza i napisał list do pani Furcewej, ministra Kultury w Moskwie. W tej ruskiej sztafecie (która zastąpiła słynną ruską ruletę) dyrygent tłumaczy ministrowej, że areszt nałożony na wiolenczelistę, za to, że wystąpił w obronie pisarza jest absurdem.

„Myśli Pani, że można rozwiązać problem Sołżenicyna przez nałożenie mu kagańca i że należy związać Rostropowicza ponieważ miał odwagę powiedzieć głośno, to co wielu skrycie myśli. W ten sposób Wolność i Prawda są u was istotnie nierozłączne w tym sensie, że niszczyacie pierwszą aby ukryć drugą... Niech Pani przerwie ten niegodny proceder i niech Pani zrozumie, że tolerując stały gwałt na człowieczeństwie, bierze Pani na siebie ogromną odpowiedzialność. Zawsze bowiem kiedy odbieracie człowiekowi swobodę wypowiedzi, raniacie całą ludzkość...”.

Pani Furcewa, jak wiadomo, nie przerwała i nie zrozumiała, a Markiewicz z Rostropowiczem nie mogą się spotkać, mogą za to pisać listy otwarte i listy do siebie, choć bez gwarancji, że dotrą one do adresata.

Nadawcy bez adresata

Jest wiele sposobów zakończenia tej epistoły. Można by np. wytoczyć proces zachodniej lewicy za premedytowane uspokojanie swego sumienia najtańszym, listownym, sposobem.

Czy jednak byłoby to akt sprawiedliwy? Cóż innego, bogiem a prawdą, jej pozostaje, jak inaczej może ona się zachować — w warunkach priorytetu politycznego współistnienia — wobec

systemu, który co jakiś czas musi strzelać do robotników i musi aresztować pisarzy, albowiem zawsze wtedy kiedy staje wobec alternatywy przyznania się do klęski, wybiera zbrodnię aby tę klęskę ukryć?

Piszmy więc listy otwarte, choć nie skuteczne i listy prywatne, choć nie dochodzą do adresatów. Tak jak nie doszło 50 jedno-brzmiających łożawych listów do adresatów w PRL. Wysłał je pewien mój znajomy, który od tego czasu wycofał się całkowicie z epistolarnej akcji uszczęśliwiania świata.

I słusznie się wycofał. Albowiem, jak powiada pan Acton, który choć lord to dobrze zna życie:

„Społeczeństwo staje się piekłem w miarę usiłowań przekształcenia go w raj”.

BRUKSELCZYK

Pisane 10 września 1971

Pianista, Stanisław NIEDZIELSKI, koncertując w okresie jesiennym we Francji, na prośbę Polskiej YMCA zgodził się przeznaczyć część dochodu ze swojego koncertu na akcję YMCA w świecie w dziale pomocy dla potrzebujących.

Koncert ten odbędzie się w sali Pleyel w Paryżu w dniu 13 października rb., o godz. 21-szej.

St. Niedzielski przeznaczają jednak na akcję YMCA w świecie jedynie dochód z biletów na powyższy koncert, zakupionych w YMCA.

Ceny biletów wynoszą od 15-tu do 35-ciu Franków.

Zamawiać i nabywać bilety można wyłącznie w:
YMCA

13, Av. Raymond Poincaré, Paris-16^e
codziennie od godz. 10-ej do 20-ej.

Telefon: PAS. 92-96 i PAS 92-97.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Zdarzało mi się już wychodzić poza ramy mojej rubryki i pisać o sprawach, które „w sowieckiej prasie” były przemilczane albo fałszowane. Obecny przegląd chcę również poświęcić tekstowi, który nie był zamieszczony w prasie sowieckiej. Wydaje mi się on ciekawy z wielu powodów. Po pierwsze: z tego co wiem, materiał ten jest dość szeroko rozpowszechniony w Samizdacie, a dotąd mało znany na Zachodzie; po drugie: z mego punktu widzenia jest on niezmiernie ważny dla charakterystyki niektórych zjawisk zachodzących w sowieckim „podziemiu”; po trzecie wreszcie: manifest, o którym chcę pisać, jest odpowiedzią na „Program Ruchu Demokratycznego Związku Sowieckiego” wydany w bibliotece *Kultury*¹. Można by jeszcze dodać, że tekst o którym będę mówił chętnie wydrukowałyby niejedna sowiecka gazeta.

Tekst ten nazywa się „Głos narodu. Manifest rosyjskich patriotów”. W „Kronice bieżących wydarzeń” nr 17 w dziale „Nowości Samizdatu” treść tego manifestu była przedstawiona w następujący sposób:

„Dokument o charakterze deklaracyjnym, manifest rosyjskich nacjonalistów. Autorzy gwałtownie polemizują z narodowymi (i w ogóle wszystkimi) liberałami, oskarżając ich o wykorzenienie, bezzilę i obiektywną szkodliwość poglądów. 'Rosyjscy patrioci' walczą o czystość białej rasy skażonej 'chaotycznym zanieczyszczeniem', o odrodzenie Rosji ('wielkiej, jedynej i niepodzielnej') i o narodową religię”.

Streszczenie wiernie i dokładnie oddaje zasadniczą treść dokumentu. Pełny tekst manifestu zapoznaje nas nie tylko z programem, ideami i koncepcjami „rosyjskich patriotów”, ale również pozwala nam przekonać się o istnieniu silnego ruchu podziemnego, który niewątpliwie może liczyć na poparcie narodu

1. „Głosy stamtąd”. Biblioteka „Kultury”, tom 197, rok 1970.

— rosyjskiego narodu — w znacznie większym stopniu niż „ruch demokratyczny”.

Wzorując się na układzie „Manifestu Ruchu Demokratycznego” — „rosyjscy patrioci” dają na początku „ocenę sytuacji światowej”, potem analizują „sytuację społeczeństwa” (myśląc o państwie sowieckim), „problem narodowy”, „problem religijny” i kończą „naszymi zadaniami” w dziedzinie polityki wewnętrznej.

Mamy więc w ten sposób szczegółowo opracowany program będący alternatywą zarówno wobec programu „ruchu demokratycznego”, jak i programu partii komunistycznej. Program ten nie odznacza się oryginalnością, jego znaczenie polega na szczerości.

„Głównym niebezpieczeństwem” — oświadczają autorzy „Głosu narodu” — „jest degeneracja wywołana względami biologicznymi... oznakami tego rozkładu są: spadek liczby urodzeń, wzrost społecznej apatii zarówno w tzw. wolnych krajach, jak i w tzw. państwach totalitarnych, ucieczka ludzi do osobistego życia, do budowania prywatnego szczęścia, wzajemna obcość, atomizacja społeczeństwa, zanik duchowych zainteresowań, powstanie pustki w duszach ludzkich; rezultatem tego są bezmyślne, potworne przestępstwa, pijaństwo i narkomania”.

Za jeden z rezultatów tej degeneracji „rosyjscy patrioci” uważają demokrację z jej „trującą ideą równości”. Przeciwstawić się „temu procesowi degeneracji zdolna jest tylko silna władza, opierająca się na narodowych tradycjach”. Z krótkiego zarysu historii Rosji dowiadujemy się, że „taka władza niegdyś istniała w Rosji”. Potem, w okresie panowania Mikołaja II, nastąpił „okres liberalno-demokratycznego rozkwitu”, który doprowadził do pierwszej wojny światowej i do rewolucji 1917 roku. „Gen. Korniłow próbował uratować sytuację, ale rząd Kiereńskiego zwrócił się o pomoc do bolszewików, robiąc w ten sposób pierwszy krok do swej własnej zguby”. Przychodzi rewolucja październikowa, która tworzy, po wstrząsach, „nową strukturę społeczną”; w pierwszym okresie próbują ją wykorzystać „siewcy stałego chaosu”. Potem jednak „zostali oni szybko wyrzuceni z siodła i bezlitośnie zniszczeni przez siłę, której pochodzenia nie mogli do końca zrozumieć”.

Siły rosyjskiego narodu, siły narodowe pozwoliły oczyścić rewolucję rosyjską z „siewców stałego chaosu” i dojść do pozytywnych rezultatów. Jako obiektywnego świadka „rosyjscy patrioci” wskazują sędziwego rosyjskiego monarchistę i nacjonalistę Wasilja Szulgina, który wśród pozytywnych rezultatów rewolucji październikowej wymienia „przywrócenie dyscypliny w wojsku, przywrócenie prawie w całości starych granic (prawie, ale nie całkowicie — A. K.), przywrócenie władzy jednostki”.

W przedmowie do antologii „Głosy stamtąd” Juliusz Mieroszewski dziwi się „antyrewolucyjności sowieckich demokratów”. „Patrioci rosyjscy” są za rewolucją, wyśmiewają się z „filistrów i liberałów” dla których „najstraszniejszym słowem jest słowo — rewolucja”. Ale ich rewolucja — to rewolucja rasowa. Apro-

buja hitleryzm „który głosił bezlitosną wojnę degeneracji”, ale zarzucają mu niekonsekwencję, że „powodował się nie rasowymi wytycznymi, które głosił, ale wąsko-nacjonalistycznym egoizmem, ogłaszając za mniej wartościowe nawet takie narody, które były na tym samym stopniu rozwoju co i Niemcy”.

Nawet rewolucję październikową, która ich zdaniem zrobiła wiele rzeczy dobrych (patrz wyżej), „patrioci rosyjscy” oskarżają o rasową niekonsekwencję. Za jedną z ważniejszych pomyłek sowieckiego państwa uważają kolektywizację przeprowadzoną przez Stalina według recepty Trockiego. Rasowa niższość jednego i drugiego jest dla autorów manifestu najbardziej oczywista.

„Dla nas naród jest prapoczątkiem, a wszystko inne wywodzi się z niego”. W związku z tym, jeszcze przed przedstawieniem programu swej działalności w Rosji, „rosyjscy patrioci” przedstawiają swój program innym „białym narodom”. Ostrzegają Stany Zjednoczone przed niebezpieczeństwem grożącym ze strony przedstawicieli „trzeciego świata wkorzenionych w społeczeństwo amerykańskie”, to jest ze strony Murzynów, którzy „kładą nogi na stół usłudze podstawiany im przez liberałów, i konsekwentnie realizują swój cel: stać się klasą rządzącą w Ameryce”. Ogromne niebezpieczeństwo grozi całemu światu. „Gdy Anglosasi ostatecznie stracą poczucie dumy narodowej i ugrzęzną w liberalnym błocie, ogromny potencjał gospodarczy Stanów Zjednoczonych może się stać orężem dla osiągnięcia władzy nad światem przez czarną rasę”.

Przechodząc do sytuacji w społeczeństwie sowieckim autorzy „Głosu narodu” stwierdzają dwie prawdy. Pierwsza — „główny zarzut, który wysuwa się wobec panującego u nas ustroju, to jego niedemokratyczność”. Drugą prawdą jest to, że silne, centralistyczne, niedemokratyczne państwo „odpowiada narodowym tradycjom i żądaniom. Tak było, jest, będzie i powinno być (ma się rozumieć idzie o treść, a nie o konkretną formę)”. „Rosyjscy patrioci” podkreślają, że „naród jest stale obojętny” wobec apeli demokratów, bo w swej narodowej treści opowiada się przeciw demokracji i za silną, narodową władzą.

Konkretny program zmian, wysuwany przez „rosyjskich patriotów” w dziedzinie stosunków ekonomicznych, ogranicza się jedynie do reformy gospodarstwa wiejskiego: „kwitnące gospodarstwo wiejskie ma charakter ogólnonarodowej konieczności i jeśli dla realizacji tego celu trzeba będzie dopuścić do silnych indywidualnych gospodarstw — trzeba pójść na to — nie licząc się z żadnymi dogmatami. Zamiast kupować zboże w Kanadzie lepiej stworzyć własną Kanadę”.

Najbardziej wyczerpująco i precyzyjnie „rosyjscy patrioci” wypowiedzieli się w dziedzinie zagadnień narodowościowych. Jest to zrozumiałe jeśli wziąć pod uwagę, że dla nich „zagadnienie narodowe jest zasadniczym zagadnieniem współczesności”. Głównym nieszczęściem społeczeństwa sowieckiego i państwa sowieckiego jest, ich zdaniem, to, że Rosjanie, stanowiący 57 % ludności, odgrywają w kraju „nieproporcjonalnie małą rolę”, że

nie są bynajmniej uprzewilejowanym narodem, ale „wprost przeciwnie”.

Jednym z powodów takiej sytuacji jest fakt, że „wszystkie tzw. Republiki Związkowe mają swoje partie komunistyczne, z wyjątkiem Rosji”. Prowadzi to do „nieproporcjonalnego wzmocnienia najliczniejszej z grup regionalnych — Ukrainy”.

„Rosyjscy patrioci” przestrzegają przed „silnym, nacjonalistycznym ruchem na Ukrainie”, który stawia sobie „zupełnie nie-realne cele”, to jest stworzenie niezależnego państwa. W takim wypadku, ostrzegają autorzy manifestu, trzeba by zrewidować granice Ukrainy i zabrać jej a) okręgi z przewagą ludności rosyjskiej: krymski, charkowski, doniecki, ługański i zaporoski, oraz b) okręgi z „ludnością w dostatecznym stopniu zrusefikowaną: odeski, nikolajewski, chersoński, dnipropropietrowski i sumski”.

Ale to nie wszystko. „Rosyjscy patrioci” radzą nacjonalistom ukraińskim „pomyśleć o pretensjach, jakie mogą zgłosić Polacy do okręgów zachodnich, których ludność jest nastawiona polonofilsko”.

Krótko mówiąc, samodzielna Ukraina „bez dostępu do morza i bez głównych okręgów przemysłowych” nie mogłaby istnieć i byłaby zmuszona jak „syn marnotrawny” powrócić na łono Rosji.

„Rosyjscy patrioci” protestują przeciwko sztucznemu utrzymaniu „narodu białoruskiego”, przeciwko „niezgodnemu z konstytucją statusowi Kazachstanu jako republiki związkowej, gdyż tubylcy stanowią tylko 1/3 część ludności. Kirgizja także jest prawie w połowie zrusefikowana”. W Gruzji „milion Rosjan i Ormian plus mniejszości takie jak abchaska i osetyńska cierpią na skutek wielkomocarstwowych ambicji gruzińskich”.

Jednym słowem wiele trzeba zrewidować w dotychczasowej polityce narodowościowej nie zapominając, ma się rozumieć, i o Żydach. „Rosyjscy patrioci” uważają za niesprawiedliwe, że „tak wiele robi się hałasu z powodu antysemityzmu w Rosji”. Sprawa przedstawia się całkowicie inaczej. „Realizując politykę narodowego kumoterstwa, Żydzi prawie zmonopolizowali dziedzinę nauki i kultury... a biedni 'uprzywilejowani' Rosjanie nie śmiało tłoczą się z boku”. Należałoby mówić raczej o „antyrosyjskości”, niż o antysemityzmie.

Przechodząc do praktycznych wniosków, „rosyjscy patrioci” oznajmniają: „Naszym hasłem jest jedyna, niepodzielna Rosja. Niepodzielność w naszym rozumieniu oznacza terytorialną jednolitość państwa przy pełnej swobodzie rozwoju kulturalnego wszystkich narodów zamieszkujących kraj, ale bez ogromnych wydatków na kosztowne atrybuty nieistniejących kultur, obojętnych dla tych narodów, do których one jakoby należą”.

Następnie idzie dość dziwne oświadczenie: „Żaden przedstawiciel jakiegokolwiek narodu lub rasy nie będzie nigdy traktowany w Rosji jako istota drugiej kategorii, jeśli tylko sam nie da powodu do takiego traktowania”. Co może być takim powodem — tego się nie wyjaśnia.

Ciekawy jest również rozdział poświęcony religii. Określając siebie jako wierzących, religijnych ludzi „rosyjscy patrioci” pozostają wierni istocie swego światopoglądu — rasizmowi, przy czym rasizmowi dość niespodziewanie (a może spodziewanie) ozdobionemu marksizmem. To nie Pan Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, ale człowiek stworzył Boga według swego wzoru. Nie jest więc dziwne, że tak „złym, popędlivym i niszczącym wszystkich konkurentów był Bóg w pojęciu Żydów”.

„W nacjonalistycznym państwie — którego powstanie stawiamy sobie za cel — piszą autorzy Manifestu — tradycyjna rosyjska religia powinna zajmować należne jej zaszczytne miejsce”.

I oto zbliżamy się ku końcowi. Istnieje potężne rosyjskie narodo-wo państwo. Jakie więc są jego wewnętrzno-polityczne zadania? Naliczyliśmy ich cztery.

1. Na Zachodzie. Koniec zbrojnej konfrontacji Rosji i Zachodu. (W przypadku uznania przez Zachód politycznej i religijnej niezawisłości Rosji. Nie może być mowy o żadnej „konwergencji” czy też ideologicznej kapitulacji). Likwidacja bloków wojennych: Paktu Atlantyckiego i Układu Warszawskiego. Wycofanie wojsk rosyjskich z terytoriów innych państw pod warunkiem podobnego postępowania ze strony USA. Zjednoczenie Niemiec. Przyznanie niezmienności powojennych granic. Stworzenie Ligi państw słowiańskich na zasadzie równouprawnienia i niemieszania się w sprawy wewnętrzne. Zawarcie z mocarstwami zachodnimi układu o wzajemnym nieużywaniu broni atomowej.

2. Na Wschodzie. Wspólne prewencyjne działanie Rosji, USA i Indii w celu odwrócenia niebezpieczeństwa chińskiego.

3. Trzeci świat. Prowadzenie polityki uzgodnionej pomiędzy Rosją i zachodnimi mocarstwami, bez współzawodnictwa i pretensji do przewagi. Wspólna opieka, kontrola i prawo do ingerencji w przypadku naruszenia praw człowieka.

4. O.N.Z. Likwidacja tej bezsilnej organizacji, niezdolnej do wprowadzenia porządku w świecie, i zastąpienie jej sojuszem państw cywilizowanych na czele z Rosją i anglosaskimi Stanami Zjednoczonymi.

Usiłowałem możliwie dokładnie (obficie cytując) przekazać nie tylko sens, ale i treść dokumentu, który z rozbrajającą naiwnością odkrywa marzenia i nadzieje poważnej części klasy rządzącej imperium rosyjskim. Marzenia i nadzieje, o których rozmawiają w szczupłym gronie, ale o których nie decydują się mówić otwarcie, z publicznej trybuny.

Tekst „Głosu narodu” jest tak wymowny i tak prymitywny w swoim zoologicznym nacjonalizmie, w swojej nienawiści do wszystkich „obcych”, że — wydaje mi się — nie wymaga żadnych komentarzy. Należy tylko podkreślić, że wyjąwszy religię — zresztą religię rasistowską, niczego wspólnego nie mającą z chrześcijaństwem, — hasła, plany i dążenia „rosyjskich patriotów” niewiele się różnią od oficjalnych hasł i planów twórców ideologii sowieckiej. To właśnie sowiecka ideologia „narodowa w

formie i socjalistyczna w treści", doprowadzona do swoich logicznych konkluzji. Gromkie okrzyki o „wielkim państwie rosyjskim”, o „wielkim narodzie rosyjskim”, które zapełniają strony ksiązek i gazet wychodzących w milionowych nakładach, nagle znajdują dopełnienie w słowach strasznych w swoim bezmyślnym spokoju: „kiedy mówimy: naród rosyjski, mamy na myśli prawdziwych Rosjan z krwi i kości. Trzeba wreszcie położyć kres chaotycznemu wymieszaniu”.

I w ślad za tym krwawym bełkotem hasła: „Niech żyje zwycięstwo cywilizacji chrześcijańskiej nad zbuntowanym przeciw niej chaosem! Niech żyje wielka, jedyna i niepodzielna Rosja! Z nami jest Bóg! Patrioci rosyjscy”.

Juliusz Mieroszewski pisał w przedmowie do „Głosów stamtąd”: „Demokraci sowieccy znajdują się w lepszym położeniu, niż polscy. Rosyjskiego Dubczeka mogłoby zlikwidować KGB, ale nie obce czołgi”. To oczywiście prawda. Nie wolno jednak zapominać, że rosyjskiego Dubczeka, nawet jeśli by go nie tknęło KGB, czekałaby rozprawa z „rosyjskimi patriotami”.

Adam KRUCZEK

Kronika

TRAGICZNA ŚMIERĆ KAZLAUSKASA

Dnia 21 listopada 1970 roku w tygodniku *Literatura ir menas* („Literatura i sztuka”), wychodzącym w sowieckiej Republice Litewskiej, ukazała się wiadomość o zgonie międzynarodowej sławy językoznawcy litewskiego i bałtyckiego, profesora uniwersytetu wileńskiego, dra Jonasa Kazlauskasa. W nekrologu, pod którym widniały nazwiska trzech kolegów zmarłego, słowo „zgon” poprzedzone było przymiotnikiem „nieoczekiwany”. W tym samym numerze wspomnianego czasopisma zamieszczone były również oficjalne kondolencje od rektora uniwersytetu wileńskiego, od organizacji partyjnej uniwersytetu, a także od pracowników Instytutu Języka i Literatury Litewskiej przy Akademii Nauk Litewskiej SSR. Nie było wszakże żadnej wzmianki o dacie, miejscu i przyczynie śmierci.

Prof. dr Jonas Kazlauskas, ur. 1 sierpnia 1930 roku, był jednym z najwybitniejszych uczonych w dziedzinie językoznawstwa bałtyckiego; był on również redaktorem czasopisma *Baltistica* (założonego w roku 1965), jedyne go czasopisma międzynarodowego poświęconego obecnie zagadnieniom tegoż językoznawstwa. Był on powszechnie znany i ceniony w zachodnich ośrodkach językoznawczych jako czołowy językoznawca litewski.

Według wiadomości ze źródeł nieoficjalnych, Kazlauskas został zamordowany przez agentów KGB w następstwie zażalenia z którym wystąpił do wileńskiego oddziału KGB w końcu września lub na początku października 1970 roku. Zażalenie to spowodowane zostało odmową, udzieloną przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i Średniego w Moskwie w odpowiedzi na zaproszenie profesora przez jeden z uniwersytetów amerykańskich (jeszcze w styczniu 1970 roku) na przyjazd do Stanów, aby tam wygłosił cykl odczytów o zagadnieniach językoznawstwa bałtyckiego. Z charakterystyczną sowiecką bezceremonialnością, bez porozumienia się z zaproszonym, jeden z urzędników ministerstwa odpisał zdumionym profesorom amerykańskim, że prof. Kazlauskas nie będzie mógł przyjechać do Stanów wskutek „nadmiaru zajęć”. Kiedy jednakże sam profesor osobiście wystąpił z zażaleniem do KGB w Wilnie, musiało to spowodować nielada konsternację, jako że Kazlauskas był nie tylko dziekanem wydziału filologii uniwersytetu wileńskiego i wybitnym naukowcem, lecz był również członkiem organizacji partyjnej tegoż uniwersytetu (od roku 1963); wskutek tego miejscowe władze KGB nie powzięły żadnej decyzji na miejscu i zażądały instrukcji z Moskwy. Po otrzymaniu odpowiednich instrukcji, profesora zaarrestowano w Wilnie 8 października (rozpuściwszy jednocześnie pogłoskę, że uległ on ciężkim obrażeniom w wypadku samochodowym) i przewieziono go do zakładu dla umysłowo chorych pod Moskwą. Tam też go przetrzymywano do samej jego śmierci, która nastąpiła w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach.

Pogrzeb prof. Kazlauskasa odbył się w Wilnie 20 listopada 1970 roku. Aby położyć kres uporczywie kursującemu pogłoskom o przyczynie i okolicznościach jego śmierci, władze sowieckie zamieściły w wileńskiej gazecie *Tiesa* (litewski odpowiednik *Prawdy*) następującą krótką notatkę:

„8 października 1970 roku, o godz. 1-szej pp., prof. J. Kazlauskas wyszedł z biblioteki Akademii Nauk Litewskiej SSR i przepadł bez śladu. 17 listopada znaleziono zwłoki Kazlauskasa w rzece Wilii nieopodal parku Vingis. Dochodzenia ustaliły, że śmierć J. Kazlauskasa została spowodowana przez samouduszenie wskutek utonięcia w wodzie”.

Po wzmiance nastąpiło orzeczenie ośmiu lekarzy (o nazwiskach litewskich), stwierdzające, iż nie skonstatowano żadnych obrażeń cielesnych lub innych oznak wskazujących na to, że prof. Kazlauskas zmarł z przyczyn innych niż utonięcie. W tymże orzeczeniu ci sami lekarze stwierdzali również, że zwłoki znajdowały się w wodzie około sześciu tygodni.

Ta sama krótka wzmianka (zatytułowana „W związku ze zgonem prof. J. Kazlauskasa”), w tłumaczeniu z litewskiego, ukazała się również w gazecie *Sowietskaja Litwa* tego samego dnia (4 grudnia 1970 roku).

Sołżenicyn, w swym opowiadaniu „Zdarzenie na stacji Kreczetowka”, przytacza bez komentarzy cyniczną odpowiedź naczelnika wydziału śledczego miejscowego NKWD na zapytanie ko-

mendanta stacji co się stało z Bogu ducha winnym człowiekiem, którego w przystępie gorliwości zadenuncjował: „U nas braku nie bywajet!” („My nie popełniamy omyłek!”). Nawet jeśli kiedyś, w wyniku wewnętrznych rozgrywek partyjno-policyjnych, wznowione zostaną dochodzenia o przyczynie śmierci prof. Kazlauskasa, można uznać prawie za pewnik, iż niczym nie usprawiedliwione zamordowanie wybitnego uczonego zakwalifikowane zostanie jako pozaławania godna „omyłka” i władze naczelne KGB najwyżej udzielią mordercom nagany...

Spółeczeństwo litewskie, walczące o zachowanie swojej odrębności językowo-kulturalnej w sowieckim systemie, zostało głęboko wstrząśnięte tragicznym zgonem prof. Jonasa Kazlauskasa.

St. BOBROWSKI

WYWIAD Z SMRKOVSKYM

Włoski dwutygodnik komunistyczny *Vie Nuove* (którego redaktorem jest Davide Lajolo, członek Komitetu Centralnego partii, poseł do parlamentu i b. redaktor *L'Unità*) ogłosił wywiad z Józefem Smrkovskym. Jeden z najbliższych i najwierniejszych towarzyszy Dubczeka, b. przewodniczący Zgromadzenia Narodowego, schorowany dziś i wyrzucony z partii, wystąpił z ogromną odwagą i siłą przeciw złudzeniom „normalizacji” w Czechosłowacji. Zaledwie 10 % Czechów i Słowaków — oświadczył Smrkovsky — popiera obecny reżym. „Nasze narody nie pogodzą się nigdy z faktem dokonanej okupacji, choćby nawet ludzie zmuszeni byli codziennie dziękować przez aklamację za „braterską pomoc”. Dużą część wywiadu zajmuje opis przesładowań inspiratorów i realizatorów „nowego kursu”, oraz tragicznego położenia kultury czechosłowackiej w wyniku brutalnych i nieustannych czystek. „Moja postawa polityczna — podkreślił z naciskiem Smrkovsky — jest dokładnie taka sama jak w roku 1968, tyle tylko że lepiej umotywowana i jaśniejsza niż wówczas”. Według Smrkovskiego w Pradze rządzi dziś klika cynicznych biurokratów partyjnych ale nie należy oczekiwać recydywy teroru stalinowskiego z wczesnych lat pięćdziesiątych. Redaktor *Vie Nuove*, w komentarzu do wywiadu, zgłasza gotowość przeprowadzenia podobnych „szczyrych rozmów” z przedstawicielami reżymu Husaka, Bilaka i Indry.

WYDAWNICTWO CZECHOSŁOWACKIE

W Kanadzie powstało wydawnictwo czechosłowackie *68 Publishers Toronto*, głównie z inicjatywy znanego powieściopisarza Józefa Skvoreckiego. Zamierza ono publikować po czesku i słowacku książki pisarzy zarówno emigracyjnych jak krajowych. Następujący autorzy figurują na pierwszej liście książek zaakceptowanych do druku: Józef Skvorecky, Arnost Lustig, Jan Benesz, Zdena Salivarova, Jiri Voskovec, Heda Margolius. Cena każdego tomu: około trzech dolarów. Adres wydawnictwa: 68 Publishers Toronto, Box 695, P.S.A. Toronto, Ontario, Canada.

ULOTKI W PRADZE

Na plenum Komitetu Centralnego czechosłowackiej partii komunistycz-

nej rozważana była możliwość rozpisania w najbliższym czasie wyborów. W związku z tym Ruch Socjalistyczny Obywateli Czechosłowackich kolportował ulotki, nawołujące z góry do bojkotu ewentualnych wyborów. Jest to drugie wystąpienie Ruchu, który 21 sierpnia, w rocznicę inwazji, wydał również w ulotkach do niekupowania gazet i bojkotu lokali publicznych.

SOWIECKI FILM PODZIEMNY

Pierwszy sowiecki film podziemny, nakręcony kilka miesięcy temu przez grupę „obrońców praw obywatelskich”, dotarł na Zachód. Występują w nim żona generała Grigorenko, Zinaida, matematyk Jesienin- Wolpin, przedstawiciel Tatarów krymskich Serana Musiejew, pisarz religijny Krasnow-Lewitin, przedstawicielka Żydów Galina Ładyżinskaja. Komentarz Piotra Jakira zamyka ten film, przygotowywany obecnie do wyświetlenia przez b. korespondenta moskiewskiego *Columbia Broadcasting System*.

NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDY-
CJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSIENIE POLSKĄ RWE ZE
SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRA-
JOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.
MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS
GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamó-
wienia. *Prenumerata roczna z przesyłką* £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25,00.

Kraj

Skazywanie bez sądu

Cudzoziemcy mogą być w PRL skazywani za wykroczenie bez sądu. Skazani na grzywnę, nawet do wysokości pięciu tysięcy zł., nie mają prawa odwołania się do sądu. Nie stanowią oni wyjątku. Nie ma tu żadnej dyskryminacji. Dzielią tylko los prawny obywateli PRL, którzy również nie posiadają prawa żądania skierowania sprawy do sądu, gdy za wykroczenie są skazani tylko na grzywnę.

Ponadto cudzoziemcy zza granicy, nie posiadający stałego miejsca zamieszkania w PRL, w wypadku schwywania na gorącym uczynku wykroczenia lub bezpośrednio potem, mogą być osadzeni w areszcie bez sądu, mimo posiadania prawa żądania rozpatrzenia sprawy przez sąd i skorzystania z tego prawa.

Wynika to z całą oczywistością z uchwalonych przez Sejm 20 maja 1971 roku trzech ustaw: kodeksu wykroczeń, kodeksu postępowania w sprawach o wykroczenia oraz ustawy o ustroju kolegów do spraw wykroczeń, z mocą obowiązującą od 1 stycznia 1972 roku. Projekty tych ustaw zostały opracowane przez komisję specjalnie powołaną w tym celu przez Ministrów Spraw Wewnętrznych i Sprawiedliwości, poddane dyskusji środowiskowej i zatwierdzone na wspólnym posiedzeniu kolegów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Sprawiedliwości. Były one również przedmiotem rozważań właściwych komisji sejmowych. Prasa w Polsce donosiła że posłowie wnieśli 160 poprawek. Olbrzymia ich większość — to tylko poprawki stylistyczne. Jednak kilka poprawek spowodowało znaczne zmiany.

Koncepcja skazywania bez sądu w ogóle — nie mówiąc już o rozległym zakresie objętym przez nowe ustawy — byłaby wręcz nie do pomyślenia w Stanach Zjednoczonych jako jaskrawo sprzeczna z podstawowymi uprawnieniami konstytucyjnymi, nie tylko obywateli, lecz wszystkich mieszkańców St. Zjednoczonych. Koncepcja taka nie jest znana we współczesnym ustawodawstwie państw demokracji zachodnich jako niezgodna z usta-

loną od dawna zasadą podziału władzy państwowej na ustawodawczą, wykonawczą i niezawisłą od nich władzę sądową. Przypomina natomiast okres samowoli władzy wykonawczej, który panował w Europie zanim zasada podziału władzy państwowej i wyodrębnienie niezawisłej władzy sądowej stała się powszechnie uznanym prawnie i uświęconym społecznie dorobkiem ludzkiej myśli.

Koncepcja skazywania bez możliwości odwołania się do sądu jest nowością także w Polsce. Nie była znana w całym dwudziestoletnim okresie Polski międzywojnia. Nie była znana przez pierwszych sześć lat w Polsce rządzonej przez partię komunistyczną. Zapoczątkowała ją ustawa z 15 grudnia 1951 roku o orzecznictwie karno-administracyjnym, rozwinęła ją ustawa z 17 czerwca 1966 roku o przekazaniu niektórych drobnych przestępstw orzecznictwu karno-administracyjnemu, a trzy nowe ustawy dotyczące wykroczeń przemieniły w system. Tendencja do skazywania bez sądu wzmacniała się z upływem lat, wbrew obowiązującej konstytucji PRL z 1952 roku, która stanowi wyraźnie w art. 46 ust. 1:

„Wymiar sprawiedliwości w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej sprawują: Sąd Najwyższy, sądy wojewódzkie, sądy powiatowe i sądy szczególne”. Również art. 48 głosi, że „Sądy... karzą przestępców”.

Sprzeczność z konstytucją jest charakterystyczna. Postanowienia jej wprowadzające nie posiadają sankcji. Nie stwarzają bezpośrednio indywidualnych uprawnień dla jednostki. Sądy, nie wyłączając Sądu Najwyższego, nie mają prawa badania, czy ustawy lub dekrety z mocą ustaw zostały wydane zgodnie z nakazami konstytucji. Tym niemniej jej postanowienia wiążą sejm jako dyrektwy ustawodawcze Sejmu Konstytucyjnego, zwłaszcza że art. 76 konstytucji głosi niedwuznacznie, że „Obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest obowiązany przestrzegać przepisów Konstytucji...”.

Zakres skazywania bez sądu

Mógłby ktoś pomyśleć że to sprawa błaża. Mógłby sobie przypomnieć, że istniało postępowanie karno-administracyjne przed wojną. Jednak język zastawia często pułapki pojęciowe. Można zostawić bez zmiany nazwy, rozszerzając ogromnie zakres działania instytucji, które oznaczają. Można to też uczynić, nadając nowe pięknie brzmiące nazwy, które rzeczywistość przesłaniają zamiast ją wyrażać. Istotnie, istniało przed wojną postępowanie karno-administracyjne, ale nie było skazywania bez sądu. Oskarżony miał prawo żądania by każda sprawa była skierowana do sądu. I nie jest to sprawa błaża. Statystyki wykazują z roku na rok, że w PRL liczba skazań bez sądu przekracza ogromnie liczbę skazań przez sądy z oskarżenia publicznego. Co jest istotą systemu, który sankcjonuje skazywanie bez sądu? Jaki jest jego obecny zasięg?

Nowe ustawy po prostu ogromnie rozszerzają zakres i ostrzegają tryb postępowania karno-administracyjnego. Jednocześnie eliminują tę nazwę, jasno i prosto określającą w czym się rzecz ma i zastępują ją nazwą-przesłoną „postępowanie w sprawach o wykroczenia”. Temu starymu postępowaniu o nowej nazwie poddają nie tylko działania zakazane przez ustawy o administracji państwa w poszczególnych jej działach i dotyczące w rzeczy samej tylko pewnych kategorii osób, jak to było rzeczą ustaloną w postępowaniu karno-administracyjnym. Poddają mu także wszystkie sędzone dotychczas przez sądy wykroczenia, określane tradycyjnie przez kodeks karny, jako ograniczenia swobody działania jednostek mające ogólne, powszechne zastosowanie. Dotyczy to również nowych wykroczeń, które powstały z mocy ustaw i dekretów karnych po wojnie.

W ten sposób orzecznictwu karno-administracyjnemu poddano wszystkie czyny zakazane prawem PRL a grożące, na wypadek popełnienia, albo sankcją aresztu lub ograniczenia wolności od tygodnia do trzech miesięcy, albo o grzywną od stu do pięciu tysięcy złotych, albo naganą. Zostały one skodyfikowane w dużej mierze jako *Kodeks wykroczeń*, pierwszą z trzech ogłoszonych ustaw z mocą obowiązującą od 1 stycznia 1972 roku.

Cudzoziemca, który zapoznaje się z nowym kodeksem, uderza przede wszystkim rozdział pierwszy części szczegółowej (ósmy z kolei) pod tytułem: „Wykroczenia przeciwko porządkowi publicznemu”. Prawo karne jest, jak wiadomo, miarą zasięgu wolności osobistej w każdym kraju bez wyjątku, a kodeks wykroczeń miarą bardziej precyzyjną, głębiej sięgającą niż kodeks karny, określający w PRL tylko zbrodnie i występki. Jak daleko sięgają zakazy i ograniczenia działań mieszkańców PRL, obywateli i cudzoziemców po społu, w imię porządku i spokoju publicznego?

Przyjrzyjmy się jakie ograniczenia wprowadza nowy Kodeks wykroczeń w stosunku do podstawowego prawa zgromadzania się. Aby móc w pełni ocenić zasięg dodatkowych ograniczeń należy pamiętać, że już Kodeks karny z 1969 roku przewiduje odnośnie zgromadzeń cztery odrębne przestępstwa i zagraża surowymi sankcjami: zbiegowisko publiczne (art. 275), związek przestępny (art. 276), związek tajny (art. 278) i zebranie przestępne (art. 279). Dajmy teraz głos nowemu Kodeksowi wykroczeń. Jego art. 52 stanowi:

„§ 1. Kto:

- 1) zwołuje zgromadzenie bez wymaganego zawiadomienia lub zezwolenia właściwego organu administracji państwowej, używa pomieszczenia w celu odbycia takiego zgromadzenia albo kieruje takim zgromadzeniem lub zgromadzeniem zakazanym;
- 2) zwołuje zgromadzenie lub nim kieruje wbrew warunkom zezwolenia;
- 3) kieruje zgromadzeniem po rozwiązaniu go przez przewodniczącego lub przedstawiciela właściwego organu administracji państwowej albo przez organ Milicji Obywatelskiej;
- 4) nie czyni zadość wezwaniu osoby lub organu, określonych w punkcie

3, do opuszczenia miejsca zgromadzenia albo nie opuści miejsca zgromadzenia po rozwiązaniu;

5) bezprawnie zajmuje lub wzbrania się opuścić miejsce, którym inna osoba lub organizacja prawnie rozporządza jako zwołujący lub przewodniczący zgromadzenia;

6) w celu zorganizowania lub odbycia zgromadzenia korzysta ze środków technicznych, takich jak megafony, transmisja radiowa lub telewizyjna, pojazdy mechaniczne, na których użycie nie otrzymał wymaganego zezwolenia lub których użycia zakazano;

7) będąc uzbrojony bierze udział w zgromadzeniu, gdy udział ten nie ma charakteru służbowego;

8) używa miejsc przeznaczonych na cele kultu religijnego dla zwoływania zgromadzeń nie służących wykonywaniu tego kultu, podlega karze grzywny albo karze nagany.

§ 2. Podżeganie i pomocnictwo są karalne”.

Każde więc, dosłownie każde, nawet najmniejsze zgromadzenie wymaga uprzedniej zgody władz. Kontrola poszczególnych elementów zwoływania zgromadzeń jest wręcz absolutna, totalna. Krótko i wężowato: nie wolno odbywać zgromadzeń w PRL bez zezwolenia władz, a wszelkie przeciwdziałanie temu zakazowi przez podejmowanie wyszczególnionych czynności przygotowawczych stanowi wykroczenie i daje podstawę do skazania na areszt do trzech miesięcy lub grzywnę do pięciu tysięcy złotych, przy czym skazanie na grzywnę zamyka drogę do sądu, mimo że nieściągalna grzywna ulega zamianie na areszt. Karze ulega nie tylko przeciwdziałanie, lecz także pomoc i podżeganie do niego.

W obecnych czasach fantastycznego rozwoju aparatów dźwiękowych zebrania publiczne w wolnym świecie korzystają z megafonów, które stały się niezbędnym urządzeniem dla miejsc ich odbywania się — jak stół lub krzesła. Niesposób jednak zwołać zebranie publiczne bez zapewnienia możliwości usłyszenia mówcy. Tym niemniej nowy Kodeks wykroczeń wymaga uprzedniego zezwolenia na korzystanie z nich według art. 63, który głosi:

„§ 1. Kto bez wymaganego zezwolenia lub wbrew jego warunkom zakłada lub używa w miejscu publicznym urządzenia megafonowe albo nie dopełnia obowiązku zgłoszenia używanych przez siebie maszyn i urządzeń wytwarzających pole elektromagnetyczne wielkiej częstotliwości,

podlega karze grzywny albo karze nagany.

§ 2. Można orzec przepadek przedmiotów wymienionych w § 1, choćby nie stanowiły własności sprawcy”.

Dodać trzeba, że wyrabianie lub posiadanie radiowego aparatu nadawczego bez zezwolenia jest przestępstwem z kodeksu karnego, zagrożonym karą więzienia do trzech lat (art. 287 k.k.).

Zakazom karnym podlegają również wszystkie symbole, używane do wyodrębnienia organizacji społecznych, jak godła, chorągwie, mundury lub inne stroje i oznaki. Podlega karze aresztu do trzech miesięcy lub grzywny do pięciu tysięcy złotych kto je bez aprobaty władz „ustanawia, wytwarza, rozpowszechnia publicznie, używa lub nosi”. W wypadku skazania obowiązkowa

jest konfiskata nie tylko owych niebezpiecznych dla porządku i spokoju publicznego godek, chorągwi, mundurów lub innych strojów i oznak, lecz również, cytując: „innych przedmiotów służących do popełnienia wykroczenia, takich jak pieczęcie, stemple, papier firmowy lub bilety wizytowe, choćby nie stanowiły własności sprawcy”.

Inne postanowienia nowego Kodeksu wykroczeń uzupełniają zakazy wszelkich zgromadzeń bez zezwolenia (karząc także za udział w spontanicznych zebraniach oraz za manifestowanie wszelkich protestów niepożądanych przez władze) przez bardzo ogólne i szerokie sformułowanie zakazów przekraczających wszelką potrzebę realnej ochrony usprawiedliwionego interesu jednostki lub państwa w imię porządku i spokoju publicznego (art. 51). Zakazane są nawet milczące protesty pośrednie. Jedną ze znanych form takich protestów — to zbieranie i dawanie ofiar na cele. Art. 56 § 1 i 2 stanowi:

„§ 1. Kto bez wymaganego zezwolenia lub wbrew jego warunkom organizuje lub przeprowadza publiczną zbiórkę ofiar, podlega karze grzywny.
§ 2. Podżeganie i pomocnictwo są karalne”.

Jeszcze surowszą karą jest (zagrożone aresztem do 3 miesięcy) organizowanie lub przeprowadzanie publicznej zbiórki datków na uiszczenie grzywny orzeczonej za wykroczenie lub inne przestępstwo (art. 57 § 1). Samo podżeganie lub udzielenie pomocy wystarczy do skazania. Zebrane datki lub pieniądze uzyskane za ofiary zebrane w naturze podlegają konfiskacie. Choć podobny zakaz zawierało przedwojenne prawo o wykroczeniach sankcja karna była sześciokrotnie niższa (maksymalny wymiar kary aresztu do dwu tygodni), przy czym ani usiłowanie ani pomoc nie były karalne.

Cudzoziemca zza granicy zapoznającego się z nowym Kodeksem wykroczeń uderzą także inne jego postanowienia. Art. 49 stanowi:

„Kto w miejscu publicznym demonstracyjnie okazuje lekceważenie dla Narodu Polskiego, Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, jej ustroju lub naczelnych organów,
podlega karze aresztu albo grzywny”.

Jest to w ogromnej mierze złagodzona przez Komisję Sejmową wersja art. 48 rządowego projektu. Warto go zacytować aby móc ocenić zmiany wprowadzone przez sejm:

„Kto w miejscu publicznym demonstracyjnie okazuje lekceważenie dla instytucji państwowej lub organizacji społecznej”.

A trzeba pamiętać, że w PRL według definicji ustawowej art. 47 § 4 Kodeksu wykroczeń:

„Instytucją państwową lub społeczną jest również przedsiębiorstwo, w

którym Państwo jest udziałowcem, spółdzielnia, związek spółdzielczy, związek zawodowy, inna organizacja społeczna ludu pracującego oraz jednostka wojskowa”.

Nawet w ogromnie złagodzonej wersji, uchwalonej przez Sejm, postanowienie art. 49 kodeksu wykroczeń może spowodować trudności dla cudzoziemca. „Demonstracyjne lekceważenie” może obejmować także szczerą krytykę, zwłaszcza jeśli padnie nieostrożne słowo wypowiedziane publicznie. W Stanach Zjednoczonych mieszkańcy tego kraju, także nie-obywatele, są przyzwyczajeni do nieograniczonego często krytykowania ustroju, naczelnych organów, instytucji państwowych oraz osób sprawujących władzę na wszystkich szczeblach. Stanowi to wykonywanie ich konstytucyjnego prawa. Nawet Prezydent nie jest wyjątkiem. Poszanowanie dla organów i stanowisk państwowych zapewnia nie prawo karne lecz wolna opinia publiczna, zmieniająca się w miarę tego jak instytucje państwowe funkcjonują lub piastujący stanowiska wypełniają swe funkcje. W Ameryce nie ma spraw karnych o to, że ktoś w miejscu publicznym demonstracyjnie okazuje lekceważenie dla jej ustroju lub naczelnych organów. Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jako one. Przybysz z Ameryki robi dobrze, pamiętając o wspomnianym zakazie. Nie jest to zakaz wyjątkowy dla cudzoziemców. Obowiązuje wszystkich przebywających na terytorium PRL, obywateli i cudzoziemców jednakowo. Dodać trzeba, że lżenie narodu lub państwa polskiego, jego ustroju i organów naczelnych jest przestępstwem z kodeksu karnego zagrożonym karą pozbawienia wolności od 6 miesięcy do 8 lat.

Miłośników książki zza granicy oczekuje w PRL niespodzianka, jeśli chcieliby tam realizować swe bibliofilskie zamiłowania. Otóż istnieje obowiązek rejestracji każdej biblioteki lub zbioru materiałów bibliotecznych. Ile książek stanowi bibliotekę? Ile materiałów bibliotecznych stanowi ich zbiór? Decydują o tym władze i to pozasądowe. Trzeba się władzom zwierzyć jakie się książki posiada. Zwierzenie musi być prawdziwe. Jeśli bibliofil pragnie udostępnić książki publicznie, musi także uzyskać na to zezwolenie władz. Przeciwdziałania stanowią wykroczenia karalne grzywną do pięciu tysięcy złotych lub naganą. W rządowym projekcie kodeksu wykroczeń było także postanowienie, przewidujące możliwość konfiskaty zbioru materiałów bibliotecznych za ich udostępnianie publiczne bez zezwolenia mimo uprzedniego ukarania. Zostało ono skreślone w komisjach sejmowych.

A jak nowy Kodeks wykroczeń traktuje działania protestacyjne młodzieży?

Współcześnie jesteśmy ich świadkami prawie na całym świecie. Historia zaś notuje konflikty pokoleń od czasów do których sięga wstecz myśl ludzka. Zmieniały się z pokolenia do pokolenia problemy, formy konfliktów i ich natężenia, wnosząc ciągle nowe elementy do niekończącego się nigdy społecznego rozwoju. Obecny konflikt pokoleń i znamieny dla niego bunt młodych

przybrał szczególnie ostry stopień natężenia, kwestionując podstawowe nawet wartości. W Ameryce i innych krajach powstała bogata literatura zagadnienia. Wiele uniwersytetów wprowadziło daleko sięgające reformy pod wpływem niezwykle głębokich wstrząsów wśród młodzieży akademickiej. Publiczne manifestacje różnego rodzaju i inne bardziej gwałtowne sposoby opozycji przeciwko krytykowanej namiętnie rzeczywistości były do niedawna jeszcze ważną częścią wiadomości tygodnia, jeżeli nie dnia. Manifestacje młodzieży akademickiej na polskich uniwersytetach i innych wyższych uczelniach, zwłaszcza w Warszawie, w 1968 roku i ich traktowanie przez milicję zwróciły uwagę całego kulturalnego świata.

Można było oczekiwać, że nowy Kodeks wykroczeń pominię zagadnienia związane z buntem młodych jako niewspółmierne dla rozwiązania w jakimkolwiek kodeksie. Tak się jednak nie stało. Zagadnienia te zostały włączone do rozdętej kategorii „chuligaństwa”, w którą można wszystko zmieścić, i poddane wzmożonej sankcji karnej.

Działania chuligańskie, chuligan, chuligaństwo — to pojęcia prawie nieużywane w okresie Polski międzywojnia. Uzasadniona jest też ciekawość cudzoziemca zza granicy, gdy pyta, co to są działania chuligańskie według prawa PRL. Odpowiedź nie nastroża ani wątpliwości, ani wahań. W Kodeksie wykroczeń, w art. 47 § 5 znajdujemy definicję ustawową, która brzmi:

„Charakter chuligański mają wykroczenia polegające na umyślnym godzeniu w porządek lub spokój publiczny albo umyślnym niszczeniu lub uszkodzeniu mienia, jeżeli sprawca działał publicznie oraz w rozumieniu powszechnym bez powodu lub z oczywiście błahego powodu, okazując przez to rażące lekceważenie podstawowych zasad porządku prawnego”.

Nie jest to definicja oryginalna Kodeksu wykroczeń. Została ona przejęta z art. 120 § 14 Kodeksu karnego z 1969 roku i zastosowana dla Kodeksu wykroczeń. Zawarta tam definicja określa charakter chuligański występów w ten sposób:

„Charakter chuligański mają występkę polegające na umyślnym zamachu na bezpieczeństwo powszechne, na zdrowie, wolność, godność osobistą lub nietykalność człowieka, na organ władzy lub administracji państwowej albo na działalność instytucji państwowej lub społecznej, na porządek publiczny, albo na umyślnym niszczeniu lub uszkodzeniu mienia, jeżeli sprawca działał publicznie oraz w rozumieniu powszechnym bez powodu lub z oczywiście błahego powodu, okazując przez to rażące lekceważenie podstawowych zasad porządku prawnego”.

Jest rzeczą godną uwagi że nowy Kodeks wykroczeń wprowadza także odpowiedzialność rodziców za przestępstwa i wykroczenia nieletnich, wykazujące ich „demoralizację” (art. 105).

Ostatnio podjęto nowe kroki prawne w PRL przeciwko tak zwanemu pasywnictwu społecznemu. Stanowią one w swej istocie próbę wprowadzenia powszechnego przymusu pracy, dużych ograniczeń wolności w wypadku oddania pod tak zwany

nadzór wychowawczy oraz próbę całkowitego pozbawienia wolności w wypadkach umieszczenia w tak zwanych „ośrodkach pracy wychowawczej”, mimo że nie popełniono żadnego przestępstwa z kodeksu karnego, czy z nowego kodeksu wykroczeń. Czy postanowienia karne dotyczące chuliganów okazały się bezsilne?

Ilustracje zasięgu stosowania nowego Kodeksu wykroczeń miały mniejszy lub większy wydźwięk polityczny. Wybór dyktowała ich niezwykła swoistość oraz zainteresowanie cudzoziemca zza granicy.

Oczywiście nie są one, że tak powiem, reprezentacyjne dla całości postanowień nowego Kodeksu wykroczeń. Jego część szczegółowa zawiera 109 artykułów, których większość podzielona jest na dwa lub więcej paragrafów. Prawie każdy z nich zawiera szczególną definicję zakazanych karnie przekroczeń, ogółem ponad 200. Postanowienia pozbawione wydźwięku politycznego budzą mniejsze zainteresowanie cudzoziemca zza granicy. Stanowią tym niemniej dobrą kodyfikację wykroczeń godną uwagi ze względu na jej rozległy zasięg, jasność i trafność definicji zakazanych wykroczeń w różnych dziedzinach życia codziennego szarych ludzi o różnorodnych zajęciach. Są one zagrożone alternatywnie karą aresztu lub ograniczenia wolności od tygodnia do trzech miesięcy, karą grzywny od 100 do 5.000 zł. lub karą nagany. Kary ograniczenia wolności i grzywny ulegają zamianie na karę aresztu w wypadkach niemożności wykonania. Na wszystkie te kary oskarżeni są skazywani w PRL bez sądu bez względu na swe obywatelstwo. Skazani na karę aresztu lub ograniczenia wolności mają prawo żądania skierowania sprawy na drogę postępowania sądowego. Skazani na grzywnę, nawet w wysokości 5.000 zł. lub naganę tego prawa nie posiadają i droga do rozpatrzenia sprawy przez sąd jest dla nich zamknięta, aczkolwiek nieściągalna grzywna ulega zamianie na areszt do trzech miesięcy maksymalnie.

Kolegia do spraw wykroczeń

Kto skazuje za wykroczenia tak szeroko ujęte? Odpowiedź brzmi: kolegia do spraw wykroczeń. Oczywiście jest to czysto werbalna odpowiedź. Nic ona nikomu nie mówi poza PRL. Należy zanalizować ten twór, aby nadać odpowiedzi zrozumiałą sens znaczeniowy.

Kolegia są uplasowane przy organach władz administracyjnych pierwszej instancji, czyli prezydiach rad narodowych: powiatowych, miast stanowiących powiaty, dzielnic dużych miast na nie podzielonych oraz przy urzędach górniczych i morskich. Ponadto mogą być powoływane przy niższych organach władz administracyjnych, a więc przy prezydiach rad narodowych gromad wiejskich, osiedli i miast niewyłączonych z powiatów. Są to kolegia pierwszej instancji. Łączna ich liczba wynosić może kilka tysięcy. PRL posiada bowiem około trzystu powiatów,

a każdy z nich obejmuje przeciętnie około dwudziestu gromad. Kolegia głęboko sięgają w teren, stanowią lokalny karzący organ.

Te bardzo liczne kolegia pierwszej instancji orzekają w składzie przewodniczącego lub jego zastępcy oraz dwu członków. Jest rzeczą zmienną że członkowie kolegiów nie potrzebują posiadać żadnych formalnych kwalifikacji odnośnie wykształcenia — nawet szkoły podstawowej. Wystarczy że „dają rękojmię należytego wykonywania obowiązków członka kolegium”. Przewodniczący kolegiów powiatowych i ich zastępcy winni z reguły posiadać wyższe wykształcenie, choć nie musi to być prawnicze i można dostać dyspensę. Dla przewodniczących kolegiów orzekających w gromadach wiejskich, osiedlach lub miast niewyłączonych z powiatów wystarczy wykształcenia średnie. A tych kolegiów jest ogromna większość. Jednym z członków kolegium może być pracownik prezydium rady narodowej, przy którym działa dane kolegium.

Członków zespołów i ich przewodniczących wybierają właściwe rady narodowe z listy kandydatów, których liczba przewyższa co najmniej o jedną czwartą liczbę stanowisk do obsadzenia. Listy przygotowują prezydium rad narodowych i komitety Frontu Jedności Narodowej na podstawie zgłoszeń kandydatów, dokonanych przez załogi zakładów pracy, zebrania wiejskie oraz organizacje społeczne i polityczne. Kadencja trwa cztery lata. Jednakże każdego czasu przed jej upływem rada narodowa może odwołać, a jej prezydium zawiesić w urzędowaniu członka zespołu w razie:

- „1) nie usprawiedliwionego niewykonywania przez niego obowiązków członka kolegium lub rażącego niedbałego ich wykonywania;
- 2) zachowania się rażąco godzącego w powagę kolegium lub rażącego uchybienia godności członka kolegium;
- 3) braku zdolności do wykonywania obowiązków członka kolegium;
- 4) niedawania rękojmię należytego wykonywania obowiązków członka kolegium” (art 15 ust. 2 ust. o ustroju kolegiów).

Jest ustalony w prawoznawstwie pogląd, że nie istnieją cechy, które mogłyby wyróżniać wykroczenia od zbrodni czy występów. Wszystkie próby podjęte w tym celu zawiodły. Jedyna różnica — to ważność przekroczonego zakazu. Przekazane kolegiom orzecznictwo w sprawach wykroczeń jest więc sprawowaniem funkcji sądowej, chociaż ich członkowie nie posiadają żadnych kwalifikacji sędziowskich, nawet w najbujniejszej wyobraźni. Dla udzielania im prawnej pomocy i rady wprowadzono niezwykłą instytucję. Stanowią ją radcy prawni dla każdego kolegium. Znane są powszechnie instytucje radców prawnych w instytucjach handlowo-przemysłowych, zarówno prywatnych jak państwowych. W PRL wyodrębniono radców prawnych z adwokatury jako odrębny zawód. Niezwykłą jest jednak rzeczą, że radcy prawni doradzają kolegiom do spraw wykroczeń, które sprawują funkcję wymiaru karnej sprawiedliwości w sprawach o wykro-

czenia z prawem skazywania na areszt do trzech miesięcy lub grzywnę do pięciu tysięcy złotych. Kto decyduje faktycznie o skazaniu, czy niewykształcony zespół, czy też jego wytrawny radca prawny?

Wspomniane w skrócie postanowienia ustawy o ustroju kolegiów do spraw wykroczeń wskazują że są to instytucje całkowicie zależne od władz administracyjnych, a udział czynnika społecznego — to tylko niewiele znacząca fasada.

Dla dopełnienia obrazu warto zaznaczyć że Minister Spraw Wewnętrznych sprawuje nadzór zwierzchni, a właściwe prezydium rad narodowych nadzór bezpośredni nad działalnością kolegiów i mogą im udzielać wytycznych co do polityki orzecznictwa. Przewodniczący kolegiów zaś muszą składać swym prezdyjom rad narodowych okresowe sprawozdania z działalności.

Niezależnie od nadzoru politycznego istnieje także nadzór nad merytorycznym sprawowaniem orzecznictwa. Prawomocne orzeczenia kolegium i decyzje jego przewodniczącego mogą być uchylone „jeżeli pozbawione są podstawy prawnej lub są oczywiście niesłuszne”. Decydują o tym z urzędu tak zwane Komisje orzecznictwa do spraw wykroczeń przy prezdydiach rad narodowych województw lub ich odpowiednikach, przy których funkcjonują odwoławcze kolegia do spraw wykroczeń. Przewodniczy kierownik administracji do spraw wewnętrznych prezydium rady narodowej lub jego zastępca. Pozostałych dwu członków powołuje się i odwołuje w sposób podobny do członków zespołów.

Wreszcie naczelną kontrolę sprawuje Prokurator Generalny PRL i podlegli mu prokuratorzy.

Tryb orzekania

Orzekanie w sprawach o wykroczenia odbywa się w jednym z czterech możliwych trybów: a) w postępowaniu zwykłym przed kolegium, b) w postępowaniu przyspieszonym przed kolegium, c) w postępowaniu nakazowym, d) w postępowaniu mandatomym. Sprawy rozpatruje się w postępowaniu zwykłym, jeżeli nie znajduje zastosowania jeden z trzech pozostałych.

Postępowanie przyspieszone

Wymaga ono wprowadzenia decyzją odpowiednich władz administracyjnych albo na całym terenie PRL albo tylko na obszarze poszczególnych województw.

Jednakże cudzoziemcy zza granicy są zawsze narażeni na możliwość rozpatrywania zarzucanych im wykroczeń z zastosowaniem przepisów postępowanie przyspieszonego, nawet wtedy, gdy ono nie zostało wprowadzone dla obywateli PRL. Według bowiem art. 74 § 1 kodeksu postępowania w sprawach o wykroczenia przepisy o postępowaniu przyspieszonym mają między innymi zastosowanie „do osób... nie mających stałego miejsca zamieszkania...”, jeżeli zachodzi uzasadniona obawa, że rozpoznanie spra-

wy w postępowaniu zwyczajnym będzie niemożliwe lub znacznie utrudnione". Jest rzeczą oczywistą, że cudzoziemcy z reguły nie mają stałego miejsca zamieszkania na obszarze PRL. Łatwo też uznać, że mogą wyjechać każdego dnia, a więc że zachodzi obawa iż rozpoznanie sprawy będzie niemożliwe.

Ponadto istnieje także druga odrębna podstawa do traktowania cudzoziemców zza granicy z zastosowaniem przepisów postępowania przyspieszonego. Mają one bowiem zastosowanie „również do osób przebywających jedynie czasowo na terenie Państwa Polskiego, jeżeli zachodzi uzasadniona obawa, że rozpoznanie sprawy w postępowaniu zwyczajnym będzie niemożliwe lub znacznie utrudnione”.

Co jest istotą postępowania przyspieszonego? W wypadku schwywania na gorącym uczynku lub bezpośrednio potem sprawy wykroczenia milicja może go zatrzymać i doprowadzić do właściwego kolegium, które bezzwłocznie przystępuje do rozpoznania sprawy. Orzeczenie o ukaraniu jest wykonalne z chwilą jego ogłoszenia. Ukaranego karą aresztu osadza się w zakładzie karnym bezpośrednio po rozprawie. Ukaraną grzywną może być zobowiązany przez zespół orzekający do uiszczenia jej niezwłocznie po ogłoszeniu orzeczenia, a w razie niezapłacenia może być osadzony w zakładzie karnym celem wykonania zastępczej kary aresztu. Wszystkie te rygory znajdują zastosowanie mimo wniesienia odwołania lub zażądanie rozpoznania sprawy przez sąd.

Postępowanie nakazowe

Przewodniczący kolegium może sam bez rozprawy orzec karę grzywny od 50 do 500 zł., jeżeli z wniosku o ukaranie sporządzonego przez instytucję państwową lub społeczną i z akt sprawy nie wynika, że obwiniony kwestionuje popełnienie zarzucanego mu czynu.

Postępowanie mandatowe

Za wykroczenia określone rozporządzeniem Ministra Spraw Wewnętrznych funkcjonariusze milicji obywatelskiej mogą nakładać kary grzywny w wysokości od 20 do 200 zł. w drodze mandatu karnego. Konieczny jest jeden z dwu alternatywnych warunków: albo schwywanie sprawcy na gorącym uczynku, lub bezpośrednio potem, albo stwierdzenie naocznie przez milicję popełnienia wykroczenia, gdy „nie zachodzi wątpliwość co do osoby sprawcy”. Można odmówić przyjęcia mandatu, o czym milicja ma obowiązek pouczyć. Wówczas na wniosek milicji sprawa będzie skierowana na drogę postępowania zwykłego.

Postępowanie zwykłe przed kolegium

Jest to postępowanie *quasi* sądowe. Poszczególne jego fazy są wzorowane na postępowaniu karnym z bardzo dużym uprosz-

czeniu. Obrońcą może być także osoba nie będąca adwokatem.

Ogłoszenie trzech ustaw dotyczących wykroczeń nieomal kończy proces zmiany całego systemu wymiaru sprawiedliwości w sprawach karnych w PRL. Podstawowe ustawy karne, kodeks karny, kodeks postępowania karnego i kodeks wykonawczy obowiązują już od 1 stycznia 1970 roku.

Józef GIDYŃSKI

Noty

„KOOPERACJA”

P. W. Machejek w artykule: „Największa z naszych bitew: kooperacja” zamieszczony w *Życiu Literackim* z 1 września br. pisze:

Wysoko oceniamy decyzję bardzo znanego polskiego powieściopisarza i publicysty, który „po grudniu” zdecydował się spotkać z określonym wydawnictwem w połowie drogi przy ostatecznym, wymownym politycznie kształcie książki. W tym samym czasie Sławomir Mrozek, zupełnie nie przypiekany, nadesłał list do ZG ŻLP bodajże z Paryża, żeby go skreślić z listy polskich literatów, co znaczyłyby, że nie chce figurować w jednym zestawie np. z Iwaszkiewiczem, Czeszką, Pauksztą, Jarochofską, Kubackim, Matuszewskim itd. Równocześnie w imię wymyślonych pretekstów „wybiera wolność” Brycht cudowne dziecko.

Uwypuklam akt zrozumienia sytuacji przez „znanego polskiego pisarza” — no... w końcu powiem zwięźle, Jerzego Andrzejewskiego, którego „wabi” przede wszystkim śpiew kraju — jako przejaw mądrej koordynacji Jednego w rozhuśtanej całości szukającej syntezy prężniejszej współpracy na co dzień. Na tle mody na inteligentką frustrację, także w artystycznych uliczkach, bardzo na czasie jest nawet gest usprawniający trudną drogę dwustronnie.

Nb. nie martwię się o kooperację kierunkową publicystyki i felietonistyki w „Tygodniku Powszechnym”, sąsiadującym szczęśliwie z „Ż.L.” w latach dobrych, ale i niefortunnych. Tam ostatnio, na starych (o)pozycjach okopani, coraz głośniejsze a po nowemu czynią podjazdy, m.in. mój podopieczny z Krakowa — czyli mieniący się liberałem sławny Kisiel i „przedwojenny” demokracja warszawskich saloonów, klasyk poezji polskiej, Antoni Słonimski, częściej znany ze zgrzyliwej, błyskotliwej felietonistyki. Kisiel raz po raz wymyśla naczelnemu publicyście „Życia Literackiego” od księdza Baki, jakoby w osiemnastowiecznym duchu podnoszącemu na duchu rozdarty naród, zaś Antoni Słonimski uraga od usypiacza, zainteresowanego (tak się domyślam) w rozsnuwaniu zasłon dymnych nad istotnymi problemami gnębiącymi polską społeczność. Ino patrzeć, a opublikuje się w tej samej parafii ekstowarzysz R. J. z Warszawy, pomstujący imiennie z powodu nieopublikowania jego listu, w którym wzywał „po grudniu” do zamknięcia kilku znanych publicystów i redaktorów, m.in. mnie, aktualnie grożąc zasłużonymi karą do czasów, jeśli nie dziś, to na pewno w przyszłości. Chyba niedalekiej przyszłości, chodzi o to, żeby ze względu na postępujące lata nie przegapić okazji. No cóż, ja bym bardzo chciał wydrukować ów niepoczytalnie „odważny” list, ale gdzieś zginął. W tym ambaras, żeby troje chciało na raz...

Itđ., itp. kooperacja na całego. Bo że, kooperatorom buszującym po prawicy Boga-Ojca nie wystarczy schrupać warszawską lewicę na czele z Putramentem,

który pojechał na ryby i nie daje się schwytać, oni muszą podburzać spokojny, koegzystencyjny Kraków. Hejże na... Ale to dobrze, bardzo dobrze. Zachodni obserwatorzy mogą i na tym wycieczku sprawdzalnie zanotować, że Polską potrzasa wolność, coraz odważniej dziesiątkując nietykalność, choćby nawet wyzduraną...

A więc trudno lepiej. Nas tylko gnębi jedno pytanie: kto to jest ten trzeci „który nie chce”? (Redakcja).

PODANIE JAKUBA KARPIŃSKIEGO

Jakub Karpiński, skazany w procesie „taterników” i przedterminowo zwolniony, złożył natychmiast po wyjściu z więzienia podanie o rewizję nadzwyczajną wyroku do Sądu Najwyższego. Tryb załatwiania tego rodzaju podań jest normalnie półroczny.

MOCZAR NA WIDOWNI

Rudolf Klein, przewodniczący „Reichsbund der Kriegs- und Zivilbeschädigten” w Niemczech Zachodnich, który ostatnio bawił w Warszawie jako gość ZBOWiDu, zaprosił do NRF M. Moczara. Ciekawe jak tę wizytę przyjmie niemiecka opinia publiczna.

Z WARSZAWSKIEJ „KULTURY”

W nrze 21-szym warszawskiej *Kultury* ukazał się artykuł Edwarda Redlińskiego pt. „Pompa”, omawiający problemy wiejskie. Artykuł ten wywołał burzę w KW białostockim i w samym KC. Olszowski polecił Wilhelmowi natychmiastowe wyrzucenie Redlińskiego z redakcji. Decyzji tej sprzeciwił się Roman Bratny, który wystosował list protestacyjny do KC oraz Bogdan Czeszko. Bratnego usunięto z zespołu redakcyjnego warszawskiej *Kultury* a Czeszko pokajał się i swój protest wycofał.



Roman Juryś, zaatakowany przez krakowskie *Życie Literackie* jako „agent syjonistyczny”, zaskarżył naczelnego redaktora *Życia Literackiego* Machejka do sądu. Cała Warszawa oczekuje z napięciem na ten proces.



Lenart z dwutygodnika *Współczesność* został mianowany na placówkę do Bułgarii. Mówi się o przekształceniu *Współczesności* na inne pismo: miesięcznik lub tygodnik. Wśród kandydatów na redaktora nowego pisma wymienia się Gustawa Gottesmana.



J. Z. Jakubowski przestał być redaktorem *Poezji* z powodu choroby.



Passendorfer zrezygnował z wiceprezury Stowarzyszenia Filmowców Polskich z powodu odmowy realizacji filmu „Droga wiodła przez Narvik”.



P. Solecki z Interpressu został przeniesiony do dyplomacji.

O religii bez namaszczenia

Rycerz Niepokalanej w rzeczywistości

W związku z beatyfikacją O. Maksymiliana Kolbe, polska prasa katolicka pisała o nim bardzo szeroko, koncentrując się jednak głównie na ostatnim okresie jego życia oraz na jego śmierci w obozie koncentracyjnym. Wydaje nam się celowe przypomnieć także o głównym osiągnięciu jego życia: o Niepokalanowie.

W 1935 roku O. I. M. Bocheński zamieścił artykuł-reportaż o Niepokalanowie w wychodzącym w Warszawie tygodniku Bunt Młodych. Przedrukujemy go poniżej w całości. (REDAKCJA).

Dwie rzeczy trzeba sobie uprzytomnić kiedy się jedzie do Niepokalanowa: najpierw, że drukuje się tam największe polskie czasopismo. Największe oczywiście, jeśli chodzi o nakład, nie o format: z górą 700.000 egzemplarzy. Po wtóre, że to czasopismo uchodzi powszechnie za zakałę naszej cywilizacji, za truciznę naszego ludu, na równi z Tajnym Detektywem i najgorszymi smaktami pornograficznymi. Doznało przy tym zaszczytu nie lada, właśnie z powodu tego nikczemnego charakteru: zajmują się nim nie tylko pisemka przeznaczone, jak one dla ludu, ale nawet — *Wiadomości Literackie*, i to czasem we wcale długich rozważaniach.

Jest więc po co do Niepokalanowa jechać. Rzecz musi zainteresować zarówno pod kątem widzenia technicznym, jak i ze względu na rolę kulturalną, tak sławną i tak rzekomo zgubną. Wybrałem się zatem i ja, w dodatku z zamiarem z góry uplanowanym opisanie moich wrażeń. Niestety 24-godzinny pobyt w tej — jakby to nazwać? — miejscowości, fabryce, czy klasztorze — dał mi tych wrażeń tyle, i tak różnorodnych, że nie czuję się na siłach spisania ich wszystkich, choćby szkicowo. Już sama przechadzka po zakładach graficznych Niepokalanowa może przyprowadzić o zawrót głowy, nawet, jeśli się nie jest zupełnie obcym pięknej sztuce drukarskiej: dziesiątki oddziałów, każdy ze swoimi maszynami, kartotekami, wykresami, zupełnie oddzielną i

coraz inną pracą — ogromna różnorodność zajęć mieszkańców osady — przy tym ich dziwny tryb życia, jeszcze dziwniejsze wzajemne stosunki, sposób ubierania się, chodzenia, jedzenia — to wszystko jest stanowczo za silne, aby nie przyprawić o zawrót głowy człowieka „z zewnątrz”, który pochodzi do tego tak skomplikowanego zjawiska bez przygotowania.

Ale kiedy się szereguje wrażenia i sądy, można po namyśle ująć cały Niepokalanów pod trzema kątami widzenia, które dopiero razem wzięte, przez swoją zbieżność dadzą pogląd na całość taką, jaka ona jest.

Pierwsze wrażenie

Najpierw jest punkt widzenia obserwatora, który przybywa bez uprzedzeń i szczególnej sympatii, obserwuje całe osiedle od strony stacji a wchodzi do niego powoli, rozglądając się i sądząc. Z tego punktu widzenia wrażenie jest fatalne. Proszę sobie wyobrazić na tle beznadziejnej równiny łowickiej, koło jakiejś stacyjki kolejowej grupę budynków drewnianych, parterowych, albo jednopiętrowych, licho pociągniętych wapnem i krytych jakąś rozżalącą się papą; każdy z tych budynków ma inny styl — jeśli tego słowa w ogóle można tu jeszcze używać; każdy stoi inaczej, w innej linii; jedne proste, jak chaty, inne wielkie, jak kamienice podmiejskie, o ogromnych „nowoczesnych” oknach w pozornie ledwo trzymających się ścianach. Planu widocznie przy budowie nie było żadnego: wspólne jest wszystkim tym budynkom tylko jedno: beznadziejna pospolitość, atmosfera przedmieścia najgorszego gatunku. Ta pospolitość towarzyszyć będzie przybywającemu przez długi czas przy zwiedzaniu Niepokalanowa, i nic jak ona nie wybija na zewnętrznej stronie osiedla swojego piętna.

Zaraz przy wejściu wrażenie pospolitości potęguje się. Mało pospolitości: zaniedbania i takiego braku stylu, że człowiekowi, który pochlebia sobie, że czuje „po nowoczesnemu” i lubi logikę, prostotę linii i porządek, robi się po prostu niewyraźnie. Jakaś kępka ordynarnych kwiatków, gęsto poprzerastanych chwastami, otaczających półmetrową figurkę Matki Boskiej, najpaskudniejszej seryjnej roboty, takiej, jaką mieć musiała u siebie niewątpliwie pani Dulska, okropnie słodkiej i na biało-niebiesko malowanej. Obok tego ścieżka otoczona czymś, co miało być trawnikiem. Naokoło jakiś ledwie trzymający się płot, bodaj że miejscami rozwalony i mała budka, która przypomina mniej więcej domki celników. Żadnego napisu, żadnego zamknięcia, tylko przy okienku w budce dwie kartki papieru z nadrukiem: „Dzwonek do furty” i „Mały dziennik 5 groszy tu do nabycia”.

Pierwsze wrażenie nie znika, kiedy furtką, spory chłopiec o pyzatej twarzy i wesołym uśmiechu, w ciemnym habicie franciszkańskim, ze śmiesznie małym kapturkiem wprowadził nas uprzecznie za furte. Między budynkami i budynekami prowadzą

źle utrzymane piaszczyste drogi; w ich cieniu kryją się jakieś mikroskopijne, na prędcie z desek klejone komórki i szopy; po tym wszystkim biega gromada innych braciszków, przeważnie bosych, w fatalnie źle utrzymanych, poplamionych oliwą i smarami habitach. Na ściany domków pną się drewniane schody z nieheblowanych tarcic, takie mniej więcej jakie się widuje w naszych dworskich śpichlerzach, oczywiście na Kresach — bo w Poznaniu i gospodarze mają lepsze. Kiedy się zwiędza warsztaty pełne wspaniałych, lśniących pras i intertypów, dygoczących przepieszonym tempem rozpędzonych motorów i pełnych rozgwaru fabrycznego — wszędzie, na każdym kroku znajduje się coś, co przypomni to pierwsze wrażenie bezstylowości: figurki matki Boskiej otoczone papierowymi kwiatkami, jacyś aniołkowie wykręceni w pasie po barokowemu, słodkie napisy w stylu XIX-go stulecia i tak dalej.

Niepokalanów jest owiany duchem najprzeciętniejszej polskiej pospolitości, tej z przedmieścia małego miasteczka, mdłej i słodkawej. To nie jest tylko ubóstwo: ubóstwo może być utrzymane w liniach prostych i szlachetnych. Muszę się przyznać, że to pierwsze wrażenie ciążyło mi mocno: miałem przez chwilę nawet uczucie żalu, żem w ogóle przyjechał.

Technika

Ale trzeba być bardzo powierzchownym obserwatorem, albo zakamieniałym estetą, który niczego nie widzi poza harmonią linii, i nie umie odczuć wyższego piękna twórczej pracy, aby pod tym wrażeniem pozostać długo. Bo Niepokalanów jest właśnie ośrodkiem celowej, wyteżonej i wspaniale zorganizowanej pracy. To zestawienie owej słodkości z bardzo piękną techniką jest tak dziwne, że z początku aż zdumiewa. Przejdźmy przez salę elektrowni głównej: na ścianie wisi jakaś półeczka, ubrana w papierowe wycinanki, z brzydkimi figurynkami, ale obok niej, na tej samej ścianie widnieje wielka tablica z wykresem podziału pracy, puszka na projekty, a w środku dudnią tłoki motorów i ponad lasem śrub, dźwigni i manometrów widnieje surowa twarz brata-mechanika w zaoliwionym habicie, który z lampką elektryczną w ręku śledzi z napięciem ruch powierzzonego sobie kolosu. Przejdźmy do administracji: 40 braciszków pochylonych rzędem nad kartotekami przerabia w nich sprawną ręką adresy. Obok warczą adresownice najnowszego typu; w tym domu dalej błyszczą przez okno maszyna rotacyjna — jedyna w swoim rodzaju w Polsce — w drugim inna; tam podnoszą się i opadają w jednostajnym ruchu olbrzymie palce maszyn płaskich pełnoautomatycznych.

Aby się zorientować, czym jest Niepokalanów pod tym drugim technicznym kątem widzenia, lepiej jest nie błąkać się po budynkach fabrycznych (ogółem zabudowań większych jest 18),

bo grozi zgubienie się w szczegółach — ale pójść od razu do kierownictwa pracy. Siedzi tam w małych pokojach na zydłach bez oparcia i przy stołach z niemalowanego drzewa paru braciszków, takich samych jak ci, którzy widzieliśmy na podwórzu i przy maszynach czy kartotekach. Tu jest mózg zakładu: ściany obwieszane wielkimi wykresami, na których przesuwalne zasuwki wskazują program pracy i osiągnięte wyniki każdego działu. Jest tych działów, jakieśmy powiedzieli, kilkadziesiąt, zgrupowanych w kilkanaście większych: kierownictwo pracy, kuchnia, rzeźnia, magazyn żywności, piekarnia, krawczarnia i szewczarnia, klinika, obsługa porządku, straż pożarna stanowią dział utrzymania. Dalej idzie dział personalny, dysponujący braćmi; potem warsztaty mechaniczne; elektrownia główna, elektrownia dodatkowa; prasy płaskie; zecernia mechaniczna (intertypy), zecernia ręczna; prasa rotacyjna główna *Rycerza Niepokalanej*; prasa rotacyjna *Dziennika*; odlewnia czcionek; cynkografia, stereotypia; zakład fotograficzny; adresownia; biuro ekspedycji listów; tartak, kuźnia, stolarnia; garaże samochodowe; internat i nowicjat, nie licząc dużej filatelistyki. Nie gwarantuję wcale, żem czegoś nie opuścił; a trzeba przy tym pamiętać, że każdy z tych działów jest nie bylejaką komórką: tak np. w zakładach odzieżowych pracowało w chwili, gdy je zwiedzałem, z górą 15 osób i warczało 5 maszyn; sama filatelistyka ma w tej chwili na składzie kilka milionów znaczków i zatrudnia paru pracowników; jest pięć wielkich pras płaskich; kilkunastu kucharzy i tak dalej.

Niepokalanów jest sporą osadą (z górą 550 osób), której mieszkańcy zajmują się głównie obsługą wielkiej drukarni i administracji; głównym produktem osiedla są cztery wydawnictwa: rocznik (*Kalendarz*), dwa miesięczniki, każdy z bardzo wielkim nakładem (*Rycerz Niepokalanej* i *Rycerzyk Niepokalanej*) i dziennik (*Mały Dziennik* 5 groszy) bijący obecnie 70-90.000. Dochodzą „produkty uboczne”: trochę książek, obrazki i dewocjonalia. Przy tym osada jest samowystarczalna w tym znaczeniu, że kupuje tylko surowce: wszystko, co bez daleko posuniętej specjalizacji da się przerobić na miejscu, przychodzi w stanie surowym; tak np. osiedle ma własną rzeźnię, własny tartak, stolarnię, odlewnię czcionek, wytwórnię taśm do adresowania itp., nie mówiąc o zakładach odzieżowych, piekarniach, kuchniach itd. Myślano nawet swojego czasu o założeniu papierni, ale projekt upadł. Komunikację ze światem zewnętrznym zapewnia własny park samochodów ciężarowych; w projekcie jest lotnisko: szereg firm złożyło już konkretne oferty. Mówiono mi, że projekt jest poważnie rozpatrywany, i że rozpocznie się pracę prawdopodobnie z trzema aparatami.

Organizacja

Rzecz jasna, że aby taka maszyna mogła sprawnie i tanio funkcjonować, musi być zorganizowana w sposób nowoczesny. Pierw-

sze wrażenie zaniedbania i nieporządku nasuwa od razu podejrzenie, że z tą organizacją nie musi być świetnie. Tymczasem rzecz się ma wręcz przeciwnie: ci braciszkwowie, którzy ze swoich zydli przyjmują przez cały dzień raporty kierowników sekcji pracy przesuują wskaźniki na harmonogramach, odbyli kurs organizacji pracy; wszystko co się dzieje: rozkład sił roboczych, ich wydajność dzienna, sprawność poszczególnych oddziałów, są przedmiotem dokładnego fachowego studium. Ogromna tablica na ścianie kierownictwa umożliwia w każdej chwili zorientowanie się iloma i jakimi ludźmi dysponuje każdy z kierowników; harmonogramy wskazują od razu każde zaniedbanie; niezmiernie sumiennie — aż za sumiennie — prowadzone statystyki dają doskonałą kontrolę całości przedsiębiorstwa, jego rentowności, braków i w ogóle wszystkiego, czego dyrektor fabryki może potrzebować. Praca jest częściowo staylorizowana pod kierunkiem wyszkolonych braciszków. Pełnoautomatyczna centrala telefoniczna wewnętrzna łączy wszystkie biura i warsztaty — a poza tym doskonale pomyślany system roznoszenia zapewnia szybkie przekazywanie poleceń i zawiadomień piśmiennych. Sądzę, że dyrektor jakiegokolwiek zakładu tego typu mógłby być zadowolony, gdyby miał u siebie podobną organizację.

Ale o wartości tej organizacji, jak zresztą o wartości każdej — a poza tym o czymś innym jeszcze, o czym przyjdzie nam pomówić — świadczą najlepiej jej wyniki, cyfry nakładu *Rycerza*. Podaję dane udzielone mi przez kierownictwo tego działu za miesiąc sierpień:

Rok	egzemplarzy	Rok	egzemplarzy
1922	5.000	1929	117.500
1923	5.000	1930	292.750
1924	10.000	1931	432.000
1925	25.000	1932	534.000
1926	40.000	1933	679.000
1927	50.000	1934	622.000
1928	81.000	1935	693.000

We wrześniu br. nakład osiągnął cyfrę 702.000 egzemplarzy. Nieprzerwany, niemal geometryczny wzrost! Jeden tylko rok 1934 wykazuje spadek liczby abonentów, lecz wskutek cofnięcia szeregu abonamentów bezpłatnych, których *Rycerz* daje ogromną ilość. Dał się więc odczuć kryzys i tutaj; ale to słabe wahnięcie („nadrabione” zresztą natychmiast, bo już w grudniu tegoż roku) nic nie znaczy wobec nieprzerwanego, zadziwiającego istotnie wzrostu nakładu. Trzeba dodać, że w czerwcu br. osiedle przystąpiło do nowej, znacznie większej imprezy, mianowicie do wydawania *Dziennika*, który bije obecnie w dzień powszedni około 80.000, a w niedzielę blisko 100.000 egzemplarzy dziennie. Dodajmy nakład wieloarkuszowego *Kalendarza* (ostatni numer w 526.000 egzemplarzy, projekt na 1936: 650.000) — a będziemy musieli przy-

znać, że organizacja pracy w Niepokalanowie działa sprawnie i zadawalająco. Nie trzeba zapominać także, że równocześnie z pracą szły budowy, wykonywane przez tych samych braci, i że obciąża ich poza tym praca około utrzymania i ubrania z górą 200 „nieproduktywnych” mieszkańców Niepokalanowa, nowicjusów i chłopców z małego seminarium.

I pierwsze wrażenie znika bez śladu: pod osłoną grubej bezstylowości, kryje się tutaj właśnie niezwykle i wielki styl: zakład przemysłowy, który nie tylko nie zawałił się pod uderzeniem kryzysu, ale jak gdyby go nie było rozszerzył niesłychanie produkcję i rośnie niemal w oczach. *Rycerz* zyskuje ostatnio 5 do 10 tys. abonentów miesięcznie; *Mały Dziennik* zapoczątkowany tak niedawno, z górą 500 dziennie. „Kupimy za miesiąc pośpieszną prasę rotacyjną” — mówił mi naczelny redaktor, młody księżyna o jasnych oczach i takim samym szarym habicie i jaki noszą braciszki — ale boję się, że będziemy mieli ćwierć miliona przed styczniem, a oni do tego czasu nie zmontują”. Wystarczy zresztą wsłuchać się w gorączkowe tempo całego życia osiedla, popatrzeć na niekończące się stosy papieru wyrzucane bez przerwy przez maszyny, aby zdać sobie sprawę, że dzieje się tu coś niezwykłego.

Duch

Ale aby zrozumieć, jak takie rzeczy są możliwe, trzeba spojrzeć na Niepokalanów pod trzecim, jeszcze wyższym kątem widzenia: trzeba poza pospolitością otoczenia i potęgą maszyn zobaczyć ludzi i przyjrzeć się owym zagadkowym braciszkom, którzy stworzyli i prowadzą to niezwykle dzieło — znacznie bardziej jeszcze niezwykle, jeśli się weźmie pod uwagę sposoby, jakich używają.

Przechodząc do tej sprawy muszę przyznać, że spełniam mój obowiązek dziennikarski z ciężkim sercem. Główny kierownik Niepokalanowa popatrzył mi przy pierwszym widzeniu prosto w oczy spod swoich okularów i oświadczył, że nie życzę sobie wywiadu; powtórzył mi to potem parokrotnie z naciskiem. Zrozumiałem dobrze, że nie chodzi mu o szczegóły techniczne, z których słusznie zapewne jest dumny, i że miał na myśli samo życie powierzonej mu gromady zakonników. „My nie chcemy abyście robili około nas hałas”. I po pobycie w Niepokalanowie, rozumiem, że tego nie chce. Chodzi nie tylko o nierozucenie — proszę mi wybaczyć słowa ewangelii — pereł... Nie sądzę, by O. Gwardian obawiał się pogardy jego ideału przez czytelników *Buntu Młodych*. Ale rzeczy o których mam mówić są zbyt intymne i delikatne, aby ktokolwiek chciał chętnie rzucać je przed cały świat. Jest i coś więcej; reguła według której Niepokalanów żyje, i sama religia, której ta reguła jest wyrazem, zawiera jako jedno z podstawowych praw zasadę, żeby nie robić około swoich dobrych spraw hałasu. Wiem to i oceniam szlachetną rezerwę twórców i pracowników Niepokalanowa. Ale skądinąd za długo mieszano

tę sprawę z błotem; za długo powtarzano *urbi et orbi* potwarze o zyskach, kapitałach, dorobkach i mnichach, którzy zgarniają pieniądze garściami do rękawa. Trzeba, aby Polska wiedziała czym są i jak żyją ci, którzy dają jej *Rycerza* i *Dziennik*. Muszę więc pisać, i będę pisał, aby mnie czytano, w imię sprawiedliwości i na to, aby piękno tego ideału nie kryło się dłużej pod korcem.

Historia osiedla

Celem zorientowania czytelnika w nastroju i życiu Niepokalanowa trzeba się cofnąć do początków, już nie osiedla, ale samego dzieła. Powstało ono z niczego, literalnie z niczego. W roku 1921 O. Maksymilian Kolbe zwrócił się do przełożonych z prośbą o pozwolenie na wydawanie pisemka. Nie szczęściło mu się ani we wykładach, ani w pracy kapłańskiej; ale, cudownie, jak twierdzi, uzdrowiony przez Matkę Boską, chciał koniecznie coś zrobić, aby się jej „odwdziżyć”. Rzecz wydawała się mało poważna, pozwolenie więc wprawdzie dostał, ale nie dostał pieniędzy. Zebrał paręset marek kwestując po sklepach i za nie wydał pierwszy numer *Rycerza*. Zupełne niepowodzenie: same zwroty. Pieniądze włożył, nie dostał niemal nic z powrotem. Trzeba było chodzić po kweście drugi raz, a potem samemu roznosić miesięcznik po mieście. Odtąd zaczyna się ruch: 5.000 egzemplarzy. *Rycerz* drukował się wtedy w drukarni *Czasu*. Już w tym samym roku, przeniesiony do Grodna zakłada drukarnię: małą półarkuszówkę, kupioną ze strychu jakichś zakonnic.

W 1927 roku ks. Jan Drucki-Lubecki ofiarował ze swojego majątku Teresin 8 morgów ziemi. W zimie 1927/28, po wariacku, bez żadnego zasianowienia, jeśliślibyśmy mieli tę rzecz ocenić ze stanowiska zwykłej roztropności, przyjeżdża dwóch ojców i 17 braci na nowy teren: mieszkają w lichu skleconym baraku, śpią na słomie bez pościeli, kręcą zmarzłymi rękoma swoją maszynkę, i drukują dalej. Ale już w 1928 było tego O. Maksymilianowi mało: w nowym, jeszcze mniej logicznym i jeszcze bardziej niezrozumiałym zrywie wyjeżdża niespodziewanie do Japonii, spada miejscowemu biskupowi na kark bez zapowiedzenia, bez środków, i planu, zakłada nowy *Niepokalanów* pod Nagasaki, aby bić już 65.000 egzemplarzy po japońsku, zwerbować dotąd 3 braci tubylców i przemyśliwać o nowej fundacji w Kalkucie.

Nie znam niestety tego człowieka. Wszyscy, którzy go znali, zapewniali mnie, że to osobistość niezwykle. Ale wystarczy, przypatrzeć się temu, co po sobie zostawił, aby sobie zdać sprawę że jest w Niepokalanowie coś, co przekracza naszą zwykłą skalę i wyrasta o głowę ponad przeciętny poziom: szczerą służbą idei chrześcijańskiej w jej franciszkańskim odcieniu. Niepokalanów jest oazą tej idei, jest osiedlem, w którym wszystko się zgodnie z nią dzieje. W tym leży jego moc i piękno, a zapewne także i powód, dlaczego *Rycerz* ściąga na siebie tak gwałtowne gniewy wszystkich tych, którzy tej idei nie chcą.

W celi kierownika

Kiedy przyszedłem do Niepokalanowa, zaprowadzono mnie najpierw do Ojca gwardiana, wspomnianego już kierownika osiedla i jego przełożonego zakonnego, to jest człowieka, który ma w ręku wszystko (każdy zakonnik jest obowiązany względem niego do zupełnego posłuszeństwa), a który równocześnie jest dyrektorem wydawnictwa największego w Polsce czasopisma i jedynym odpowiedzialnym zarządcą dużego zakładu przemysłowego. Wchodzi się do jego biura, będącego zarazem sypialnią, po schodach ze sosnowych, niemalowanych desek. Samo biuro ma rozmiary, o ile się nie mylę 4×4: jest w nim stół z takiegoż białego drzewa, dwie proste szafki na książki, łóżko żelazne z siennikiem i dwa zydle bez oparcia: jeden dla gwardiana, drugi dla gościa. Pod łóżkiem stoi jeszcze miednica a na stole telefon no i oczywiście posążek Matki Boskiej. Nic więcej: ani śladu jakiegokolwiek, uprawnionej chyba w warunkach pracy tego człowieka, wygody, ani śladu już nie zbytku, ale po prostu dbałości o harmonijny wygląd wnętrza: surowe materiały, surowo ciosane w zakresie koniecznie potrzebnym do życia i pracy.

Już dawniej wiele słyszałem o ubóstwie Niepokalanowa; ale muszę przyznać, że to zupełne ogołocenie celi sypialnej i pracowni kierownika całego dzieła wywarło na mnie silne wrażenie. W celi O. Gwardiana nie widać nawet owej popolitości, tak uderzającej przy wejściu: jest w niej niezaprzecalnie styl, wielki styl wyrzeczenia i prostoty. Sam właściciel celi doskonale się dostraja do całości: mały człowieczek o popolitej, pogodnej i pomarszczonej twarzy, rozmawia z niesłychaną prostotą; serdeczność bije z jego głęboko osadzonych i podbitych oczu na nieogolonej twarzy. Od razu odczuwa się coś niezwykłego: sam kontrast stanowiska tego człowieka z jego mieszkaniem i zachowaniem się uderza — a i obejście się jest jakieś inne, niż „na świecie”. Trudno mi powiedzieć dlaczego inne, ale w każdym razie inne.

Idziemy na obiad

O. Gwardian wziął mnie zaraz na obiad. Idzie się jakimiś zakamarkami popod baraki i budki do wielkiej szopy ze surowego drzewa, pełnej stołów sosnowych na krzyżakach. Stoły biegną wszystkie równolegle, jeden koło drugiego — tylko u końca sali jeden stoi prostopadle do nich przed nieodzowną figurką matki Boskiej na ołtarzyku. Sala pełna jest braci, mało pełna — nabita: jeden koło drugiego — może dwustu, może więcej. Wszystkie młode; głowy strzyżone i stare poniszczone habity. Widok obcego wywołuje oczywiście zainteresowanie i wszystkie oczy śmieją się do mnie z zadziwiającą pogodą i życzliwością. Raz jeszcze nieodparte wrażenie czegoś innego, niż się zwykle spotyka: ale tym razem różnica jest jasna; ci ludzie muszą mieć ogromną dozę życzliwości dla każdego stworzenia. Przychodzi na

myśl św. Franciszek któremu służą, bo to wszystko franciszkanie. Ale nie czas rozważać o tym, bo gwardian stawia mnie frontem do figurki i zaczyna powoli recytować modlitwy. Braciszkanie ciągną dalej chórem, z niesłychaną wyrazistością: wystarczy powiedzieć, że chociaż ich jest może 200, każde słowo słyhać tak jak gdyby wymawiał je jeden. Bardzo piękne modlitwy o błogostawieństwo Boże na jedzenie — nagle przerwane przez chóralny werset, który odtąd prześladować mnie miał niemal wszędzie:

Deus caritas est, et qui manet in caritate, manet in Deo et Deus in eo.

„Bóg jest miłością, i kto trwa w miłości, ten trwa w Bogu a Bóg w nim”.

Modlitwy trochę jak na mój gust długie: jest i Anioł Pański i „De profundis” za zmarłych dobrodziejów bodaj, i jeszcze inne rzeczy, wszystko recytowane z niezwykłą powagą i skupieniem. Nie wypadało niestety odwrócić się aby zobaczyć jak wyglądają modlący się za mną, ale sam ton tych głosów jest taki, że mylić się nie można — od razu odczuwa się doskonale, że ten zlepek baraków i ta świetna fabryka jest równocześnie jeszcze środowiskiem w którym życie religijne musi być bardzo intensywne.

Wreszcie zaczynamy jeść: przed każdym stoi cynowy talerz którego się nie zmienia i łyżka, służąca zarówno do (doskonałej nawiasem mówiąc) zupy, jak i blinów, które przyjdą po niej. W refektarzu milczenie, tylko z ambonki (oczywiście także na prędce zbitej z desek) jeden z braciszków czyta donośnym głosem tekst Ewangelii, a potem jakiś życiorys świętego. Na mój przyjazd O. Gwardian użył swojej władzy i po chwili zwolnił z milczenia: sala od razu zapełniła się wesołym rozgwarem. Patrząc po rzędach: same młode twarze; wyglądają dobrze, może trochę zmęczeni, i nic dziwnego, bo wracają z czterogodzinnej pracy (stayloryzowane!). Gwardian wyjaśnia mi, że chętnie korzysta z każdej sposobności, aby pozwolić na rozmowę, bo podczas pracy mówić nie wolno i chłopcom potrzeba odprężenia. Zasadniczo jednak milczenie obowiązuje przy stole bezwzględnie, i muszę przyznać, że zarówno podczas obiadu, do dzwonka, jak i podczas kolacji, kiedy dyspensy nie było zachowywano je wzorowo. Jeszcze jedno wyjaśnienie: jedzą na cynowych talerzach, które się lepiej na dłuższą metę kalkulują: u nas, panie, każdy grosz robi ogromne pozycje, bo jest nas 550, a talerze gliniane, choć tańsze, biją się za często. Jemy oczywiście na stołach bez obrusa, i aby uspokoić mnie na wszelki wypadek dostaję informację, że nawet Ks.Ks. Biskupom nie daje się go, ani lepszych talerzy, których zresztą w domu nie ma, ale tylko widelec i nóż, w dowód głębokiego szacunku. My, zwykli śmiertelnicy, jemy wszystko łyżką.

Porządek dzienny

Patrząc jeszcze po wesołych i zmęczonych twarzach braci. Jakie życie prowadzi ci ludzie? Mogę powiedzieć ze wszystkimi szcze-

gółami, bo pokazano mi wszystko, aż do ksiąg kasowych i składowych materiałów włącznie: w Niepokalanowie niczego przed nikim nie kryją i gwardian opowiada każdemu o swoich projektach, deficytach, zyskach, jeśli gość zechce, chwytając za słuchawkę, aby kazać zaraz przynieść księgi kasowe i statystyki. Jest więc tak: Rocznie zgłasza się blisko 1.800 kandydatów, przyjmuje się z tego około 100, z których ostatecznie zostaje tylko połowa. Ci wstępując nie wdzwają od razu habitu, ale przez pół roku są „postulantami”, wchodząc zresztą od razu w pracę i życie klasztoru. Muszą oddać wszystko, co im nie jest nieodzownie potrzebne, tymczasem na skład, aż do chwili, kiedy po ślubach tracą na zawsze prawo posiadania jakiegokolwiek własności. Śpią na siennikach w wielkich salach na strychach; każdy ma do dyspozycji prócz łóżka jeszcze miednicę, której używa na klęczkach, bo zydła nie dostaje. Porządek dzienny nie jest jednolity (praca idzie na zmiany); podaję tytułem przykładu tryb życia jednej grupy:

Wstają po 5-ej. O 5.30 jest rozmyślanie w kaplicy, podczas którego przełożony czyta kilka wierszy, po czym wszyscy obecni myślą o nich i modlą się w milczeniu przez pół godziny; po rozmyślaniu Msza święta z Komunią wszystkich braci, potem pacierze, razem do 7.30. O 7.30 śniadanie (w milczeniu, jak zawsze w refektarzu), chwila wolnego czasu na uporządkowanie siennika, i o 8-ej praca. Trwa ona do 11.55 z 15-to minutową przerwą na rekreację. Owych 5 minut dzielących pracę od obiadu zużywa się na umycie rąk i krótką adorację w kaplicy. Po obiedzie modlitwy w kaplicy i rekreacja do 1.30. O 1.30 półgodzinny wykład religijny, rodzaj pogawędki, w swobodnej pozycji. O 2-giej praca do 6.30, znowu pół godziny modlitwy, kolacja, druga medytacja półgodzinna i godzina rekreacji głównej; o 9-tej grupa musi gasić światła i starać się spać; jak to się udaje, nie bardzo wiem, bo braciszkiowie przeważnie śpią na strychach nad maszynami, które dudnią przez całą noc i, co gorsze, z przerwami. Ale twierdzą, że śpią, i spać muszą, bo wyglądają dobrze.

Razem więc wypada w dzień powszedni około 8 i pół godziny pracy i 3 i pół godziny modlitwy. Snu mają równych 8 godzin. W niedzielę pracy oczywiście nie ma, za to jest druga Msza święta i przechadzka gromadna po obiedzie. Reasumujmy: brat zakonny prowadzi życie ciężkiej pracy przeplatanej modlitwą. Podczas gdy jego kolega drukarz świecki idzie po pracy do domu, aby sobie odpocząć, jego wzywa nieubłagany dzwonek do kaplicy, w której pędzi długie godziny na klęczkach. Zresztą cały niemal jego dzień upływa w milczeniu: milczy się przy pracy, przy jedzeniu, w sypialni, w kaplicy — tylko dwie godziny dziennie wolno mu mówić, i to wyłącznie z towarzyszami. Nie ma na własność niczego: wszystko co stanowi produkt jego wysiłku płynie gdzieś w nieznaną mu dala do PKO a z niej do dostawców; nie widzi nawet tych, dla których pracuje. Tylko bardzo mały odsetek braciszkiów, sekcja korespondencyjna, ma kontakt z czytelnikami poprzez olbrzymią korespondencję (2.500-5.500 listów dziennie). Za cały swój wysiłek i poświęcenie dostaje bardzo skromne je-

dzenie, dach nad głową i stary habit. Już z butami jest znacznie gorzej i bodaj, że tylko mały odsetek braciszkiów je posiada.

To samo zresztą dotyczy i kierowników osady, ojców. Jedynym przywilejem, który im przysługuje obecnie, jest posiadanie własnej celi, a w niej dwóch zydli. Poza tym, wszystko, jedzenie, habit, praca, są jednakowe: 95 groszy na głowę dziennie; mówi O. Gwardian: żaden z nas nie kosztuje więcej, chyba że jest chory.

Podłoże psychiczne

Jaki jest psychiczny podkład całej sprawy? Co skłania braciszkiów i ojców do życia w tych warunkach, w takim wyrzeczeniu i takiej pracy? Można oczywiście podejrzewać Niepokalanów o to, że jest oazą dla bezrobotnych, zadowolonych, że znaleźli chociaż taki dach nad głową i chleb jaki tu mają. Ale wystarczy pobyc dzień w osiedlu i przypatrzeć się ludziom, ich zachowaniu i pracy, aby wiedzieć z całą pewnością, że tak nie jest: Niepokalanów trzyma się i rozwija dzięki wysokiemu poziomowi życia religijnego. Ci, którzy tu pracują, są w ogromnej większości jednostkami, które „na świecie” miałyby wszelkie szanse przebić się i wybić: 50-ciu z 1.800! Wybiera się najtęższych i najzdolniejszych — i inaczej nie można, bo znaczny odsetek musi nauczyć się wykonywania skomplikowanych czynności, które wymagają dużej inteligencji i woli; nie mówię już oczywiście o tych 8 ojcach: ci mogliby mieć wszędzie indziej życie zgoła wygodniejsze i bardziej „ludzkie”, bez tej nieustannej harówki i ubóstwa graniczącego z nędzą. Ale nawet braciszkiowie niewątpliwie składają tu ogromną ofiarę: składają ją oczywiście „dla Matki Boskiej”, z radością i zapałem, w który nie uwierzy nikt, kto ich nie widział.

Jakże, Ojczy Gwardianie, pytałem, czy nie macie nigdy żadnych trudności? Ludzie się wam nie buntują? Nie skarżą na tę nędzę i żelazny tryb fabryczno-klasztornej maszyny, która nie wypuszcza ich ani chwilę ze swych ram? Gwardian popatrzył mi znowu w oczy i powiedział, że nigdy w swoim życiu zakonnym nie miał tak mało trudności, i nigdy nie spotykał się z taką ofiarnością do pracy i wyrzeczenia, jak tutaj. Zresztą, niech pan popatrzy na nich wieczorem przy medytacji. Patrzyłem uważnie. Gwardian się nie myli: cała kaplica pogrążona była w gorącej modlitwie, tak gorącej, że znowu widuje się rzadko coś podobnego: ci ludzie żyją swoją religią — są gotowi dać dla niej wszystko.

Fanatyzm Niepokalanowa

Rzecz jasna, że można to nazwać egzaltacją, fanatyzmem, albo nie wiem jeszcze jak — ochrzcić kołtuństwem i średniowieczem. Ale jeśli istnieje dział przeżyć psychicznych, które nazywamy religijnymi w zdrowym tego słowa znaczeniu, a nie czym innym — to tego rodzaju rzeczy dadzą się chyba najlepiej obserwować

masowo w Niepokalanowie. Oczywiście, aby zrozumieć ich prostolinijność i logikę, trzeba pamiętać, że to są katolicy wierzący, i że ze stanowiska ich wiary cały szereg rzeczy, które niewierzącym wydają się dziwne, czy śmieszne, są dla nich najzupełniej normalne i poprawne. Jeden przykład: pociągnęłam za język owego młodego redaktora, aby mi opowiedział o powstaniu *Małego Dziennika*, bo gwardian milczał uporczywie i nie chciał o niczym opowiadać: „kupiliśmy prasę, zrobiliśmy kalkulację i poszło” — odpowiadała na każde pytanie. Otóż ta odpowiedź nie mówi niczego: naprawdę było inaczej. W Niepokalanowie zaczęto wydawnictwo *Małego Dziennika* od tego, że przez dziewięć dni odbywano całonocną adorację Najświętszego Sakramentu, spano bez poduszek i odmawiano sobie częściej jedzenia — a poza tym także nawet tych paru chwil wolności podczas rekreacji. Śmieszne przesady? Wolno myśleć i tak. Ale nie trzeba zapominać, że Niepokalanów szedł zawsze tą „metodą” i że doszedł tam gdzie jest, podczas gdy inni, „wolni od przesądów”, biją do dziś swoich 5, albo 10.000.

Wracając jeszcze do religijności Niepokalanowa, trzeba stwierdzić, że ma ona charakter najzupełniej zdrowy, tak ze stanowiska psychologii, jak i pod kątem widzenia nauki katolickiej. Nikt nie nazwie chyba nienormalnymi psychicznie ludzi, którzy potrafiliby tak nikłymi środkami stworzyć rzecz tak znaczną i prowadzić ją tak umiejętnie: fakt, że owych 3 i pół godziny modlitwy daje braciom siły do wykonania bardzo sprawnie idącej i wyteżonej pracy, dowodzi dostatecznie, że modlitwa jest w ich życiu czynnikiem zdrowym i dodatnim.

Ale także i ze stanowiska nauki katolickiej Niepokalanów przedstawia się bez zarzutu i zdaje się nie mieć nic wspólnego z niezdrową egzaltacją podobnych zewnętrznie ruchów *spirituales* dawnych franciszkanów: są wszystkie cechy miarodajne dla dodatniej oceny: powszechna wesołość, bijąca w oczy życzliwość dla każdego i wszystkich, wzorowe posłuszeństwo ustawom zakonnym i przełożonym — nadzwyczajny wprost stosunek braci do gwardiana i tak dalej. Jest i coś więcej: można by sądzić, że tworząc wielką osadę fabryczną, kierownicy zechcą ograniczyć modlitwę do minimum, aby dać więcej czasu na pracę i odpoczynek. W rzeczywistości jest wręcz przeciwnie: 3 i pół godziny — w tym niektóre z najlepszych (rano) zarezerwowano na modlitwę: oczywisty znak, że duch Niepokalanowa jest katolicki, i że przełożeni rozumieją wyższość modlitwy nad czynem i jej rolę w życiu.

Niepokalanów żyje w pełni katolicyzmem: to jest sens wszystkiego i racja powodzeń. Kiedy się widzi długie szeregi mechaników i zecerów kłęczących rzędem przed maszynami i modlących się gorąco, z widoczną pobożnością do figurki matki Boskiej wlepionej gdzieś między tryby i transmisje i słyszy jak z przejściem proszą ją „o pomoc dla nas, którzy się do Ciebie uciekamy i dla tych, którzy się do Ciebie nie uciekają, a zwłaszcza za poleconych Twojej opiece masonów”; kiedy się słyszy na każdym kroku powtarzane słowo „Maria” (powitanie w Niepokalanowie); kiedy od-

poczywający po pracy na trawie braciszkuwie rozmawiają z nie-zróznaną swobodą i pokorą z naczelnym dyrektorem zakładu, ubranym w taki sam jak oni wyswiechtany habit — rzecz może wydawać się z początku śmieszna. Ale nie można pobyć długo w osiedlu, aby nie zostać „wziętym” przez atmosferę — tyle w niej szczeroci i prostoty.

Styl franciszkański

Jeszcze jedno: nie trzeba zapominać, że Niepokalanów jest nie tylko osiedlem katolickim, ale i osiedlem franciszkańskim — i wszystko nastawione jest w nim na możliwie największą pokorę i ubóstwo. To nastawienie nie od razu staje się jasne; ale po pewnym czasie zaczyna dominować nad wszystkim — i wtedy nawet owa figurka przed bramą i te wycinanki z papieru, i cała bezstylowość Niepokalanowa nabierają innego wyglądu: to nie jest zaniedbanie, to jest styl; wielki styl pospolitości, celowe urządzenie życia tak, aby w niczym nie różniło się od najpospolitszego, najbardziej pogardzanego życia małego miasteczka w zapadłej prowincji; i sama pospolitość staje się czymś niezwykłym i imponującym.

Mówiłem o tym z jednym z kierowników osady, w jego gabinecie redakcyjnym w Warszawie. Ten przynajmniej nie jest braciszkiem ale księdzem, doktorem dwóch fakultetów, który zjeździł niemal całą Europę na studiach uniwersyteckich; ma delikatne odczucie piękna i stylu. Powiedziałem mu wprost, że jego *Mały Dziennik* mi się nie podoba, że jest ordynarny, źle redagowany, że drukuje głupią powieść i że powinni to naprawić. Mój rozmówca słuchał z uśmiechem i odpowiedział, że o tym nigdy nie pomyśli: *Mały Dziennik*, tak jak *Rycerz*, musi być pospolity, zwykły i „mały”. Nie drukuje się dla inteligencji, ale dla najszerzych mas i chce mówić do nich ich językiem; nie stać go na wielkie honoraria — jest deficytowy dotąd — i płacić ich nie będzie. Ale tak jest dobrze, i właśnie dlatego że tak jest, jest dobrze: bo my robimy tylko małe i pospolite rzeczy. Zrozumiałem, że ci ludzie nie chcą być wielcy, i nie pragną uchodzić za coś poszanowania godnego; chcą być, jak św. Franciszek, sługami najmniejszych i najbiedniejszych.

Kultura

Doskonale — ale przecież powinniście dbać o kulturę ludu, nie obniżać jej, ale podnosić? Dbają o nią. *Mały Dziennik*, choć skromny i niewyszukany, postawił sobie za pierwsze zadanie pogłębienie rynku czytelniczego; aby gazeta dochodziła tam gdzie jej dotąd nikt nie czytał. A przy tym nie daje samej tandety: jest w niej zawsze sporo wiadomości ze świata, jest porządny wykład liturgii Mszy świętej — poziom w ogóle nie jest gorszy od pozio-

mu innych pisemek brukowych, z tym tylko, że brukowości w nim nie ma: jest pismem czystym.

Jak wiadomo *Rycerz Niepokalanej* stał się przedmiotem bardzo ostrych ataków ze strony ludzi, którzy zarzucali mu szerzenie zabobonów i niezdrowych nastrojów; przyznam się, że i ja sam swojego czasu dosyć w to wierzyłem. Ale wystarczy przeglądnąć roczniki pisemka, aby się przekonać, że zarzut jest bezpodstawny i krzywdzący: *Rycerz* jest ze stanowiska katolickiego najzupełniej w porządku: nie tylko nie szerzy zabobonów, ale nie podobna się w nim nawet dopatrzeć jakiegś przesady w reklamowaniu szczególnych nabożeństw: porządek wartości religijnych jest zachowany: Pan Bóg idzie przed Matką Boską, a Matka Boska przed św. Antonim, o którym zresztą mało słychać. Można, rzecz jasna, nazwać katolicyzm w ogóle zabobonem, i z tego stanowiska *Rycerz* będzie zabobonny, ale ani mniej, ani więcej od każdego innego pisma katolickiego, poświęconego sprawom religijnym; głosi to samo, co wyznają tak szanowani właśnie przez przeciwników *Rycerza* wielcy katolicy pisarze francuscy, Maritain, Mauriac i inni. Nie potrzeba dodawać, że nazywanie katolicyzmu przesadą czy zacofaniem jest nas w Polsce, w okresie w którym bodaj że większość czołowych naszych ludzi otwarcie się do niego przyznaje, co najmniej nieporozumieniem w terminologii.

Gdzie idą zyski

Przed wyjazdem z Niepokalanowa odbyłem jeszcze z ojcem Gwardianem jedną nieprzyjemną rozmowę: chciałem wiedzieć, jak wygląda rentowność zakładów i co się dzieje z pieniędzmi. Mogłem się spodziewać, że spotkam się z odmową wyjaśnień, bo pieniądze jakie płacą czytelnicy, dawane są franciszkanom w pełnym zaufaniu, i nikt nie ma prawa żądać zdawania rachunków — chyba przełożeni i Kongregacja rzymska dla spraw zakonnych. Mimo to gwardian zaczął od razu opisywać mi wszystko szczegółowo, kazał przynieść księgę główną, wyliczał pozycje z poszczególnych kalkulacji i w ogóle starał się dać mi możliwie najdokładniejszy obraz stanu finansowego osiedla. Nie chcę nużyć czytelników powtarzaniem cyfr i przepisywaniem bilansu, który zresztą moim zdaniem przedstawia małą wartość. Wystarczy powiedzieć dla orientacji, że podczas gdy *Dziennik* jest jeszcze grubo deficytowy (wiele tysięcy złotych miesięcznie), *Rycerz* rentuje się doskonale. Co się dzieje z pieniędzmi? Postawiłem to pytanie w prostej i brutalnej formie: prasa wam zarzuca, że zgarniacie ogromne sumy, które idą Bóg wie na co i gdzie; mówią, że zgarniacie dolary pełnym rękawem i w wolnych chwilach od zajęć, wy, to jest ojcowie, spożywacie te „dary boże” poza oczami braci. Gwardian się nawet nie rozgniewał. Powiedział mi tylko, że Bóg będzie ich sądził z zachowania ubóstwa; że żaden z ojców nie ma nigdy jednej pięciogroszówki do własnego użytku, i że jego, gwardiana

rachunki prowadzi brat buchalter, przed którym on składa sprawozdania z każdego wydanego grosza. Wierzę, że mówi prawdę, i uwierzy każdy, kto jak ja patrzył mu prosto w pocziwe i zmęczone oczy. Dobrze, ale co robią z pieniędzmi? Rzecz jasna i nie wymaga wyjaśnień: najpierw powstał z nich i rośnie Niepokalanów. Dwóch pras rotacyjnych (z tych jedna za 350.000 zł.) nie kupuje się bez pieniędzy, a generatory i Diesle nie przychodzą za darmo. Ten milion, który mniej więcej tkwi w maszynach Niepokalanowa to zysk z *Rycerza*. Poza tym *Rycerz* mając ogólnego nakładu trzy ćwierci miliona, daje przeciętnie 300.000 abonamentów za darmo; trzysta tysięcy, zatem prawie połowę nakładu: kto tylko prosi, i obiecuje, że kiedyś zaabonuje, dostaje latami pisemko bez żadnej opłaty. Wreszcie są misje: Niepokalanów japoński sam się utrzymać nie może i 400 do tysiąca dolarów miesięcznie wędruje do Nagasaki, aby podtrzymać jedną z nielicznych polskich placówek misyjnych. Dla siebie, braci i ojców, nie zachowują nic, poza tym, czego koniecznie potrzebują, aby móc pracować: około 90 groszy na głowę dziennie. Od naczelnego dyrektora i naczelnych redaktorów, od wysoko wyspecjalizowanych, aż do ostatniego szofera i stróża nocnego, wszyscy śpią na takich samych siennikach, jedzą tę samą kaszę z tych samych cynowych talerzy i pracują bez wytchnienia, z perspektywą że niczego nigdy się nie dorobią, bez rodziny, bez rozrywek, zawsze w takim samym poplamionym i biednym habitacie, poniewierani przez sztywnie ubranych „obrońców ludu” i „kwiat kultury polskiej” jako banda wyzyskiwaczy i ciemnych, barbarzyńskich zacofańców.

Bijemy na alarm

Wyjechałem z Niepokalanowa pod wrażeniem, że trzeba bić na alarm i wytłumaczyć ludziom, że takie wartościowanie jest niegodnym nowoczesnego człowieka skandalem. Jeśli istnieje skala wartości kulturalnych, i jeśli szczytowe miejsce w niej przyznajemy wartościom religijnym i socjalnym, poprawnemu i bohaterstwu ustosunkowaniu się do Absolutu i ludzkości — jeśli duch ma mieć pierwszeństwo przed materią, a twórcza praca nad jałowym mędrkowaniem — trzeba sobie powiedzieć, że wyższą kulturę reprezentują nie ci niepowołani orędownicy cywilizacji, ale Niepokalanów. Cofnę to twierdzenie, jeśli mi ktoś pokaże między tymi, którzy nie znajdują dość słów na potępienie osiedla, coś, co by choć w przybliżeniu mogło dorównać dziełu Maksymiliana Kolbego pod względem poświęcenia, miłości i sprawności wysiłku organizacyjnego. Ale wiadomo, że takiej drugiej osady w Polsce nie ma; bodaj, że nie tylko w Polsce. Możemy być z niej dumni, nie tylko jako katolicy i ludzie, ale i jako Polacy.

Mniejsza zresztą z mędrkującymi niedowiarkami. Trzeba przede wszystkim dziękować Bogu, że dał nam tak piękną rzecz, że jest u nas tak czysto polski, a tak piękny ośrodek miłości, modli-

twy i pracy. Nikt z tych, którzy, jak ja, zwiedzili go bez uprzedzeń, gdy pociąg ruszy i poniesie go ku luksusowym lokalom redakcyjnym, świetnym uczelniom i błyszczącym restauracjom Warszawy — nie oprze się wrażeniu, że odjeżdża z jakiejś wyspy, na której życie jest nieskończenie szlachetniejsze, i szczęśliwsze, od naszej biednej szarpaniny, tak beznadziejnej, tak zmateralizowanej, tak pozbawionej ducha i wzniosłości. Wrażenie mocne i niezapomniane.

Ale jeśli ktoś z czytelników przebył je choć w części czytając mój — straszliwie zresztą nieudolny — opis, wolno się do niego zwrócić z apelem, by jeśli ceni wyższe wartości, i chce, aby one promieniowały na Rzeczpospolitą i świat, poparł Niepokalanów. *Mały Dziennik* kosztuje złotego miesięcznie; trzeba go zaabonować. Trzeba przede wszystkim naprawić krzywdę wyrządzoną braciom z Niepokalanowa, przez niepoczytalnych pisarzy i powtarzać wszędzie, że to jest bardzo wielkie, bardzo piękne i bardzo szlachetne dzieło.

I. M. BOCHEŃSKI, O. P.

Bunt Młodych, 20 październik - 5 listopad 1935 r.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Sprawy i troski

O grupach etnicznych

W jednej ze swych doskonałych książek (*Modern Nationalities*) Florian Znaniecki wprowadził do socjologicznej literatury anglosaskiej rozróżnienie między „narodem” (*nation-state*) i „narodowością” (*nationality*). Rozróżnienie to niestety nie przyjęło się nawet wśród amerykańskich socjologów, nie mówiąc już o szerszych kręgach wykształconych Amerykanów, którzy nadal za kryterium przynależności narodowej uważają jedynie obywatelstwo kraju „prawdziwie niepodległego” czyli oficjalnie uznanego za taki przez Narody Zjednoczone.

Według tych pojęć Litwini na przykład są albo po prostu obywatelami rosyjskimi, a więc Rosjanami (bo w oficjalnej terminologii amerykańskiej *nationality* to obywatelstwo) albo w najlepszym wypadku wielką „grupą etniczną” w obrębie Rosji.

Do „grup etnicznych” zaliczają się również według tych pojęć Portorykańczycy, Walijszczycy i Baskowie. Kwitnący język narodowy, literatura i sztuka, ruchy niepodległościowe, wielowiekowa często historia, wzrastające szeregi walczących interekulturalistów, nawet rozbudowane w podziemiu instytucje polityczne, nie zmieniają w oczach Amerykanów „grup etnicznych” w „narodowości”.

A termin „grupa etniczna” ma w języku amerykańskim dość wyraźne znaczenie, zbliżone zresztą do znaczenia terminu „mniejszość” (*minority*) bez dodania przymiotnika „narodowa”.

W grupach etnicznych mówi się jeszcze czasem językiem „starego kraju”, nie jest to jednak zasadnicze dla świadomości etnicznej. Znacznie bardziej zasadnicze jest zachowanie etnicznych zwyczajów zwłaszcza religijnych i rodzinnych: kultywowanie etnicznej kuchni, muzyki ludowej, tańców i strojów ludowych. Ze względu na zanikające języki grup etnicznych¹ literatura i historia „starych krajów” gra w życiu amerykańskich grup etnicznych znacznie mniejszą rolę niż ludowa muzyka czy religijno-ro-

1. Pod wpływem polityki amerykańskiej, która obecnie jest znacznie słabsza niż w okresach wielkich fal emigracji.

dzinny folklor. Jest to zrozumiałe zresztą z innego jeszcze względu. Kultuwanie historii i literatury kraju z którego się pochodzi prowadzi zwykle do odrzucenia zielnikowego terminu „stary kraj” i do wciągania się w żywą historię rodzinnego kraju, uważanego za bardziej własny, niż emigracyjne miejsce postojów.

Łatwo zrozumieć, że najbardziej nawet tolerancyjne państwa, zbudowane na licznych emigracjach, nie będące zachwycone kultuowaniem tego rodzaju świadomości narodowej. Historia amerykańskiej emigracji, a w każdym razie europejskich emigrantów w Stanach Zjednoczonych, to historia zasuszenia tradycji narodowych i podlewania tradycji etnicznych. Chodziło i nadal chodzi o maksymalne odpolitycznienie mniejszości narodowych bo dopiero po takim odpolityczeniu (czyli wynarodowieniu) będą one przygotowane do brania udziału w amerykańskich instytucjach politycznych. Jednym z przykładów zasuszenia polskiej tradycji narodowych jest uetnicznione święto Trzeciego Maja, bardzo podobne do obchodów *Pułaski Day* czy *Columbus Day*. Z okazji tego rodzaju świąt wzmacnia się przede wszystkim amerykańska więź społeczna, są to bowiem ważne rytuały społeczno-polityczne amerykańskie, *nie polskie*, niezależnie od ilości biało-czerwonych flag i żywych obrazów z Polską w Łańcuchach na platformie z ogłoszeniem „Canada Dry”.

Dla mas niewykształconych emigrantów z Polski XIX wieku, dla ich dzieci i czasem nawet wnuków tego rodzaju obchody i tego typu przynależność do wielkiej „grupy etnicznej” na pewno miało i nadal ma wielkie znaczenie. Tego typu przynależność pomagała im bowiem i często nadal pomaga przy włączaniu się w szerszą społeczność amerykańską.

Ogromna większość emigrantów z Polski przywiozła ze sobą zresztą do Ameryki jedynie tradycje lokalne (czyli etniczne) a nie przywiozła, bo jej po prostu nie miała, żadnej polskiej świadomości narodowej. Można by oczywiście nawet dzisiaj spróbować taką świadomość wśród polskich mas etnicznych rozbudzić. W Ameryce pod wpływem najróżniejszych „rewolucji”: zwłaszcza studenckiej i murzyńskiej, jest teraz szalona moda na rozbudzanie różnego rodzaju świadomości i to często w imię przeszłości mocno zmitologizowanej. Czy ma to jednak jakiś sens? Czy jest to w jakiś sposób korzystne dla tych polskich mas etnicznych? Dla Ameryki? Dla Ludzkości? Dla Polski?

Amerykańscy Murzyni — jedyna tutaj grupa mniejszościowa bez tradycji etnicznych² starają się teraz na gwałt i na wyrost te tradycje zdobyć. „Na wyrost” bo Czarni intelektualiści amerykańscy wypracowują dla murzyńskich mas zmitologizowaną i mistyczną świadomość narodową z afrykańskimi korzeniami etnicznymi, raczej niż świadomość etniczną, czyli lokalną, ludową, szczerą.

2. Niewolnicy afrykańscy wyrwani byli z najróżniejszych szczepów i potem w dodatku rozproszeni po plantacjach w taki sposób, że trudno im było jakkolwiek tradycje afrykańskie kultuwać.

W Ameryce nagle mimo kryzysu *są pieniądze* na badania grup etnicznych i bardzo dobrze że są, bo wyjątkowo potrzebne jest w tej dziedzinie nowe, szersze spojrzenie i nowe dane. Ale ta moda na etniczność ma także wiele złych i niebezpiecznych stron, jak to zwykle bywa z modami intelektualnymi i politycznymi.

Polacy, którzy przyjechali do Stanów Zjednoczonych wskutek ostatniej wojny i układu w Jałcie to w dużej mierze inteligenci i częściowo intelektualiści, ze świadomością narodową lub szerszą, a pewno nie ze świadomością miejscowo-etniczną. Chociaż Stany Zjednoczone były na przyjęcie tego typu emigrantów nieprzygotowane, mieli oni jednak mimo to więcej alternatyw adaptacji i działania niż dawni, przeważnie wiejscy emigranci. Mogli zrzeszyć się w grupy narodowościowo-niepodległościowe jak za czasów Wielkiej Emigracji w Paryżu, mogli działać jednostkowo jako Polacy, w oparciu o najróżniejsze międzynarodowe grupy polityczne, naukowe, artystyczne etc. Mogli kontynuować bardziej kosmopolityczne wątki i żyć na emigracji tak jak często żyli w Polsce, nie przede wszystkim jako Polacy ale powiedzmy jako socjaliści, neopozytywiści, teozofowie czy fenomenologowie. Mogli wreszcie — i wydaje mi się, że wielu z nas to wybrało — dołączyć się do polsko-amerykańskich „grup etnicznych”. Taki „wybór” — przypuszczalnie półświadomy lub nieświadomy i spowodowany zapewne często traumatycznymi przeżyciami na emigracji — jest niewątpliwie wielkim indywidualnym zwężeniem ze strony wykształconych emigrantów polskich, a ze strony tych, którzy chcieli uprawiać politykę niepodległościową, jest zasadniczym odchyleniem od roli emigranta politycznego.

Zdumiona byłam i zaalarmowana widząc ilu poważnych polskich intelektualistów identyfikowało się z polską „grupą etniczną” w Ameryce, podczas ostatniego Kongresu polskich naukowców, zorganizowanego przez Polish American Institut of Arts and Sciences na Uniwersytecie Columbia w New Yorku. Niektórzy z nich, co prawda, czuli się z tą zbyt wąską identyfikacją dość niewygodnie i zagalopowywali się jeszcze dalej chyba niż Czarni intelektualiści piejąc wzniosłe o niedalekiej przyszłości Ameryki Wieloetnicznej. Na tle tych wizji, nieomal psychodelicznych, krótkie i trzeźwe uwagi Feliksa Grossa, historyka i socjologa, zabrzmiały naprawdę orzeźwiająco. Powiedział on po prostu o politycznych instytucjach amerykańskich, które zbudowane są jednak na ideach anglosaskich i to już dość dawno.

Czy możliwe i czy wskazane byłoby nadawanie obecnie tym politycznym i instytucjom amerykańskim charakteru włoskiego, ukraińskiego czy polskiego? I jeśli tak to z jakiej epoki historycznej tych krajów? I właściwie po co?

Czy lepiej i z punktu widzenia ogólnoludzkiego i polskiego zająć się raczej sprawiedliwością, odpowiedzialnością i efektywnością tych instytucji w stosunku do ciągle zmieniającej się współczesnej Polski?

Alicja IWANŃSKA

Odnaczenia Krzyżem A.K.

K O M U N I K A T

KOMISJI SPECJALNEJ KRZYŻA ARMII KRAJOWEJ

Na wniosek Komisji Specjalnej Krzyża AK, decyzjami z 29 lutego 1968 i z 24 lipca 1970 r. gen. Tadeusz Pełczyński, b. zastępca Komendanta Głównego AK, nadał Krzyż AK następującym osobom:

1. Stefanowi Starzyńskiemu, prezydentowi stołecznego miasta Warszawy, który pod koniec obłężenia Warszawy w roku 1939 omówił z gen. Michałem Karaszewicz-Tokarzewskim zasady organizacyjne tworzącego się anty-niemieckiego podziemia i złożył na jego cele poważną dotację finansową, zamordowanemu w niemieckim obozie koncentracyjnym.

2. Maciejowi Ratajowi,

3. Mieczysławowi Niedziąkowskiemu, — obu rozstrzelanym w Palmirach,

4. Leonowi Nowodworskiemu, — ad 2 do 4, organizatorom i członkom pierwszych, tymczasowych władz naczelnych Polskiego Państwa Podziemnego.

5. Antoniemu Pajdakowi, członkowi Krajowej Rady Ministrów z ramienia PPS, jednemu z „procesu szesnastu”,

6. Franciszkowi Kwiecińskiemu ze Stronnictwa Pracy,

7. Aleksandrowi Dębskiemu ze Stronnictwa Narodowego,

8. Mieczysławowi Trajdosowi ze Stronnictwa Narodowego,

9. Stefanowi Sacha ze Stronnictwa Narodowego — ad 6 do 9, zamordowanym przez okupanta,

10. Józefowi Grudzińskiemu ze Stronnictwa Ludowego, poległemu w Powstaniu Warszawskim, — ad 6 do 10, członkom w różnych czasach pierwszej, najwyższej władzy Polskiego Państwa Podziemnego, Politycznego Komitetu Porozumiewawczego,

11. Kazimierzowi Bagińskiemu, dyrektorowi Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu, następnie wiceprzewodniczącemu podziemnej Rady Jedności Narodowej, jednemu z „procesu szesnastu”,

12. Marianowi Gieysztorowi, zastępcy szefa Kierownictwa Walki Cywilnej (KWC),

13. Zygmuntovi Zarembie z PPS, jednemu z organizatorów podziemia, członkowi podziemnej Rady Jedności Narodowej i pod koniec jej istnienia rotacyjnemu przewodniczącemu,

14. Kardynałowi Adamowi Sapieże, popierającemu udział duchowieństwa w walce podziemnej i współpracującemu z naczelnymi władzami podziemia i lokalnymi w Krakowie,

15. Marcelemu Porowskiemu, podziemnemu prezydentowi stołecznego miasta Warszawy,

16. Stanisławowi Kauzikowi, dyrektorowi Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu,

17. Hr. Adolfowi Bnińskiemu, okręgowemu Delegatowi Rządu na Województwo Poznańskie, zamordowanemu przez okupanta,

18. Witoldowi Rościszewskiemu, szefowi organizacji podziemnej Pobudka, zamordowanemu przez Gestapo,

19. Inż. Ryszardowi Pojawskiemu, konstruktorowi podziemnych radiostacji KWC, utrzymujących łączność z rządem w Londynie, poległemu w czasie Powstania Warszawskiego,

20. Józefowi Stankiewiczowi, 16-letniemu konstruktorowi pierwszych podziemnych radiostacji KWC, zastrzelonemu przez okupanta w czasie walki ulicznej,

21. Władysławowi Różalskiemu, telegrafście radiostacji KWC, schwytanemu przy pracy i rozstrzelanemu w publicznej egzekucji ulicznej w Warszawie,

22. Janowi Zwitkowi, telegrafście radiostacji KWC,

23. Zygmuntovi Żuławskiemu z PPS, przywódcy podziemnemu z terenu Krakowa,

24. Adamowi Próchnikowi, przywódcy organizacji podziemnej Polskich Socjalistów,

25. Stanisławowi Dubois, przywódcy organizacji podziemnej Polskich Socjalistów, zamordowanemu przez okupanta w Oświęcimiu,

26. Dr. Stanisławowi Płoskiemu, działaczowi podziemnej Robotniczej Partii Polskich Socjalistów (RPPS), szefowi Biura Historycznego AK,

27. Bronisławowi Ziemięckiemu z PPS, pierwszemu dyrektorowi Departamentu Robót Publicznych i Odbudowy Delegatury Rządu, rozstrzelanemu przez okupanta w egzekucji publicznej,

28. Józefowi Dzięgielewskiemu, członkowi podziemnego Centralnego Kierownictwa Ruchu Mas Pracujących Wolność, Równość, Niepodległość (WRN), zamordowanemu po wojnie przez bezpiekę,

29. Janowi Łazowskiemu, członkowi WRN, zamordowanemu przez okupanta w Oświęcimiu,

30. Bolesławowi Dratwie, członkowi Centralnego Kierownictwa Ruchu Mas Pracujących WRN, poległemu w czasie Powstania Warszawskiego,

31. Stanisławowi Majkowskiemu, działaczowi WRN, poległemu w czasie Powstania Warszawskiego,

32. Wacławowi Kokosińskiemu, działaczowi WRN, poległemu w czasie Powstania Warszawskiego,

33. Adamowi Rysiewiczowi, sekretarzowi krakowskiej organizacji WRN, poległemu z bronią w rękę przy próbie odbicia więźniów Oświęcimia,

34. Stanisławowi Miłkowskiemu, przywódcy podziemnego Ruchu Ludowego, aresztowanemu przez Gestapo i przepadłemu bez wieści,

35. Eugeniuszowi Czarnowskiemu, ze Zjednoczenia Demokratycznego, członkowi podziemnej Rady Jedności Narodowej, jednemu z „procesu szesnastu”,

36. Romanowi Dukaczewskiemu, kierownikowi jednej z podziemnych radiostacji KWC,

37. Alfredowi Fox, telegrafście radiostacji KWC,

38. Emilii Fox, obserwatorki radiostacji KWC, małżonkom schwytanym przy pracy i zamordowanym przez okupanta w obozie koncentracyjnym,

39. Stefanowi Mateji (Mateja), drugiemu z kolei dyrektorowi Departamentu Pracy i Opieki Społecznej Delegatury Rządu, poległemu w czasie Powstania Warszawskiego,

40. Tadeuszowi Miklaszewskiemu, ostatniemu kierownikowi Biura Prezydialnego Delegatury Rządu,

41. Leszkowi Raabe, dowódcy Socjalistycznej Organizacji Bojowej (SOB), zaginionemu w Warszawie bez wieści w roku 1943, po wyjściu z kawiarni „Pod konikiem” na ul. Hożej,

42. Włodzimierzowi Kaczanowskiemu, następcy Leszka Raabe, poległemu w walce na Żoliborzu w czasie Powstania Warszawskiego,

43. Leopoldowi Rutkowskiemu, dyrektorowi Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu,

44. Aleksandrowi Zwierzyńskiemu ze Stronnictwa Narodowego, jednemu z „procesu szesnastu”,

45. Romanowi Knolowi, dyrektorowi Departamentu Spraw Zagranicznych Delegatury Rządu,
46. Zygmunтови Załęskiemu, dyrektorowi Departamentu Rolnictwa Delegatury Rządu,
47. Stefanowi Bryle (Bryła), dyrektorowi Departamentu Robót Publicznych i Odbudowy Delegatury Rządu, zamordowanemu przez okupanta,
48. Wacławowi Januszewskiemu, prezesowi podziemnej Państwowej Izby Kontroli,
49. Franciszkowi Białasowi, trzeciemu z kolei dyrektorowi Departamentu Pracy i Opieki Społecznej Delegatury Rządu,
50. Jerzemu Braunowi, członkowi podziemnej Rady Jedności Narodowej i jej ostatniemu przewodniczącemu,
51. Celinie Holm-Broniewskiej, szyfrantce i obserwatorki radiostacji KWC,
52. Janowi Karskiemu, emisariuszowi rządu w Londynie,
53. Jerzemu Lerskiemu, emisariuszowi rządu w Londynie,
54. Franciszkowi Moskalowi, emisariuszowi rządu w Londynie,
55. Czesławowi Raczkowskiemu, emisariuszowi rządu w Londynie,
56. Jerzemu Michalewskiemu, kierownikowi Biura Prezydialnego Delegatury Rządu, zaś po Powstaniu Warszawskim dyrektorowi Departamentu Obrony Narodowej Delegatury Rządu,
57. Feliksowi Zadrowskiemu, drugiemu z kolei dyrektorowi Departamentu Sprawiedliwości Delegatury Rządu,
58. Bolesławowi Biedze (Biega), sekretarzowi generalnemu podziemnej Rady Jedności Narodowej,
59. Wojciechowi Antoniemu Winklerowi, kierownikowi walki cywilnej na Okręg Warszawski,
60. Zygmunтови Berezowskiemu, przywódcy podziemnego Stronnictwa Narodowego,
61. Józefowi Dolinie, członkowi Okręgowej Delegatury Rządu w Lublinie, więźniowi obozów sowieckich,
62. Stanisławowi Osieckiemu, przewodniczącemu podziemnych władz naczelnych Stronnictwa Ludowego, tzw. „Trójki”,
63. Józefowi Wierusz-Kowalskiemu, obywatelowi szwajcarskiemu, funkcjonariuszowi Sekcji Budżetowo-Finansowej Delegatury Rządu, w którego domu prowadzono nasłuch radiostacji zachodnich, przechowywano osoby poszukiwane przez Gestapo i materiały podziemne,
64. Jeanne Wierusz-Kowalskiej, obywatelce szwajcarskiej, współpracownicy męża Józefa,
65. Konstantemu Regamey, obywatelowi szwajcarskiemu, z podziemnego Stronnictwa Pracy, dopomagającemu do utrzymania łączności z rządem w Londynie przez Szwajcarię.

Waszyngton, dnia 14 grudnia 1970 r.

Członkowie:
Adam GALINSKI Andrzej POMIAN

Przewodniczący:
Stefan KORBOŃSKI

Kronika kulturalna

Po co Tadeusz Zieliński ?

Przedruki dorobku historyków, krytyków, eseistów tak z lat międzywojennych, jak i z okresu sprzed pierwszej wojny światowej to szczególnie pozytywny aspekt krajowego ruchu wydawniczego. Trafiają się jaskrawe luki, — najjaskrawsza chyba to brak pism Brzozowskiego — ale na ogół akcja ta jest prowadzona z dużym rozmachem, planowana sensownie i wykonywana starannie. Większość przedrukowywanych pisarzy otrzymuje oprawę wydawniczą, o jakiej nie mogły marzyć pierwodruki.

Ostatnio akcja ta objęła także i twórczość popularno-naukową Tadeusza Zielińskiego. Świeżo ukazał się tom studiów o tradycjach antycznych w świecie nowożytnym *Po co Homer?* w opracowaniu i z postwaniem Andrzeja Biernackiego¹. Zapowiedziano zaś dwa następne: *Szkice antyczne* z przedmową Parandowskiego oraz tom prac z literatury nowożytnej, *Legenda o złotym runie*. Dotychczas Zieliński należał do pisarzy zaniedbanych. Wkrótce po Październiku wydano wprawdzie w Warszawie jego *Świat antyczny*, a setną rocznicę jego urodzin, w roku 1959, *Meander*, warszawski miesięcznik, poświęcony popularyzacji kultury antycznej, uczcił specjalnym zeszytem. Ale i na tym bodaj że się skończyło.

Opory przeciwko włączeniu pism Zielińskiego w obieg wspólnego życia kulturalnego były specyficznej natury. Były one konsekwencją tego, co Iwaszkiewicz, nb. wielki admirator Zielińskiego, nazwał postępkami „nierozsądnej starości” uczonego. Pod koniec roku 1939 Zieliński wyjechał z okupowanej Warszawy do hitlerowskich Niemiec. Tam też w maju 1944 roku dokonał życia w bawarskim Oberschöndorf.

Wyjazd taki zakrawał na zdradę narodową. Ale okoliczności tego wyjazdu, przypomniane przez Biernackiego w jego postwaniu,

1. Tadeusz Zieliński, *Po co Homer? Świat antyczny a my*. Wybór i postwianie — Andrzej Biernacki. Kraków, Wydawnictwo Literackie. 1970, str. 442 i 1 il.

sprawiają, że nie wolno mu stawiać takiego zarzutu. Z chwilą wybuchu wojny dobiegał osiemdziesiątki. Gmach uniwersytecki, w którym mieszkał, spłonął w czasie oblężenia Warszawy. Po opuszczeniu mieszkania padał tknięty paralizem (który potem się cofnął). Miał w Bawarii syna. Córka, która się nim opiekowała, postanowiła go tam przewieźć. Dwóch uczniów wykołatało dla niego w urzędach okupacyjnych potrzebne papiery. Procesowanie się z Zielińskim o wyjazd do Niemiec, podjęty w takich okolicznościach, byłoby nieludzkim rygoryzmem moralnym. Decyzję wyjazdu podjęła córka. A i ją trudno winić: chciała ratować ojca.

Wcześniejszy kataklizm, rewolucja bolszewicka, sprawił, że w roku 1922, a więc będąc już w wieku bez mała emerytalnym, objął katedrę w Warszawie. Był człowiekiem wielkiej żywotności. Siedemnaście lat spędzonych w Warszawie to okres bardzo płodny w jego twórczości. Włączył się w polskie życie naukowe i literackie i był jednym z luminarzy tego życia. Tym niemniej faktem pozostaje, że tak młodość jak i wiek męski spędził w Rosji, w Petersburgu. Jaki był wtedy jego stosunek do Polski i Polaków?

Biernacki stara się w swoim posłowie odpowiedzieć na to pytanie. Ale jego apologetyczny montaż cytatów i komentarzy zamiast wyjaśniać sprawę zamazuje istotny stan rzeczy. Zaczyna się ten montaż od cytatu z Zielińskiego, iż za klęski uważa „nacjonalizm oraz partyjność”. Poczem mamy nawiązujący do tych słów komentarz Biernackiego: „Zapewne dlatego z petersburską Polonią stosunków specjalnych przez lata nie utrzymywał — aż wzbudzając żal niektórych działaczy”. A potem znowu cytaty, tym razem z ogłoszonego wkrótce po wojnie wspomnienia pośmiertnego Witolda Klingera. Opowiada tam Klinger jak Zieliński zaczepiony raz w dyskusji na temat ustroju szkolnictwa rosyjskiego, iż jako Polak nie ma prawa zabierania w tych sprawach głosu, dumnie odpowiadał, „że choć jest istotnie synem narodu, na którego obolałym grzbiecie robione były świetne kariery służbowe, niemniej jednak swojego prawa, zdobytego długoletnią pracą dla szkoły rosyjskiej, nie wyrzeknie się nigdy”. A zatem, zdawałoby się, Polak, który zawsze dumnie obnosił się ze swoją polsnością. Jeśli zaś trzymał się z daleka od Polonii petersburskiej, to tylko dlatego, iż byli to nacjonałiści oraz partyjnicy.

Trudno dziś coś rozsądnego powiedzieć o profilu ideowym petersburskiej Polonii. Jeden to z zaniedbanych zakamarków dziejów porozbiorowych. Sądząc po ich organie prasowym, *Kraju*, można by raczej wnioskować, że było wśród nich dużo ugodowców. Ale nie dawno wydana książka Pipes'a pokazała, że wśród założycieli w Petersburgu partii bolszewików szczególnie czynną rolę obok Bułgarów odegrali i Polacy. Najprawdopodobniej można było wśród petersburskich Polaków spotkać ludzi bardzo różnych ideologii.

Pisząc o żalu „niektórych działaczy” polskich do Zielińskiego, Biernacki odsyła nas do szkicu Pigionia z roku 1949 „Tadeusza

Zielińskiego droga do Polski”. W szkicu tym Pigoń pisze o Zielińskim bardzo ciepło, ale w jego przedstawieniu stosunek petersburskiego Zielińskiego do polskości wygląda zupełnie inaczej:

„Studia odbywał w Rosji i Niemczech, wykładał w uniwersytecie petersburskim, pisał głównie po rosyjsku, niemiecku i po łacinie, z nauką polską przez długi czas związku nie utrzymywał. Przed tamtą wojną nic — poza jakąś drobną broszurą — po polsku nie ogłosił, a także w życiu Polonii petersburskiej (w przeciwieństwie do innego wielkiego uczonego, J. Baudoina de Courtenay, również profesora tegoż uniwersytetu) udziału bliższego nie brał. Z nieukrywaniem żalem mówił mi kiedyś o tym prof. J. Łoś, ongiś docent tegoż uniwersytetu”.

Łoś był moim profesorem. Raz opowiadał nam o Zielińskim. Spotykali się w petersburskiej bibliotece uniwersyteckiej. Kiedy nie było nikogo w pobliżu, rozmawiali po polsku. Gdy tylko jednak ktoś trzeci się zbliżał, Zieliński przechodził na język rosyjski. A więc w tych wczesnych latach, — Łoś przyszedł na katedrę do Krakowa w roku 1902, — krył się przed Rosjanami ze swoją polsnością. Łoś mówił o tym z — jakże zrozumiałą — goryczą.

Czy powrót Zielińskiego do polskości miał coś wspólnego z owymi rosyjskimi atakami na niego, o których wspominał Klinger, trudno dziś dochodzić. W latach wojennych pojawiają się po rosyjsku pierwsze jego szkice na tematy polskie, rzeczy o poezji Mickiewicza, wkrótce po wojnie ogłoszone i w polskim przekładzie. W latach wojennych też petersburska Akademia wybrała go na fotel, opróżniony po śmierci Sienkiewicza, a więc wybrała jako Polaka. Wybór ten Zieliński skwitował studium o Sienkiewiczu, ogłoszonym w petrogradzkim *Wiestniku Jewropy*, a potem kilkakrotnie przedrukowywanym po polsku pt. „Idea Polski w dziełach Sienkiewicza”. Sobiepańskość krytyki Zielińskiego znalazła tu szczególnie jaskrawy wyraz. Dowodzi on tam, że ideą przewodnią wszystkich utworów Sienkiewicza jest „idea Polski”. Czy i *Quo vadis*? Ależ tak. Uosobieniem Polski ma tam być Ligia, przywiązana na arenie do grzbietu germańskiego tura. I myliłby się, kto by sądził, że tytuł powieści odnosi się do znanego epizodu z życia św. Piotra. Przecież to w powieści „tylko nie duża, czysto epizodyczna scenka”. Sens tytułu tłumaczy się „ideą przewodnią” powieści: „Ligio-Polsko, dokąd idziesz?” W oryginale rosyjskim brzmi to szczególnie efektownie: „Ligija-ljaszka — kamo grjadiesz?” Są w tym studium złośliwości pod adresem Rosjan. W osobnym przypisku zwraca Zieliński uwagę, iż w *Potopie* wśród wrogów Polski wymieniona jest i Moskwa, ze względów cenzuralnych nazwana „Hyperborejczykami”. Gdzie indziej znów z racji *Wirów* pisze: „Żyjąc z konieczności pod jednym dachem państwowym z Rosjanami, naród polski doświadczył na sobie także ich wpływów; odbiło się to i na socjalizmie polskim — tak przynajmniej sądzi autor — uwydatniając jego charakter, charakter bezradosny”. Jako studium krytyczne praca ta jest trochę absurdalna, choć znajdzie się tam i strona zasadniczej a cennej krytyki potrakt-

wania w *Quo vadis* życia religijnego Rzymu za Nerona. Ale też Sienkiewicz był tam tylko pretekstem dla deklaracji ideowej jej autora. A jako dumne przyznanie się do polskości i pożegnanie z Rosją rzecz ta napisana jest z fantazją, której mógłby poza- Zdzielińskiemu nawet pan Zagłoba.

W latach petersburskich był Zieliński tak daleko od polskości, iż w znacznej mierze zapomniał ojczystego języka. Każdy, kto był obecny na choć jednym z jego wykładów, pamięta, iż mówił po polsku z silnym akcentem rosyjskim. Pierwsze jego książki wydane w Polsce to były przekłady z rosyjskiego. Hanna Mortkowicz-Olczakowa, córka wydawcy Zielińskiego, opowiada w swoich wspomnieniach, jakie kłopoty były z przygotowaniem do druku dwóch ostatnich tomów *Świata antycznego*, które Zieliński sam napisał po polsku i w których trzeba było „poprawić, przerabiać, miejscami po prostu tłumaczyć na język czytelny i prawidłowy nieporadny polsko-rosyjski volapük profesora”. Dwa ostatnie tomy *Świata antycznego* wyszły w latach 1937-38. A zatem Zieliński do końca życia nie nauczył się pisać po polsku.

Wszystko to, rzecz prosta, nie ma nic wspólnego ze sprawą reedycji Zielińskiego. Był wielkim panem nauki i popularyzatorem antyku o imponującym rozmachu oraz polocie. I te względy powinny decydować. Natomiast okoliczności, w jakich prace Zielińskiego ukazywały się po polsku, stawiają dzisiejszego wydawcę wobec problemu oczyszczenia tych przedruków z rusycyzmów. Jeśli np. czytamy w świeżo wydanym tomie: „instytut wysokich koźnierzyków lub płaskich kapeluszy damskich stanie przed waszymi oczyma na jednej linii z instytutem sądu przysięgłych lub powinności wojskowej, z instytutem małżeństwa i przyjaźni” (str. 94-95), to za groteskowy sens tego zdania odpowiedzialne są jego rusycyzmy. Po polsku mówi się w takim wypadku o „instytucji” i w Polsce stawia się te instytucje nie „na jednej linii”, ale solidniej „na jednej płaszczyźnie”. „Chleb” oznacza po rosyjsku także „zboże”, ale przecież nie podobna mówić po polsku o „zbiórce chleba” (str. 195) w znaczeniu żniw. Słowa znów Zielińskiego, iż wstępna praca filologa to „gromadzenie pomników” (str. 108), będą miały sens tylko dla tego, kto wie, iż po rosyjsku „pamiętnik” to zarówno „pomnik”, jak i „zabytek literacki”. Rażącymi ucho rusycyzmami są też takie zwroty jak „praca czarna” (str. 108), czy „butaforia” (str. 370, — po polsku mówi się „rekwiizyty”). Właśnie pietyzm dla autora nakazywałby oczyszczenie jego tekstów z takiej szpetoty. Nie zrobiono tego tutaj.

Popularyzację antyku uważał Zieliński za swoją misję życiową. Wiadomo, iż najlepszymi popularyzatorami są uczeni, twórczo pracujący w swojej dziedzinie nauki. Popularyzacja ich jest nie tylko autorytatywna, ale zazwyczaj odznacza się świeżością ujęcia, jest bardziej pobudzająca myślowo od twórców zawodowych popularyzatorów. Ale zwykle też uczeni, zajmujący się pracą badawczą, traktują popularyzację jako margines tylko swojej twórczości. Z Zielińskim rzecz miała się inaczej. Był on autorem oryginalnym prac badawczych nad dramatem greckim, Homerem,

łacińską prozą artystyczną, które zapewniły mu wysoką pozycję w nauce. Dość wcześnie jednak studia te przestały mu emocjonalnie wystarczać. Najwięcej satysfakcji sprawiało mu pisanie o antyku i o dziejach jego recepcji dla szerokiego ogółu. Tu w pełni się wżywał i te popularyzacyjne prace stanowią główny nurt jego twórczości.

Jako popularyzator antyku władał nie byle jakimi atutami. Horyzonty jego były imponująco rozległe. Nie tylko czuł się u siebie w domu w obu literaturach klasycznych, ale też był świetnie odczytany w ważniejszych literaturach europejskich. Odznaczał się dużą wrażliwością artystyczną, żywą wyobraźnią, świetnym darem kombinatorycznym. Umiał też, co szczególnie cenne w popularyzacji, podchodzić wprost do zasadniczych problemów z pominięciem parafernaliów i preliminarów.

Zdawałoby się, że trudno o lepszego przewodnika po antyku. Niestety, przewodnik ten nie wolny był także od drażniących dźwięków, manieryzmów, ślepoty na pewne dziedziny życia. Styl jego potrafi być czasem nastrojnie emocjonalny. Bywa i tak, że czytając go z nostalgią myśli się o przysłowiowym „suchym” filologu. Ze współczesnej mu literatury mało co przemawiało do niego. Dla kogoś, kto ma ambicję pośredniczenia między literaturami antycznymi a współczesnością, poważny to mankament. Czasem czytając go ma się wrażenie obcowania z człowiekiem, żyjącym w jakimś abstrakcyjnym, sobieswoim, niewspółczesnym świecie. Co najgorsza zaś, miał skłonność do lekkomyślnych, nieodpowiedzialnych uogólnień.

Czytelnikowi polskiemu najlepiej unaoczniają to przykłady na materiale z polskiej literatury, który jest mu znany. W roku 1916 Zieliński napisał rozprawkę *Melos w poezji Mickiewicza*. Punktem wyjścia jest tu znany Nietzscheański podział poezji na apollinijską i dionizyjską. Odpowiadają temu podziałowi, twierdzi Zieliński, dwa typy wyobraźni, wyobraźnia wzrokowa i dźwiękowa, *idos* i *melos*. Dlaczego odpowiadają, tego nie dowodzi. Zupełnie arbitralnie przyjmuje tę odpowiedniość za pewnik. Wyobraźnia wzrokowa znów, czytamy dalej, może przybrać dwie postaci, wyobraźni plastycznej, wrażliwości na świat trójwymiarowy, i chromatycznej, wrażliwości na kolory, światła i cienie. Melos w poezji idzie ręką w rękę z wyobraźnią chromatyczną. Dlaczego? Dlatego że „w kolorach tęczy zastygła harmonia siedmiostrunnej liry; słusznie czy też niesłusznie, stara teoria Pitagorasa mistycznemu uległa odnowieniu i wcieliła się w uznawaną przez wielu intuicji „barwnego słyszenia”. I oto „dowód” przeprowadzony.

Poezja Mickiewicza, twierdzi dalej Zieliński, była z natury swej meliczna. A zatem stwierdza on u autora *Pana Tadeusza* „dość wybitny rozwój chromatyzmu, nieznaczny plastyki”. Poeta będzie się gubił w stosunkach przestrzennych, wpadał w sprzeczności w ich przedstawieniu. Żeby tego dowiedzieć, Zieliński przywołuje na pierwszego świadka *Panią Twardowską* i przytacza słowa, z którymi Twardowski zwraca się do diabła:

*Patrz, oto jest karczny godło:
Koń malowany na płótnie,*

i wytacza proces Mickiewiczowi: diabeł, będąc w karczmie nie może widzieć jej godła, wywieszonego na zewnątrz. Pigoń w związku z tym właśnie artykułem zwrócił swego czasu uwagę na to, że w dawnych karczmach godło wywieszano wewnątrz, w izbach. Mniejsza o to. Przecież w *Pani Twardowskiej* mamy do czynienia z fantastyczną groteską, ze światem na opak, w którym wyjąwszy zgodne diabła z panią Twardowską nie ma miejsca na niemożliwość.

Drugi przykład zaczerpnięty jest z *Dziadów*. Guślarz kazał w oknach zawiesić całuny, w izbie jest ciemno, nawet poświęta księżycowa do niej nie wpada, a tymczasem:

*Wszelki duch! Jakaż potwora!
Widzicie w oknach upiora?*

„Jakim sposobem — pyta się Zieliński — zgromadzeni w kaplicy mogą widzieć upiora za oknem, skoro okno tak szczerlnie było zawieszane całunem, że nawet jasność księżyca nie mogła przeniknąć przez nie?” — Najwyraźniej sam nigdy upiora nie widział i nie wiedział, że duchy drwią sobie z praw optyki.

Itđ., itd. Można by tak strona za stroną przeanalizować całą rozprawkę. Da się z niej wyłowić jedno czy drugie odkrywcze spostrzeżenie. Ale na ogół jesteśmy tu w świecie nieodpowiedzialnego fantazjowania.

Tutaj jednak trzeba się od razu zastrzec. W studiach nad literaturą polską był Zieliński oczywistym dyletantem. Filologia klasyczna jest dyscypliną, która w ciągu wieków wypracowała sobie ścisłe rygory naukowe. Zieliński w niej terminował i jego fachowość, znajomość literatury przedmiotu musiała działać jako system mocnych hamulców dla takiej nieodpowiedzialności pióra. Tym niemniej, jako przykład pewnych tendencji, tkwiących w pisarzu, te studia polonistyczne są znamienne. I prawdopodobnie dla tych to tendencji Zieliński chętniej się wypowiadał w swobodniejszej formie eseju, w którym rygory naukowe nie obowiązywały.

Jako popularyzator antyku najpełniej wypowiedział się w języku rosyjskim. Nie tylko dlatego, że na działalność w tym języku przypada jego wiek męski. Także i dlatego, że pisząc po rosyjsku, pisał w języku, którym w pełni władał. Był przecież także i tłumaczem pisarzy klasycznych na język rosyjski. Największym jego tu osiągnięciem był przekład Sofoklesa. Znakomity krytyk rosyjski, Korniej Czukowski, w jednym ze swoich młodzieńczych szkiców wyraził się o przekładzie tym pogardliwie. Ale młody Czukowski był ikonoklastą, który z upodobaniem chlastał uznane autorytety. Znam Rosjan, którzy są wysokiego zdania o tym przekładzie.

Jako inspirator i tłumacz poetów klasycznych w jakiś sposób

należał do symbolizmu rosyjskiego. Przyjaźnił się z Annenskim, pisał o nim, tak jak i o Wiaczesławie Iwanowie. Do opracowania jest temat jego roli w symbolizmie rosyjskim. I zdaje się, że to temat wdzięczny. W roku 1906 Zieliński ogłosił szkic o micie o Laodamii, *Antyczna Lienora*. W tymże roku pojawił się dramat Annenskigo o Laodamii. Napisany on został wcześniej, ale skoro Annenskigo, także filologa z zawodu, łączyły z Zielińskim wcale bliskie stosunki, wzajemne wpływy są tu bardzo możliwe. W roku 1907 pojawia się nowy rosyjski dramat o Laodamii, *Dar mądrych pszczoł* Fiodora Sołoguba, a w roku 1913 Walerij Briusow ogłasza tragedię *Umarły Protezilaus*. O ile wiem, nikt dotychczas nie zajął się stosunkiem tych trzech dramatów do studium Zielińskiego.

Swoje arcydzieło napisał jednak Zieliński nie po rosyjsku, ale po niemiecku. Jest to książka o roli Cycerona w kulturze europejskiej, *Cicero im Wandel der Jahrhunderte*. W roku 1895, dla uczczenia dwóchtyśdziesiątej rocznicy urodzin, ogłosił on odczyt o Cyceronie w Uniwersytecie Petersburskim. Odczyt ów, przerobiony nieco ukazał się w roku następnym jako artykuł w jednym z rosyjskich miesięczników. Ale Zieliński pracy nad tym tematem ową publikacją bynajmniej nie zakończył i w roku 1897 doszło do ogłoszenia sporej książki niemieckiej. Najlepiej to znana w świecie z wszystkich prac Zielińskiego. Ostatnie jej wydanie, piąte, ogłosił Teubner w roku 1967. Wyzyskują tę książkę i powołują się na nią dwie dzisiaj magistralne prace angielskie o dziedzictwie antyku, R. R. Bolgara *The Classical Heritage and Its Beneficiaries* oraz Gilberta Higheta *The Classical Tradition*.

Książka ta narodziła się na styku obu tradycji pisarstwa Zielińskiego, tej specjalistycznej i tej popularyzacyjnej. Przystępując do opracowania tematu Zieliński niemal że nie miał poprzedników. Przeorał się przez olbrzymi materiał. Tekst jej zamykają obszerne i uczone „uwagi i ekskursy”. Ale sam ten tekst bynajmniej nie jest zaadresowany do czytelnika specjalisty. Przeciwnie, jest on ujęty tak, iż z fascynacją przeczyta go każdy inteligent o zainteresowaniach historycznych. Zieliński bowiem nie bawi się tu w mikrofilologię, ustalanie zależności tekstowych. Interesuje go rola Cycerona jako nosiciela żywych treści ideowych: pewnej ideologii politycznej, pewnej zdroworoządkowej filozofii oraz stosunku do wierzeń religijnych, nacechowanego wyrozumiałym sceptycyzmem. Pierwsze jej rozdziały to zwięzła monografia Cycerona, w następnych stara się autor odpowiedzieć na pytanie, co znaczył Cicerone dla kultury europejskiej od Ojców Kościoła aż po ideologów rewolucji francuskiej. Wykład jest żywy i cały czas znajdujemy się w sferze spraw o dużej doniosłości dla dziejów kultury europejskiej. Nie ma dwóch zdań, wielkiej to klasy książka.

Po powrocie Zielińskiego do kraju zaczęto akcję systematycznego przekładania jego studiów i książek, mających na oku czytelnika nie specjalistę. Przełożono nawet tak wielką machinę jak monografię o Sofoklesie. A tej książki nie przetłumaczono, mimo

że Zieliński był do niej szczególnie przywiązany i że zajmuje ona w jego dorobku centralne miejsce. Zdaje się, że nie trudno odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się stało. Jest to bowiem książka, która dowodnie świadczy, ba, aż krzyczy o owoczesnym odwróceniu się Zielińskiego od polskości. Mniejsza już o to, że nie odnotowano tam nigdzie tak znakomitego osiągnięcia renesansowej filologii polskiej, jak wydanych w Wenecji roku 1561 czterech tomów *Fragmentów Cycerona* w opracowaniu Andrzeja Patrycego Nideckiego. Jak już o tym była mowa, Zieliński nie pojął swej książki jako studium z dziejów filologii klasycznej. Ale jeśli było w Europie nowożytnej społeczeństwo, które uważało się za dziedzica ideologii politycznej Cycerona, które tego Cycerona otaczało kultem i stało się na niego powoływało, była to polska demokracja szlachecka. Otóż tego społeczeństwa Zieliński, który skoncentrował swą uwagę wyłącznie na „wielkich” cywilizacjach zachodniej Europy, w książce swej nie raczył zauważyć. Nie dziwota zatem, że nie spieszo mu było do jej polskiego przekładu.

Obecnie w tomie *Po co Homer?* po raz pierwszy udostępniono czytelnikowi polskiemu zaczątkową wersję rosyjską tej książki, tę z roku 1896. Wita się ten przekład z mieszanymi uczuciami. W braku laku dobry i opłatek. Ale można się obawiać, że dostępność po polsku tego studium znacznie zmniejsza szanse pojawienia się polskiego przekładu *Cycerona w kolei wieków*, najznakomitszej książki Zielińskiego.

Tom *Po co Homer?* to *mixtum compositum*. Na czoło wysunięto w nim popularny cykl wykładów *Świat antyczny a my*. Najlepiej to znana praca Zielińskiego, przetłumaczona na ileś tam języków i tylko co znowu wydana w Ameryce w przedruku fotograficznym. Ze wszystkich studiów tomu to najbardziej się zestarało. Z wielu przyczyn. Pierwsze wykłady cyklu w znacznej mierze traktują o sprawach językowych. Otóż Zieliński nie miał pojęcia o językoznawstwie i jego wywody językoznawcze są dla każdego, kto się choć trochę w tych sprawach rozeznaje, żenującą lekturą. Co więcej, wykłady te mają charakter polemiczny. Są one skierowane przeciwko tym entuzjastom nauk ścisłych z początku wieku, którzy uważali szkołę klasyczną za anachroniczny luksus. Zieliński postanowił pobić ich własną bronią, chętnie więc szafuje argumentami natury psychologicznej i biologicznej stempla przełomu wieku, operuje więc argumentami, które dawno złożone zostały do lamusa historii nauki. Ale jest to też praca napisana z dużym rozmachem, żarem przekonania i jako manifest ideowy znakomitego apostoła antyku zasługiwała chyba na przypomnienie po prostu jako dokument historyczny.

Obok rzeczy o recepcji Cycerona najcenniejszą pozycją tomu jest *Antyk Nietzschego*. Zieliński za młodu dał się porwać Nietzsche. Echami tego entuzjazmu będą pewne elementy biologicznej koncepcji kultury, pojawiające się w jego pismach. A chyba i rapsodyczny styl Nietzschego nie pozostał bez wpływu na jego sztukę pisarską. To urzeczenie Nietzsche przyszło opła-

cić Zielińskiemu złymi stosunkami z większością przedstawicieli oficjalnej niemieckiej filologii klasycznej, którzy pod wodzą Wilamowitza uważali Nietzschego, badacza antyku, za szkodliwego i nieodpowiedzialnego dytanta². *Antyk Nietzschego* napisany jest już z pozycji pewnego dystansu. Ale napisany jest przez człowieka, który z pismami Nietzschego był świetnie zżyty i miał dla nich pełne sympatii zrozumienie.

Dwie zamieszczone tu prace, *Proza artystyczna i jej losy* oraz *Piosenka robocza*, to popularyzacja wyników badań dwóch sławnych dzieł niemieckich, *Die antike Kunstprosa* Eduarda Nordena oraz *Arbeit und Rhythmus* Karla Büchera. Ale jakżeż to świetnie zrobiona popularyzacja, *con amore, con fuoco e con brio*.

Znajdujemy wreszcie w książce obok drobiazgów i prac z historii motywów, dziedziny którą szczególnie lubił, jedno po części polonicum, studium *Mania twórcza*. Stara się tam Zieliński znaleźć kontekst psychologiczny dla eksplozji Improwizacji Konrada. Ów kontekst to z jednej strony Dostojewskij i Nietzsche, a z drugiej — Mahomet i Lukrecjusz. Czytelnik jest tu olśniony szerokimi horyzontami autora, polotem jego wyobraźni, rozmachem jego wywodów. Czy i przekonany, to rzecz inna. Po olśnieniu przychodzi refleksja, iż pomieszano tu materię z różnych porządków: fikcji literackiej, biografii, legendy. Ale też i samo pisarstwo Zielińskiego to dziedzina, w której często zaciera się granica między światem fikcji literackiej a światem studium naukowego. W tym jego urok i jego słabość.

Wiktor WEINTRAUB

2. Werner Jaeger opowiadał mi raz, jak starał się pogodzić Zielińskiego z Wilamowitzem. Było to we wczesnych latach dwudziestych. Zieliński miał przyjechać do Berlina z odczytem. Jaeger postanowił zabawić się w dyplomację i udał się do Wilamowitza ze — zmyśloną — informacją, jakoby Zieliński w liście wyraził chęć złożenia Wilamowitzowi wizyty. Wilamowitz oświadczył na to, iż nie jest dzikusiem i że Zielińskiego u siebie przyjmie. Po tej odpowiedzi Jaeger napisał list do Zielińskiego, zapraszając go w imieniu Wilamowitza. I tak doszło do spotkania dwóch skłóconych koryfeuszów filologii klasycznej. Warto dodać, że Wilamowitz miał powiązania polskie. Rodzina jego wywodziła się z Kujaw, on sam podpisał się na rozprawie doktorskiej jako „Cujavianus” i w swoich wspomnieniach z sentymentem pisze o rodzinnych Kujawach.

Ignorancja czy niechlujstwo ?

W *Kulturze* warszawskiej z dn. 11 lipca br. ukazał się artykuł Stefana Lichańskiego pt. „Jan Karczewski — nieznan”. Lichański we wstępie pisze:

„Jan Karczewski — nazwisko to widnieje na okładkach czterech książek... Kiedy — przed wojną jeszcze — przeczytawszy 'Bakcyła' starałem się osiągnąć języka o autorze, dowiedziałem się tyle, że Jan Karczewski to prawdopodobnie pseudonim. Czy pseudonim? Nie wiem tego do dzisiaj. Trudno, ostatecznie jednak ważne jest nie kto pisał, ale co napisał. Zostawmy więc w spokoju autora, sięgnijmy po książki”.

Nie odpowiada to prawdzie. J. Karczewski był postacią bardzo znaną w warszawskich kołach politycznych i dziennikarskich m.in. dzięki dużej odwadze cywilnej i niezależności poglądów. Jego — niestety szczupła — twórczość warta jest przypomnienia. Podajemy jego życiorys:

Urodził się w Warszawie 28 sierpnia 1900 roku, tu też ukończył szkołę średnią. — Od 1916 roku należał do P.O.W., następnie wstąpił do Legionów — po ukończeniu Podchorążówki, brał udział w Powstaniu Śląskim oraz w Kampanii 1920 roku. Ciężko ranny, dostał się do niewoli, gdzie przeszedł tyfus plamisty, w rezultacie którego rozwinęła się stała wada serca. Uwolniony z niewoli zdecydował się pozostać na stałe w wojsku.

Od roku 1923 do 1925 był przydzielony do Polskiego Komisariatu Generalnego w Gdańsku. Od 1925 do 1928 pracował w Sztacie Generalnym w Warszawie, potem w Biurze Prasowym Rady Ministrów.

W 1931 roku przeniesiony do Min. Spraw Zagranicznych, został mianowany Konsulem R.P. w Tuluzie. Powrócił do kraju w 1933 roku. Od 1934 do 1939 roku pracował w Dyrekcji Lasów Państwowych jako kierownik działu reklamy zagranicznej (np. organizował dział polskiego eksportu drzewa na światowej wystawie w Nowym Jorku 1939).

Zmobilizowany w czerwcu 1939 roku w stopniu kapitana walczył w obronie Warszawy, po kapitulacji przedostał się przez Karpaty na Węgry, następnie do Francji, gdzie na południu, w znanym sobie terenie, organizował ruch oporu wśród polskiej emigracji. Po kapitulacji Francji przedostał się z polskimi oddziałami do Anglii.

Od roku 1941 do 1947 był w Wojsku Polskim w Szkocji gdzie jako oficer oświatowy, współpracował z szeregiem pism wychodzących ówczesnie na terenie Wielkiej Brytanii. Ostatnie lata życia poświęcił studiom nad propagandą jako środkiem wychowania społecznego. Zmarł nagle na serce 30 marca 1947 roku, w Edyngburgu.

Pierwsza jego książka pt. „Bakcyl”, drukowana w Bibliotece Groszowej, ukazała się około 1925 roku. Następnie powstały powieści: „Rok przestępny”, „Nie mogę pisać” i napisana wspólnie z J. Popławskim — „Oskarżam”. Szereg artykułów polemicznych umieszczał w warszawskiej prasie m.in. w *Buncie Młodych* i *Polityce*.

Odnaczony był Krzyżem Walecznych, Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Powstańców Śląskich, Złotym Krzyżem Zasługi, Węgierskim Złotym Krzyżem Zasługi i in.

Komunikaty

AUSTRALIA W 500-LETNIĄ ROCZNICĘ URODZIN
MIKOŁAJA KOPERNIKA

Koło Techników Polskich w Melbourne (Victoria) Australia powzięło decyzję urzuczenia 17 lutego 1973 roku uroczystego obchodu, celem uczcze-

nia 500-letniej rocznicy Mikołaja Kopernika. Zadaniem tej manifestacji będzie podkreślenie udziału nauki polskiej w kulturze i cywilizacji świata; na terenie kraju osiedlenia uroczystość ta wykaże wkład emigracji polskiej do rozwoju Australii.

KOMUNIKAT POLSKIEGO OŚRODKA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO W LONDYNIE

Pragniemy poinformować, że w ostatnich kilku latach zostały załatwione wszystkie sprawy formalno prawne i techniczne, konieczne do podjęcia właściwych prac budowlanych. Nabyty teren i nieruchomości kosztowały £.110.000. Wartość ich znacznie wzrosła do chwili obecnej. Prace konstrukcyjne będą na nim rozpoczęte w październiku 1971 roku. Obliczamy, że całkowity koszt budowy powinien zamknąć się w granicach £.500.000 / £.600.000. Im dłużej budowa będzie trwała tym większe będą koszty na skutek ogólnego wzrostu cen. Koszt robót na rok bieżący wynosić będzie około £.80.000, które POSK pokryje częściowo z własnych funduszy a resztę kredytem bankowym.

Wszystko wskazuje na to, że budowę należy prowadzić jak najszybciej i jak najmniej korzystać z kosztownych kredytów. A trzeba pamiętać, że w 1976 roku wygasają dzierżawy obiektów, w których pomieszczenie mają biblioteki, szereg innych organizacji kulturalnych i naukowych oraz instytucji społecznych. Trzeba znaleźć inne źródła dopływu gotówki. Dlatego Rada POSK'u postanowiła zwrócić się do społeczeństwa polskiego w wolnym świecie o specjalną pomoc finansową.

Apel zmierza do uzyskania ofiar w sumie £.50.000 rocznie przez okres następnych 5-ciu lat. Sumę taką, sądzimy, można by uzyskać przez akcję zjednywania osób, instytucji, organizacji i przedsiębiorstw, które by zdecydowały się wpłacać £.50 rocznie przez okres następnych 5 lat. Jeśli potrafimy zjednać dla tej idei tysiąc osób i instytucji, to uzyskamy przez okres 5-ciu lat £.250.000. Jeśli chodzi o osoby prywatne, to będzie to zaledwie £.1 tygodniowo. Po wpłaceniu 5-ciu rat nazwisko Fundatora umieszczone zostanie na specjalnej pamiątkowej tablicy w gmachu POSK'u. Ofiarodawca może zadeklarować pomoc przez zgłoszenie dowolnej ilości wpłat dwustupięćdziesięcio-funtowych, płatnych jednorazowo lub w ciągu 5 lat.

Zwracamy się przeto z gorącym apelem o zadeklarowanie pomocy wedle swych możliwości i wyrażenie zgody na umieszczenie swego nazwiska jako Fundatora gmachu POSK'u.

POLISH SOCIAL AND CULTURAL ASSOCIATION LTD.
9 PRINCES GARDENS, LONDON, S.W.7. Tel.: 01-584 2363

Książki

Przedsięwzięcie piśmiennicze

Książkę p. Anne-Marie Lasockiej o Simone de Beauvoir* poprzedza motto z Montaigne'a: „Oto księga dobrej wiary, czytelniku!”. Słowa te odnoszą się do przedmiotu studium, tzn. samej Simone de Beauvoir i jej „przedsięwzięcia piśmienniczego” — jak można by od biedy przełożyć podtytuł: *l'entreprise d'écrire*. Poniższe uwagi są również pisane w dobrej wierze, choć wiara ta odnosi się raczej do obowiązków recenzenta, nie do nazwisk i tytułów aktualnej nomenklatury literackiej.

Lojalność jest zaletą egzegetów, zaś wadą krytyków. Książka p. Lasockiej ma zarówno zalety jak i wady lojalności. Jest pożytecznym przewodnikiem po rozległych obszarach beauvarianizmu, bo zwalnia od trudu zwiedzania na piechotę przedsięwzięcia, które w oryginale — jak na oko oceniam — dobrze przerasta rozmiarami Pismo Święte; nie daje zaś — poza cichutkim westchnieniem: „... *longeur est parfois oppressive*” (str. 91) odpowiedzi na pytanie, w jakim stosunku pozostaje ów rozmiar do — powiedzmy — wagi komentowanego dzieła. A jest to zagadnienie istotne.

Pisanie zawsze zawiera w sobie element arogancji, stanowi bowiem zapowiedź czegoś niezwykłego. Jeśli zapowiedź się spełni, arogancja okazuje się uzasadnioną mobilizacją sił i uwagi; jeśli się nie spełni — pozostaje arogancją. Osobiście uważam, że w wypadku Simone de Beauvoir mamy do czynienia z niespełnieniem zapowiedzi. Szczegółowe uzasadnienie tego twierdzenia wymagałoby napisania jeszcze jednej książki o tej autorce, powiększając tym paradoks humanistyki, polegający na tym, że komentarze do „obiektów humanistycznych” same są „objektami humanistycznymi”, poręczającymi następne komentarze itd., czyli ilość zadrukowanego papieru rośnie w postępie geometrycznym, rozpuszczając każdy problem w słowach, słowach, słowach. Poprzestanę

* Anne-Marie Lasocki, *Simone de Beauvoir ou l'entreprise d'écrire*. Essai de commentaire par les textes. Martinus Nijhoff — La Haye 1971; VII et 208 pages.

tu więc na metodzie ks. Benedykta Chmielowskiego, który w swych „Nowych Atenach” słusznie zauważa: „koń jaki jest, każdy widzi”.

Dzieło Simone de Beauvoir składa się z pewnej ilości powieści, esejów i utworów autobiograficzno-autokomentatorskich, traktujących o sprawach i sytuacjach, otaczających zamożną i ustosunkowaną panią, nieodmiennie „in” w paryskim świecie literackim. Sprawy te i sytuacje zaopatrzone są w refleksje na temat miłości, polityki, życia, śmierci, starości, sytuacji kobiety i człowieka w ogóle — i refleksje te odpowiadają najzupełniej temu, czego się w danym układzie oczekuje. Zawierają pewien — nieuchronny — nonkonformizm, pewien — nieuchronny — ekshibicjonizm, oraz pewne — nieuchronne — truizmy. Miłość winna być wolna od więzów konwensu, za to oparta na prawdziwym uczuciu; życie ma tylko taki sens, jaki mu się samemu nada; jest tragiczne, ponieważ prowadzi ku śmierci; o jego wartości stanowi wolność, która dzieli się na wewnętrzną i zewnętrzną; ta ostatnia jest niestety nie każdemu dostępna, za to wewnętrzną można i należy sobie wypracować; jedną z metod jest zaangażowanie w jakąś sprawę, co właśnie nadaje sens życiu, które jest niepowtarzalne; każdy jest sam, ale może „transcendować”, czyli podzielić się z innymi swą niepowtarzalnością, np. pisząc książki, co może stać się głównym zadaniem życiowym, a zarazem formą zaangażowania, bo w ten sposób można przyczynić się do poprawy świata, w którym niestety dużo jest egoizmu, obojętności i niezrozumienia innych, itd., itp. — streszczam pobieżnie, lecz wydaje mi się, że wiernie. Każdy, komu dane było natknąć się na jakims przyjęciu na inteligentną, wrażliwą i pełną życzliwości dla bliźnich *en gros* damę i odbyć z nią szczerą i poważną rozmowę, wie o co chodzi. Dłuższe przebywanie w takiej atmosferze — a rozmiar tekstów, w których myśli te są zawarte gwarantuje „dłuższe przebywanie” — może poniektórego rozmówcę wprawić w przekonanie, że odbywa się tu coś ważnego, sąd nad światem i zgłębianie otchłani. Zwłaszcza, że to nie wszystko:

„Dlaczego pragnę mówić o jednych rzeczach, o innych zaś — milczę? Ponieważ są one zbyt cenne (zbyt święte może) dla literatury. Jak gdyby jedynie śmierć, jedynie zapomnienie były na wysokości pewnych przejawów istnienia...” (*Force des choses*, str. 7).

W zdaniach tych mieści się to, co wydaje się symptomatyczne dla całości „przedsięwzięcia”: patos i nastrój wtajemniczenia. Patos albo jest usprawiedliwiony powagą rzeczy, o których mowa, albo śmieszny. W wypadku rzeczy niewypowiedzianych (za świętych) patosu zweryfikować nie można. Należy wierzyć na słowo. Powstaje atmosfera misterium, czyli podział na wtajemniczonych i niewtajemniczonych, kapłanów i katechumenów, nauczycieli i uczniów. Duch Pimki zaczyna unosić się nad tymi wodami.

Następny logiczny krok stanowi teologia: wobec czego pisanie staje się Pisaniem, wolność — Wolnością, a istnienie — Istnieniem. Duże litery — stosowniejsze w niemieckim — zostają z powodzeniem zastąpione zwrotami w rodzaju *l'homme fait pour être, le*

phénomène d'écriture oraz *libérer la liberté*. Za wszystkim tym stoi autorytet odpowiedniego Prądu Umysłowego (w danym wypadku egzystencjalizmu), mistrzowskie użycie subjunktywów oraz czar Paryża. „Przedsięwzięcie” się rozrasta, rzecz wchodzi do Literatury, a uczniowie chłoną w zachwyceniu.

Wszystko staje się jadalne: i teza, że markiz de Sade „wykazując, jak nie do pogodzenia są interesy tyrana i niewolnika, przeczują walkę klas” (*Faut-il brûler Sade?*, str. 8), i — na serio zaserwowana — kwestia pozytywnego bohatera „Mandarynów”:

„jeden problem to wiedzieć, czy występując przeciw łagrom [stalinowskim] pracuje się dla ludzi czy przeciw nim... rozważania moralne mnie nie interesują. Obchodzą mnie konsekwencje mych czynów, nie wygląd, jaki mi nadają... nie chcę rozpętywać kampanii antysowieckiej, zwłaszcza w tej chwili: uważałbym to za zbrodnię”;

a także wynurzenia autorki, że „Mandaryni” (a) nie są powieścią autobiograficzną, (b) że nie chodziło wcale o Camusa (nb. szkic Czesława Miłosza na ten temat pt. „*Uwagi o środowisku zamkniętym*” nie figuruje w obszernej bibliografii p. Lasockiej), (c) że nie jest to w ogóle powieść z kluczem, a jedynie „*obrazy czytelne i zamazane zarazem, wyraźne lecz nieuchwytnie*”, przy pomocy których autorka zamierzała „*opowiedzieć pewną współczesną historię, gdzie czytelnicy odnaleźliby swe troski i swe problemy. Nie dowodzić ani nawoływać, a świadczyć...*” (*Force des choses*, str. 289).

Nie chodzi mi tu o sprawy szczegółowe — np. „zaangażowanie” w obronę francuskich stalinistów *illo tempore* — lecz o poziom tych wtajemniczeń i bojów o różne wzniosłe sprawy. Intelktualiści są niewątpliwie uprawnieni do „poruszania palących problemów” — tak jak i pozostali obywatele danego kraju — lecz w ich wypadku chodzi właśnie o to, żeby to poruszanie miało możliwie dużo do czynienia z intelektem. Niestety bardzo często — i wliczam tu większość współczesnych „kontestatorów” — program tych akcji i „przedsięwzięć” żywo przypomina owego prowincjonalnego pastora z powieści Bruce Marshall'a, który wpadł na pomysł, że należałoby zreformować świat w duchu ogólnoludzkiej sympatii i wszechstronnego zrozumienia. Pastor się przynajmniej dziwił, że nikt przed nim na to nie wpadł.

Uwagi te nie mają na celu „walki” z Simone de Beauvoir, tylko kwestię proporcji (mocim panie!). Jeśli pastor się dziwił, to Simone de Beauvoir też powinna się dziwić, a jeśli się nie dziwi, to rzecz dzieje się w rejonach innych, niż literatura przez duże L. W ogóle ktoś powinien się tu dziwić, szczególnie wobec fragmentów, które w pracy p. Lasockiej ilustrują zagadnienie, nazwane przez nią *l'art et le métier*:

„Gdy się budzę, jakiś niepokój czy apetyt zmusza mnie do chwycenia natchmiast za pióro...” (*Force des choses*, str. 294).

„Często zdarza się, że przed zaśnięciem lub gdy leżę nie śpiąc, przesywa mnie jakaś fraza i wstaję, żeby ją zapisać...” (*ibid.*, str. 295).

„Gdy czuję się przygotowana, piszę trzysta, czterysta stron pod rząd...” (*ibid.*, str. 293).

Wobec tej obfitości nieubłaganie nasuwa się (marksistowski!) problem stosunku ilości do jakości. I problem ten jest rzeczą komentatorów — czyli tak czy inaczej: krytyków — tej twórczości. I w tym miejscu kwestionuję rolę „dobrej wiary” w książce p. Lasockiej, która sprawia chwilami wrażenie pisanej nie przy biurku, a na stołeczku u stóp Przedsiębiorczyni. A przecież krytyka spełnia wobec książek (i ich autorów) podobną funkcję, co wota wobec świętych obrazów: lśniące i w dużej ilości powiększają aurę świętości. Co niekiedy prowadzi do przesadnego kultu nieskutecznych świętych. Czyli naruszona zostaje proporcja. Czyli dobra wiara zamienia się w łatwowierność.

M. BRŃSKI

Kronika życia i twórczości Mickiewicza

Od 1955 roku Mickiewiczowskiego wznosi się w Polsce cegiełka po cegiełce, wielkie dzieło, publikacja na dziś, jutro i pojutrze, obraz żywota i prac Mickiewicza złożony z zapisów biegnących od kolebki do grobu, dzień po dniu, możliwie ciągłych — rok po roku.

Zamierzeniem trzech autorek *Kroniki* jest posługiwanie się relacjami z pierwszej ręki. Niezliczone opracowania oparte na legendach, pogłoskach zdawkowych, tradycjonalistycznych sądach, są tu pominięte.

Źródła narastają co roku, dotrzeć do nich, sięgnąć do archiwów rozrzuconych po świecie, w ogromnej większości poza granicami Polski, nieraz do dziś dnia zastrzeżonych jest trudno, często niemożliwe, w dzisiejszych warunkach, ale mimo tych trudności dzieło rośnie.

Praca niniejsza treścią i rozmiarem należy w Polsce do pionierskich. Julian Krzyżanowski podjął przed laty podobną „Kronikę życia i twórczości Henryka Sienkiewicza” (Warszawa 1954, PIW), zawartą w 1 tomie, w tych samych latach J. J. Lipski wydał podobną Kronikę G. Zapolskiej, rodzaj syntezy biografii (1953), Jadwiga Czachowska monografię bio-bibliograficzną o teźże, każda z tych prac o innym charakterze, innego jeszcze typu jest „Mała kronika życia i twórczości C. Norwida” J. W. Gomułickiego (1966).

Kronika Mickiewiczowska obejmie 9 a może 10 tomów dużej

ósemki, bogato ilustrowanych, każdy w objętości od 500 do 700 stron z całym aparatem pomocniczym, aneksami, indeksami, bibliografią etc. Na razie ukazały się 4 tomy, dalsze w przygotowaniu. W literaturze francuskiej nie ma tego rodzaju opracowań. Wzorem którym autorki niniejszej *Kroniki* mogły się posługiwać to dzieła rosyjskie dotyczące Puszkina, Praca W. Weresajewa (1926), N. O. Lerner (1903) i najobszerniejsza N. Ciawłowskiego („Lietopis żizni i twórczestwa A. S. Puszkina”, 1951 r.).

Zasadą tego rodzaju kroniki jest dostarczenie materiału podstawowego z wyłączeniem wniosków, sądów i opinii dotyczących życia i prac danego twórcy. Może z tego względu kalendaria typu omawianej tu *Kroniki* powstały najpierw w Rosji Sowieckiej, a następnie w Polsce — jako prace informacyjne na dzień dzisiejszy, dzień przemilczeń, a dla krytyków i biografów jutrzejszych — skarbnica źródeł i przekazów sprawdzalnych. Autorki *Kroniki* Mickiewiczowskiej poszły dalej od rosyjskich kronikarzy, kreśląc tło zdarzeń i wypadków pod względem historycznym, obyczajowym, politycznym, przytaczając opinie współczesnych, relacje prasowe, korespondencje, pamiętniki. „Dzieło, które rozpoczynamy — pisze prof. Pigoń w przedmowie do 1-go tomu *Kroniki*, to nie efemeryda [...]. To *corpus biograficum* fundamentalne, to podręczny przewodnik, to niezastąpiony towarzysz pracy, bez którego nie obejdzie się w przyszłości żaden naukowy badacz twórczości Mickiewicza”.

Kunstowna to tkanina, snuta przez trzy wytrwałe tkaczki, cierpliwe i czujne na wartość i autentyczność każdej nitki.

Cztery już wydane tomy nie mają ciągłości chronologicznej, ukazują się zależnie od skompletowania materiału do danej epoki i do jej zredagowania.

1-szy tom obejmuje okres od 1798 do 1824 r., czyli do opuszczenia przez poetę kraju rodzinnego, okres dzieciństwa, młodości i studiów, pierwszych miłości, pierwszych wydawnictw, włącznie z procesem Filomatów, okres prób i doświadczeń młodzieńczych, w których dojrzał jako człowiek i poeta.

Szczególnie cenne w tym tomie są szczegółowe dane dotyczące programów naukowych nowogródzkiej szkoły dominikańskiej oraz kowieńskiej szkoły powiatowej, programów ustalonych przez Komisję Edukacyjną. Poza zwykłymi przedmiotami wykładano w szkole w Nowogródku *ekonomikę polityczną* oraz *naukę moralności*, coś jak etykę świecką. Podręcznik Stroynowskiego przepojony kultem pracy, ideologią wolności politycznej i społecznej przygotowywał ucznia do życia obywatelskiego i do zrozumienia jego problemów. W dwadzieścia z górą lat po włączeniu tych ziem do Cesarstwa! W klasie VI (piętnastolatki) zaznajamiano uczniów z zagadnieniami wymowy sejmowej i sądowej, z poetyką polską i łacińską, z historią literatury ojczystej. Czytano m.in. Krasickiego, Karpińskiego, Wybickiego, z łaciny tłumaczono Cicerona, Wergiliusza, Horacjusza.

Jako nauczyciel kowieński wykładał Mickiewicz historię literatury i prawa, i mimo — jak wyznawał — uciążliwej niesubordy-

nacji i tępoty uczniów, zadowolnił w pełni wizytatora szkół gub. wileńskiej Budziłowicza, który sądził o zdolnościach Mickiewicza nauczyciela z rozmowy z nim oraz ze śmiałości i rzeczowych odpowiedzi ucni. Zważyć przytem należy, że nauczyciel kowieński liczył wówczas 21 lat.

Tło obyczajowe, z którego wyrósł poeta, ilustruje *Kronika* kilku dokumentami odnalezionymi przez E. Łopacińskiego w wileńskich archiwach sądowych, mianowicie relacjami woźnych nowogródzkich o bójkach i „rozbójstwie” Mik. Mickiewicza, ojca poety, który był ciężko pobity prowadząc sprawę rozwodową Józefostwa Daneyków, ale w innych okolicznościach sam bijał tego. (Niecytowany w *Kronice* epizod — podany w „Szkicach Mickiewiczowskich” M. Czapskiej).

Oba wypadki malują ponury obraz obyczajowości szlacheckiej XVIII wieku. Takich i podobnych bójek na pięści, butelki i noże musiał sę Mickiewicz napatrzeć dzieckiem i młodzieńcem, stąd ostatnie sceny V-tej księgi *Pana Tadeusza*: Kłótnia.

(„Sztuka rzucania nożów, straszna w ręcznej bitwie
Już była zaniehbana podówczas na Litwie,
Znajoma tylko starym; Klucznik jej próbował
Nieraz w zwadach karczemnych. Wojski w niej celował”).

Dużo uwagi poświęcili biografowie Mickiewicza 1812 rokowi, zwłaszcza w ustaleniu daty nabożeństwa w Soplicowie „w uroczysty dzień Najświętszej Panny Kwietnej”.

Sprawę tę wyjaśnił bezbłędnie Witold Kozłowski w szkicu drukowanym w zbiorowej pracy pt. „Adam Mickiewicz. Księga w stulecie zgonu” (Wyd. Londyn).

Mickiewicz się pomylił. Matka Boska Zielna (święto M.B. Kwietnej nie istnieje) przypada na 15 sierpnia, a na 9 lipca 1812 roku, data nabożeństwa w Soplicowie wypadła oktawa Bożego Ciała, w którym to dniu, jak i na dzień Bożego Ciała święcono ziola i wianki zawieszane na ołtarzach. Panie Kalendarzki nie mogły znać szkicu Kozłowskiego jako że *Księga* londyńska wyszła omal jednocześnie z 1-szym tomem *Kroniki*, ale nie wykorzystały też cennego materiału opisowego zawartego w pracy Albert'a du Casse'a¹ cytowanej przez W. Kozłowskiego.

U du Casse'a podane są daty przemarszu wojsk napoleońskich, oraz opis gwałtownej burzy i ciężkich strat stąd wynikłych w ludziach, koniach i sprzęcie wojennym, burzy która znalazła odbicie w X-tej księdze *Pana Tadeusza* jako zakończenie ostatniego zajazdu na Litwie. O tym wypadku i jego poetyckiej analogii głucho w *Kronice*.

Podając relację Michelet'a (lekcje z 23. XII. 1847 r.) oparte na wspomnieniach Mickiewicza o odwrocie W. Armii Kronikarki

1. *Memoire pour servir à l'histoire de la Campagne de 1812 en Russie.* Paris, 1852.

opuściły, niestety, tak charakterystyczny passus: odpowiedź wyędniających żołnierzy W. Armii na pytanie 13-letniego Adama, dlaczego opuścili kraj swój i odbiegli odeń tak daleko? — *Nie mogliśmy Go opuścić, nie mogliśmy zostawić Go samego...* — odparli.

„Odpowiedź wielka w swojej prostocie — dodaje Michelet, w której czuć tętno serca Francji, skarb uratowany i zachowany przez polskie dziecko”.

W przekazach dotyczących organizacji stowarzyszeń studenckich autorki posługiwały się m.in. pracą Askenazego „W. Łukasziński” w 1-szym wydaniu z 1908 roku wówczas kiedy w przypisach do 2-go wyd. (1929 r.) znajdujemy dużo nowych szczegółów o tajnych związkach młodzieży na uniwersytetach niemieckich, o ich porozumieniu z Warszawą i Wileńskimi Filomatami. Czynnym organizatorem tych związków był Józef Napoleon Czapski, wedle opinii prof. Lewaka jeden z najwybitniejszych rewolucjonistów 1-szej połowy XIX wieku, wyznawca F. Buonarottiego. Nowosilcow w swoich raportach słanych z Warszawy do Aleksandra I przedstawiał J. N. Czapskiego jako „niebezpiecznego przywódcę rewolucyjnego internacjonatu młodzieży, obejmującego całą Europę”. Nazwiska jego nie znajduję w dotychczas wydanych tomach *Kroniki*.

Na początku roku szkolnego 1820 „Komitet Szkolny Imperatorskiego Uniwersytetu Wileńskiego” mianował Mickiewicza nauczycielem powiatowej Szkoły w Kownie. Dokument nominacyjny zaświadcza, że „tenże magister filozofii Mickiewicz Adam [...] przez 4 lata służył kursów ze znacznym postępkiem (sic!) i jest sprawowania się dobrego, wieku lat ma 20 (sic!)”.

Cały przebieg belferki kowieńskiej, jej trudów, przygód, lektur, twórczości oddany jest w „Korespondencji Filomatów”, wydanej dopiero w 1914 roku przez prof. Czubka, dopełnionej dalszymi przekazami.

W maju 1823 roku nastąpiły pierwsze aresztowania i pierwsze śledztwa. W lipcu Nowosilcow zjechał do Wilna, jesienią został aresztowany Mickiewicz i osadzony w klasztorze pobazylińskim.

W sierpniu 1824 roku car Aleksander I podpisał w Carskim Siole wyrok na Filomatów w następującym brzmieniu (w tłumaczeniu polskim): „Dziesięciu członków Towarzystwa Filaretów, którzy poświęcili się zawodowi nauczycielskiemu, a także tych Filomatów, którzy okazali się najczynniejszymi w nagannych dążeniach tego Towarzystwa, nie pozostawiać w polskich guberniach, w których zamierzali szerzyć nierozsądny polski nacjonalizm przy pomocy nauczania — pozostawić panu ministrowi narodowego oświecenia, ażeby ich użył w wydziale szkolnym w oddalonych od Polski guberniach, dopóki nie otrzymają zezwolenia na powrót w strony rodzinne”.

Spis nazwisk Filomatów i Filaretów, objętych wyrokiem, w liczbie 20-tu był dołączony do wyroku, ogłoszonego w Wilnie dopiero we wrześniu. — 21. X./11. XI. 1824 roku Mickiewicz z towarzyszami przejechał dawną granicę W. Księstwa Litewskiego.

Wtedy stanęła przed nim

Kraina pusta, biała i otwarta.



Tu następuje w *Kronice* luka ośmiu lat, obejmująca 5 lat pobytu w Rosji, podróże po Europie, Rzym, wybuch powstania, droga powrotna przez Paryż i popas w Poznańskim.

Sprawy dotyczące Rosji, nawet carskiej, i wypadków rosyjskich, nawet sprzed półtora wieku pozostają drażliwe. Archiwa w bibliotekach Związku Sowieckiego, tak wileńskie, jak moskiewskie, są trudno dostępne zwłaszcza archiwa policyjne. Tom rosyjski *Kroniki* był już dwukrotnie odrzucony przez cenzurę i trwa w zawieszaniu. Ponadto Samuel Fiszman, badacz archiwaliów mickiewiczowskich w bibliotekach Wilna i Moskwy, doświadczony polonista, został zmuszony do emigracji na skutek haniebnej nagonki na tzw. „syjonistów”².

Drugi tom *Kroniki* (wyd. 1966 r.) opracowany przez Marię Dernałowicz obejmuje rok 1832 (Drezno) i dwa pierwsze lata paryskie (do czerwca 1834 r.), okres powstania III cz. *Dziadów*, *Ksiąg Narodu* i *Pielgrzymstwa Polskiego* i *Pana Tadeusza*.

Drezno: spotkanie z przyjaciółmi, żołnierzami ostatniej rewolucji, nękające wyrzuty sumienia i „rozbita bania z poezją” — punkt zwrotny w biografii poety.

„Cały rok od wyjazdu z Włoch — wyznawał Henrykowej Rzewuskiej — był tak okropny, że boję się myśleć o nim jak o chorobie, albo o złym uczynku”, a do ks. Wołkońskiej: „Po udrękach ubiegłego roku, po życiu zwierzęcym, albo raczej roślinnym w lasach poznańskich zaczynam z powrotem czuć, myśleć, żyć[...]. Moja muza po długiej nieobecności powraca nareszcie aby mnie pocieszyć [...]”. Lelewełowi zrobił poeta wówczas to pamiętne wyznanie: „żyję tylko nadzieją, że beczynnienie rąk na piersiach w trumnie nie złożę”.

W salonie Klementyny Hoffmanowej Mickiewicz krytyką wojska, co zawiadło nadzieje narodu wywołał ciętą odprawę gen. Małachowskiego, oficera Kościuszkowskiego. „Pan Mickiewicz — oświadczył generał z największą flegmą — ma rację. Trzeba nam było wszystkim zginąć, aby tylko p. Mickiewicz pozostał i wszystko wierszami opisał”. Na takie dictum poeta nie znalazł odpowiedzi (*Kronika*, t. II, str. 51-52). Tymczasem panie poznańskie trwające pod urokiem swego niedawnego gościa, namawiały go do powrotu, a nawet do szukania sobie żony pośród swoich córek.

Jedna z nich polecała pocie Józefa Napoleona Czapskiego, wyżej wspomnianego rewolucjonistę. „Czapski — pisała — jeden w świecie Wallenrodem Twoim w najlepszym znaczeniu być zdolny. Staraj się go poznać w Twoich podróżach, zrozumiął dawno Twoje serce, wzniosł się jeden tylko może ku Twym chlubnym marzeniom...” (brak tego przekazu w *Kronice*).

2. Samuel Fiszman, *Archiwalia Mickiewiczowskie*, PAN, 1962.

W lipcu 1832 roku wylądował Mickiewicz z Domeyką w Paryżu na ul. du Mail i zakorzenił się tu na resztę życia, mimo że — jak pisał — nienawistne mu były huki tego miasta.

W pierwszej kolejności wydał *Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego* rozsyłane bezpłatnie po Zakładach (*dépôts*) i zwana Ewangelią Pana Mickiewicza. Dopiero potem wydał *Dziady* (grudzień 1832).

Warto przypomnieć sądy kilku współczesnych o 3-ciej cz. *Dziadów*.

Staruszek Niemcewicz, dziękując za przysłany mu utwór, pisał: „Już to śliczne dzieło, szczytne, czułe, dowcipne, historyczne, słowem wyższe nad wszelkie pochwały...”.

Tańska-Hoffmanowa: „... to dziwy, cuda, to nasz Szekspir, nasz Byron, to prawdziwy geniusz...”.

Z. Krasieński: „... Mickiewicz jako człowiek jest jeszcze piękniejszy, niż jako poeta, on jeden szczerze mówi, on jeden wie co poświęcenie”.

Za to obóz pseudoklasyków trwał w oporze. „... Uważasz Pan zapewne — pisał L. Osiński do Kajetana Koźmiana, wyroczeni artystycznej obozu — jak znowu do nas gwałtownie zaglądać ze wszystkich stron *Dziady* i *Wallenrody*. Mickiewicz ciągle kuje nowe w różnych fasonach edycje... Należałoby wszelkimi siłami, a najwięcej postrachem śmieszności, odwracać zarazę gorszą od cholery” (t. II *Kroniki*, str. 113).

Koźmian ruszał ramionami z politowaniem nad tym „Don Kiszotem literackim”.

Ciężki był okres przystosowania się poety do środowiska emigracyjnego, rozbitego na kluby, sekcje, komitety, okres intensywnego udziału w organizowaniu tej wykolejonej, rozgadanej, bezczynnej gromady bez jutra.

Wplątany w niewczesne zamiary i swary emigracyjne wrócił do poezji pisząc „poema sielskie”, szukając we wspomnieniach „cienia i pogody”.

„Jestem zajęty pracami literackimi — donosił pani Chlustin 24. XI. 1832 roku — pisząc i dziękując z gorączkowym zapałem [...] to mnie ratuje od obłędu” (t. II *Kroniki*, str. 124). Do Odyńca: „... Paryż tak obrzydziłem, że ledwie już mogę wytrzymać”.

Do Niemcewicza (marzec 1833): „Dobrze się stało, że mieszkając w Londynie nie patrzysz z bliska na rany emigracji i na gnieźdzące się w nich robactwo. Ja usunąłem się od tutejszych machinacji, [...] bo między pijanymi najlepszą jest polityką czekać, aż się wytrzeźwią” (t. II *Kroniki*, str. 171).

Choroba S. Garczyńskiego przerwała pisanie „Szlachcica”, sprzedawszy „na pniu” swój poemat za cztery tys. fr. ruszył na pomoc przyjacielowi. Po śmierci Garczyńskiego (2. IX. 1833 r.) donosił Domeyce: „Jestem podobny teraz do Francuza, wracającego — 1812 roku, zdemoralizowany, słaby, obdartus zupełny, bez butów prawie” (t. II *Kroniki*, str. 252).

W lutym 1834 *Pan Tadeusz* został zakończony.

„Adam Mickiewicz — zanotował w *Pamiętnikach* Niemcewicz — oświadczył się czytać mi nowe poema swoje w dwunastu księgach. Treść jego domowa i zawiera szczęśliwie skreślone obrazy dawnych, nienawistnych już obyczajów polskich [...]. Czynnikiem więc poprosiłem na to czytanie ks. A. C[zarzortyńskiego], generała Paca, Kniaziewicza, płk. W. Zamoyskiego. Dałem im zupełną grochową, kiełbasę itp. Wszyscyśmy z rozkoszą słuchali opisanie scen, te nas nie bez rozrzewnienia, a czasem uśmiechu przeniosły w dziedzinę domową”.

Nieznany dotąd przekaz to spotkanie w czerwcu tegoż roku Mickiewicza z Balzakiem. „Wczoraj, przechodząc z naszym Adammem Tuilerie — pisał A. Jełowicki 19. III — spotkaliśmy małego, czarnego, dobrze odżywionego człowieka [...]. Podszedł do nas, przypomniawszy się pamięci naszego poety i zasypał go słowami uznania [...], w końcu zaprosił nas na obiad [...]. Pytam więc towarzysza: 'któż to jest ten smakosz? — To jest — odrzekł — były wielki człowiek [...], z którym przez jakiś czas wiązano wielkie nadzieje, to sławny Balzac, pisarz dosyć dowcipny, ale umysł słaby, bez wielkiej idei, bez nowych koncepcji, inni już go przewyższyli’...”.

Czy twórca „*Dziadów*” czytał Balzaca i co mianowicie? O ile tak, nie pozostało po tym śladu, w jego korespondencji i wypo- wiedziach, jak również o obiedzie (16. III), o którym Balzac donosił p. Hańskiej: „*J'ai reçu à dîner votre cousin Bernard, Zatuski, et Mickiewicz, dont la figure m'a plu beaucoup...*”, a w innym liście do tejże: „*J'ai bien admiré la sublime figure de Mickiewicz, quelle belle tête!*”.

Na rok 1833 wypada zbliżenie poety do Karola de Montalembert i ks. de Lamennais. Jański na wspólnie z Montalembertem tłumaczył *Księgi*, Lamennais zachwycony *Księgami* pisze swoje *Paroles d'un croyant* pod ich wpływem.

Mickiewicz znudzony korektami „Szlachcica” wraca do dalszych części *Dziadów*, z których chce zrobić „jedyne dzieło swoje warte czytania”.

Pan Tadeusz ukazał się w druku w czerwcu 1834 roku w 2-ach tomach, w nakładzie 3 tys. „Adam w wielkiej biedzie — pisał B. Zaleski — podobno wybrał za *Tadeusza* wszystkie pieniądze, a Jełowicki nie chce kredytować dłużej, bo powiada, że sam goły...”.

Z wydań warszawskich i poznańskich zebrało się kilka tysięcy franków przekazanych pono wielkiemu panu D., „ten zaś zgrawszy się po drodze w Niemczech, ani grosza Adamowi nie wypłacił”.

3. Jełowicki A.: *Listy do Ksaweryny Chodkiewiczowej z lat 1832-1839*. Warszawa, 1964.

W końcu czerwca 1834 r. zjechała niespodzianie do Paryża Celina Szymanowska.

„Zenię się z Celiną, pisał Mickiewicz do Odyńca 2. VII. Wiele byłoby jeszcze pisać, jak w tych czasach byłem smutny i ciężar życia bardzo mi (sic!) dusił. Obaczmy, czy będzie lżej, czy jeszcze ciężej...”.

Ale to wyznanie powierzone przyjacielowi z prośbą o dyskrecję należy już do następnego, nie wydanego jeszcze tomu, bo od czerwca 1834 roku do października 1840 następuje w Kalendarium dalsza luka sześciu lat, obejmująca chorobę żony, katedrę lozańską i mianowanie Mickiewicza na Katedrę Literatury Słowiańskiej w Collège de France.

Dalsze części *Dziadów* nie zostały napisane, a kartki oderwane, pisane „mimojazdem” — zaginęły, zniszczone, prawdopodobnie, przed wyjazdem do Konstantynopola przez samego poetę.

Zdając sprawę z dwu pierwszych tomów tego wielkiego dzieła starałam się uwzględnić przekazy mało znane, całkiem nowe, lub szczególnie ważne dla biografii poety i jego twórczości, a także te przez biografów Mickiewicza niejednokrotnie pomijane lub przeinaczone.

Przy tej okazji chcę złożyć hołd inicjatorowi i opiekunowi *Kroniki Życia i twórczości Mickiewicza*, śp. profesorowi Stanisławowi Pigoniowi, wszechstronnemu znawcy literatury polskiej, wyznawcy Mickiewicza, wojnemu mistrzowi i przewodnikowi następnych pokoleń polonistów.

Maria CZAPSKA

Prof. Kubijowycz

Nakładem Naukowego Towarzystwa im. Szewczenki (NTSZ) ukazała się niewielka objętością książka Wołodymira Kubijowycza, pt. „Mam 70 lat”, („Meni 70”), Paryż-Monachium, 1970. Profesor Kubijowycz jest znaną osobistością na emigracji ukraińskiej. Od dwudziestu lat stoi na czele Naukowego Towarzystwa, z siedzibą w podparyskiej miejscowości Sarcelles, oraz jest naczelnym redaktorem Ukraińskiej Encyklopedii. Jednocześnie prowadzi prace w ściślejszej dziedzinie swoich zainteresowań naukowych: geografii i kartografii.

Większą część książki zajmuje autobiografia autora, uzupełniona krótkim omówieniem jego działalności naukowej przed wojną i na emigracji, oraz kilkustronicową bibliografią. Książka

jest dość obficie ilustrowana zdjęciami, a niektóre z nich mają już dziś wartość historyczną i archiwalną.

Najciekawszy jest życiorys, a w nim prawie czterdziestostronicowe omówienie lat drugiej wojny światowej. Na razie jednak wypadnie cofnąć się do roku 1900, w którym przyszedł na świat autor interesującej nas książki. Przede wszystkim dowiedziałem się, nie bez pewnego zdziwienia, że Kubijowycz jest mieszanego pochodzenia: z ojca Ukraińca i matki Polki, z domu Dobrowolskiej.

Urodził się w Nowym Sączu, gdzie z krótką, jednoroczną przerwą zamieszkiwał aż do roku 1918, w którym złożył maturę w wosądeckim gimnazjum. W szkole początkowej miał sporo przykrości z racji swego „rusińskiego” po ojcu pochodzenia, natomiast okres gimnazjalny wspomina zupełnie inaczej:

„Miałem — pisze w autobiografii — normalne stosunki z moimi kolegami, a z niektórymi zaprzyjaźniłem się; często dyskutowaliśmy, nawet ostro, zwłaszcza w wyższych klasach, także na tematy polsko-ukraińskich zagadnień, ale zawsze w granicach przyzwoitości. Bliższe przyjacielskie stosunki połączyły mnie na kilkadziesiąt lat z Józiem Wąsowiczem. Jak dziwnie ułożyły się nasze losy! Obaj byliśmy zapałonymi turystami i w gimnazjalnych czasach urządzaliśmy wspólne wędrowki, podczas wojny polsko-ukraińskiej znaleźliśmy się po przeciwnych stronach frontu, obaj służyliśmy w artylerii i przez pewien czas nasze baterie stały naprzeciw siebie na tym samym odcinku, z czasem obaj studiowaliśmy geografię i staliśmy się docentami antropogeografii (on na uniwersytecie lwowskim, ja — krakowskim), często spotykaliśmy się, zawsze podtrzymując naszą przyjaźń... Po wielu latach przerwy nawiązaliśmy znowu kontakt i w roku 1963 mój przyjaciel odwiedził mnie we Francji; po drugiej wojnie był profesorem uniwersytetu we Wrocławiu...”.

Cóż, takich przyjaźni, na tle ogólnej wrogości było więcej, a zresztą i sam wypadek Kubijowycza, który, będąc pół Ukraińcem, pół Polakiem, wybrał narodowość swego ojca, nie był odosobniony. Zdarzało się przecież, że rodzeństwa z mieszanych małżeństw rozchodziły się pod względem narodowym i nieraz bliscy kuzyni, a nawet bracia znajdowali się po przeciwnych stronach frontu. Pewna wyjątkowość tego wypadku polega chyba na tym, że młody Kubijowycz wychowywał się w środowisku polskim, choć, jak sam podkreśla, sporą rolę odegrała bliskość Łemkowszczyzny, obejmującej południową część powiatu nowosądeckiego.

Po zakończeniu wojny polsko-ukraińskiej Kubijowycz rozpoczął studia uniwersyteckie na Wszechnicy Jagiellońskiej, ukończył je po niecałych czterech latach, a w roku 1928 został mianowany docentem. Na skutek swej działalności, częściowo naukowej, częściowo politycznej, docenturę utracił decyzją Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, na krótko przed wybuchem wojny.

O swoich przygodach, zakończonych usunięciem z uniwersytetu Jagiellońskiego, Kubijowycz opowiada spokojnie, z dość dużym obiektywizmem. Kamieniem obrazy stały się badania narodowościowo-statystyczne, mające na celu wykazanie, że oficjalny

spis ludności z roku 1931 przyniósł dane sfałszowane na niekorzyść Ukraińców. Pod koniec zanosilo się nawet na nieprzyjemne represje, ale przyszła druga wojna światowa i wszystko przewróciło się do góry nogami.

Wybuch wojny zastał Kubijowycza w Mysłowicach, ale już po paru dniach wrócił on do Krakowa, tuż przed zajęciem go przez Niemców. W dwa tygodnie później, 17 września, uderzyła Czerwona Armia i tysiące Ukraińców zaczęły napływać w masowej ucieczce z terenów okupowanych przez Sowiety. W samym tylko Krakowie skupiło się ich kilka tysięcy. W oczekiwaniu na dalszy rozwój wydarzeń, powstała konieczność utworzenia jakiejś organizacji, uznanej oficjalnie przez niemieckiego okupanta. Doszło więc do powstania Ukraińskiego Centralnego Komitetu, na którego czele stanął właśnie Kubijowycz. W roku 1941 komitet ten rozszerzył swoją działalność dalej na wschód, ale wobec polityki, stosowanej przez Berlin na zajmowanych w miarę postępu *Blitzkrieg'u* terenach, jego możliwości były zawsze mocno ograniczone, a często całkowicie skrepowane.

Dokładniejsze streszczenie tej części wspomnień rozszerzyłoby nadmiernie ramy krótkiego omówienia, ograniczę się zatem do dwóch zasadniczych spraw: zachowanie się władz niemieckich wobec Ukraińców, oraz narastające z biegiem czasu walki polsko-ukraińskie i wzajemna eksterminacja, zwłaszcza w latach 1943-1944. Przedtem warto podać, jak Kubijowycz uzasadnił swoją działalność i jego najbliższych współpracowników, działalność, która z natury rzeczy zmuszała do stałych kontaktów z przedstawicielami hitlerowskich władz okupacyjnych.

„Wydawało mi się (wszyscy w kierownictwie UCK byli ze mną zgodni), że w owym czasie najważniejsze nasze zadanie polegało na takim postępowaniu, żeby w tej straszliwej wojnie naród ukraiński, przynajmniej w Generalnej Gubernii, poniósł najmniejsze straty, żeby wzmocnić nasz stan posiadania, zwłaszcza w na pół opustoszałych po nazistowskiej eksterminacji Żydów, miastach, a nawet żeby tworzyć pewne wartości kulturalne. Należy przyznać, że w zestawieniu z innymi ziemiami ukraińskimi, w Generalnej Gubernii mieliśmy na razie najlepsze warunki istnienia. Przyszłości nie znaliśmy, dalsza niemiecka okupacja mogła nam przynieść straszne następstwa, ale musieliśmy postępować zgodnie z wymaganiami bieżącej chwili...”

Niemcy z nielicznymi wyjątkami, zachowywali się jak barbarzyńcy i zarazem szaleńcy. W listopadzie 1941 roku Kubijowycz pojechał do Równego i przeprowadził tam rozmowę z zastępcą komisarza Reichu na Ukrainie, prezydentem Dargelem. „Mamy tu — oświadczył Dargel — pewne trudności językowe w związku z wydawaniem rozporządzeń ludności. Na razie ogłasza się te rozporządzenia po niemiecku i po ukraińsku. Ale moi *giebiets-komisar'ze* informują mnie, że ludność nie rozumie ukraińskiej mowy”.

Zdumiony Kubijowycz zapytał jaką mowę — zdaniem Dargela — znają wołyńscy Ukraińcy. Odpowiedź brzmiała: „Rosyjską, ale pan rozumie, że względów politycznych nie mogę jej używać.

Najlepiej będzie, jeśli ograniczę się do niemieckiego”. „Ależ, panie prezydencie, tutejsza ludność nie rozumie po niemiecku i nie będzie w stanie wykonywać rozkazów”. „To ja ich każę rozstrzeliwać!”.

Tak oto nawet u najwyższych dygnitarzy skrajne barbarzyństwo łączyło się z głupotą i analfabetyzmem. Do tego dochodziła niepoczytalna pycha. Kubijowycz opowiada, że kiedy w zimie 1943 roku znalazł się w Berlinie, by władzom Gestapo przedstawić memoriał w sprawie masowych rozstrzeliwań na Chełmszczyźnie, generał Mueller rozpoczął rozmowę następującymi słowami: „Czy pan wie kim jestem? Jestem szefem Gestapo na cały świat!” „Odwiedziły te — zauważa Kubijowycz — nie należały do przyjemnych...”. Istotnie!

W innym miejscu Kubijowycz stwierdza, że przez pierwsze dwa lata niemieckiej okupacji Ziemia Czerwieńska (po ukraińsku Hałyczyna, w Polsce przyjęła się niehistoryczna nazwa Małopolski Wschodniej) była w zestawieniu z Ukrainą Naddnieprzańską i Polską czysto etnograficzną „oazą spokoju”. Wszystko zmieniło się w lecie 1943 roku. Najpierw nastąpił wielki partyzancki, bolszewicki zagon słynnego Kowpaka.

„Kowpak zostawił swoich agentów, rozdmuchał namiętności Ukraińców i Polaków; dochodziło do coraz częstszych aktów wzajemnego terroru między Ukraińcami, Polakami i Niemcami, w jesieni zaś Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) przeniosła ośrodek swoich działań z Wołynia na Hałyczynę. Na zamachy na poszczególnych Niemców i rabunek państwowej własności policja niemiecka odpowiadała masowym terrorem. Należy założyć, że zabójstwa pojedynczych Niemców, Polaków a nawet Ukraińców-żacinników nie były inspirowane przez górę banderowskiej OUN i UPA, najpewniej straciła ona panowanie nad organizacyjnymi dołami. Konsekwencje szybko szerzącej się anarchii odbijały się głównie na wiejskiej ludności ukraińskiej, która często płaciła podwójnie kontyngenty (Niemcom i różnym grupom partyzanckim) i odczuwała boleśnie na własnej skórze najgorsze akty niemieckiego terroru”.

„Jeszcze więcej strat niż na Hałyczynie, ponieśliśmy na Chełmszczyźnie i Podlasiu, gdzie niewątpliwie pod wpływem bolszewickich agentów, doszło do krwawych starć polsko-ukraińskich. Działy tu dwie polskie partyzanckie formacje (Polska Armia Krajowa i Polska Armia Ludowa), oraz stosunkowo słaba UPA, ale głównie dawały o sobie znać niekontrolowane przez nikogo lokalne grupy. W Hrubieszowskim spalono kilkadziesiąt wsi, zginęło kilka tysięcy ludzi. Niewątpliwie do tego stanu rzeczy przyczyniła się również władza niemiecka i nonsensowne przesiedlenia Polaków i Ukraińców”.

O walkach i rzeziach polsko-ukraińskich Kubijowycz napisał dość pobieżnie, zresztą w szczupłej książeczce na więcej nie było miejsca. Czy przywódcy z obu stron rzeczywiście nie ponosili żadnej odpowiedzialności? Nie umiem na to odpowiedzieć w sposób jednoznaczny. Gdyby po obu stronach było mniej nacjonalistycznego zacietrzewienia — uwaga ta nie dotyczy Kubijowycza, być może, bolesna sprawa wzajemnych walk polsko-ukraińskich podczas drugiej wojny światowej zostałaby już dawno omówiona i wyjaśniona. Ale gdy się ma do czynienia niemal wyłącznie z wzajemnymi oskarżeniami, o takim obiektywnym wyjaśnieniu na ra-

zie nie może być mowy. A już kijowscy bolszewicy i warszawscy komuniści na pewno nie są w tym zainteresowani.

Powściągliwie i raczej niechętnie Kubijowycz wspomina tu i ówdzie o starciach między poszczególnymi frakcjami politycznymi wśród samych Ukraińców, przy czym nie zawsze kończyło się na polemikach. Kubijowycz nie należał do żadnej partii i to wystarczyło, żeby w różnych okresach zasłużyć na wrogość: „że niby, kto nie z nami...”. Nie bez pewnej pobłażliwości wspomina o donosach na niego, w pierwszym okresie powojennym, gdy przebywał w Bawarii; jeden z tych donosów kosztował go sześć tygodni pobytu w amerykańskim więzieniu, ale ostatecznie wszystko skończyło się dobrze. Ale w pewnej chwili groziło Kubijowyczowi wydanie władzom sowieckim.

Okres niemiecki trwał całe pięć lat, a w roku 1950, jak napisałem na wstępie, Kubijowycz objął kierownictwo ukraińskiej placówki naukowej we Francji, w Sarcelles, gdzie przebywa po dziś dzień, całkowicie oddany swojej pracy. Z rzadka zabiera głos w czasopismach emigracyjnych. Nie od rzeczy będzie powtórzyć końcowe słowa jednego z jego artykułów, wydrukowanego w roku 1964.

„Nasze istnienie na emigracji nie ma sensu bez utrzymywania wartości duchowych i kulturalnych... bez tego nie przyjdziemy z pomocą naszemu krajowi. Robimy wiele w tych dziedzinach, ale nie na właściwym poziomie... Uciekamy od problematyki, obniżamy nasz lot. Mamy słowo 'Ukraina' na ustach, za mało w sercu, i za mało jest w naszej pracy realnych osiągnięć... Jesteśmy zbyt zadowoleni z samych siebie i zanadto sobie nawzajem ślabiamy. Starsi z nas zdobywają się na takie posunięcia, które nie są w stanie pociągnąć za sobą młodzieży i wyrobić w niej miłość i szacunek do ukraińskości... Pamiętajmy w naszej działalności, że miliony naszych braci na ojczystej ziemi patrzą na nas i przyglądają się naszej pracy. Pamiętajmy, że stanowimy ich wielką nadzieję... Nieustanna myśl o zniewolonych braciach w naszym kraju powinna dać nam wewnętrzny podmiot do tworzenia konkretnych dzieł dla Ukrainy, by w ten sposób móc przyciągnąć do ideowej pracy ludzi z młodszych pokoleń...”

Do niejednej z politycznych emigracji dałoby się zastosować powyższe słowa bez większych czy nawet żadnych zmian. A z jeszcze większą racją parę melancholijnych zdań o tych najbliższych współpracownikach naukowych NTSZ, co odeszli na zawsze i nadal odchodzą.

„Jestem jeszcze zdrow — pisze Kubijowycz w zakończeniu swej autobiografii — i zdolny do pracy. Mam przed sobą konkretne zadania, jakie chciałbym wykonać: dokończyć drugą wersję 'Ukraińskiej Encyklopedii' i wydać tom uzupełnień tego dzieła; wydać drugi tom (a może i trzeci?) o stosunkach narodowościowych na Hałyczynie, gdyby się dało, opracować drugi tom historii UCK, wydać a co najmniej zapoczątkować wydanie słownikowej encyklopedii ukrainoznawczej w języku angielskim, i wyszukać takich, którzy będą w stanie doprowadzić do drugiego, poprawionego wydania 'Ukraińskiej Encyklopedii'. Daj Boże, aby przy Jego i naszego społeczeństwa pomocy udało się te plany urzeczywistnić. Przynajmniej częściowo!”

Profesor Kubijowycz nie miał w Polsce przedwojennej dobrej

prasy, a już najgorzej go traktowano w *Ilustrowanym Kurjerze Codziennym*, niezmiernie czułym na kwestię ukraińską. Zarzucono mu w owych latach, że swoje prace geograficzne zabarwia nacjonalistyczną tendencją, wrogą Polsce, Kubijowycz zaś zarzucał identyczną tendencję, wrogą Ukraińcom, profesorowi Romerowi i jego uczniom. Ten spór ma już dziś charakter czysto historyczny, a to z tej zasadniczej racji, że oblicze etnograficzne spornych terenów zmieniło się całkowicie. Zmieniło się na niekorzyść jednych i drugich, choć na pewno w odmiennych proporcjach. We Lwowie pozostały niedobitki polskości, historyczna Żółkwia nie stała się Żółkwą lecz Niestierowem, przesiedlono Łemków i Bojków, zamieniając ich piękne cerkwie w obiekty muzealne, zniszczono Huculszczyznę. Gdyby profesor Kubijowycz mógł wrócić na te tereny, musiałby zacząć swoje badania etnograficzne od początku.

Toteż krótkie omówienia przedwojennych prac Kubijowicza, zamieszczone w drugiej części książki, czyta się z niemałą melancholią, jako już tylko przyczynki do niepowrotnej przeszłości, do stanu rzeczy, którego nie potrafiliśmy wspólnym wysiłkiem uratować. Bo wysiłki te niemal zawsze szły w zupełnie odmiennych, przeciwnych kierunkach, więc też i skutki musiały być żałosne. Książka profesora Kubijowicza nie ma zamierzonego charakteru politycznego, ale, pisząc o swoim życiu i działalności, nie mógł nie potrącać na każdym kroku o sprawy właśnie polityczne. I również na każdym kroku samą wymową faktów podsuwa uważnemu czytelnikowi gorzkie refleksje na temat stosunków polsko-ukraińskich, bezsensownych sporów, rozpalanych w najmniej odpowiednich chwilach, samobójczych poczynań, zaprzeczonych możliwości historycznych, tego wszystkiego, co jak w soczewce skupiło się w życiu i doświadczeniach jednego człowieka.

Józef ŁOBODOWSKI

Publikacje Ukraińców z Kanady

Jest tych publikacji oczywiście sporo ale pragnę ograniczyć się tu do trzech, gdyż nie brak w nich — rozmyślnie wyrażając się eufemistycznie — „poloników”. Są one bardzo różne zarówno tematycznie jak i nastawieniem, nastrojem, temperamentem pisarskim autorów.

Olga Wojcenko¹ jest rdzenną Kanadyjką ukraińskiego pochodzenia. Urodziła się i wychowała w Kanadzie, ale władza doskonale

1. Olga Wojcenko, *Miżnarodnij Kongres istorycznych nauk i podoroż po Ukraini 1970*. (Wyd. Ukraińska Wilna Akademia Nauk, Winnipeg-Kijiw, 1970, str. 39).

językiem ukraińskim. Publikuje zarówno w języku angielskim jak i ukraińskim, specjalizując się w dziejach osadnictwa ukraińskiego w Kanadzie. Jest autorką najlepszej w języku angielskim pracy o Ukraińcach w Kanadzie. Była po raz pierwszy w ZSSR jako członkini kanadyjskiej delegacji na zjazd historyków (XIII Międzynarodowy Kongres Historyków w Moskwie w dniach 16-23 sierpnia 1970 roku). Oczywiście zdecydowała się na wyjazd nie tyle ze względów czysto naukowych, ale aby wykorzystać możliwość poznania niektórych miejscowości, przede wszystkim Kijowa i Lwowa.

Wrażenia jej mają charakter bardzo osobisty, dalekie są od głębszej analizy. Nie zawierają też żadnych rewelacji. Jej ocena kongresu historyków jest raczej negatywna i pokrywa się z podobną oceną większości zachodnich uczestników. Ale Wojcenko szukała Ukraińców i znajdowała ich. Radowała się nimi w Moskwie i wszędzie gdzie ich spotykała. Znajdowała często z nimi płaszczyznę porozumienia, ale stale — starając się być możliwie bardzo ostrożna i powściągliwa w wypowiedziach politycznych — widziała tę ogromną różnicę między wolnością a niewolą, demokracją a dyktaturą. Wchłaniała gdzie mogła i ile mogła „ukraińskość” w różnych postaciach. Stwierdza, że wprowadziła na obszarze sowieckiej republiki ukraińskiej obowiązuje dwujęzyczność, ale w praktyce sprowadza się to bardzo często do jednego języka — rosyjskiego. Zachwycała się architekturą, uczelniami w Kijowie i we Lwowie, ale widziała również wyraźnie cienie. Pisze o tym z żalem a nawet z przykrością. We wrażeniach ze Lwowa nie ma ani jednego zwrotu, świadczącego o dawnej polskości tego miasta, o polskiej architekturze, przeszłości itp. Autorka wie natomiast, że obecny hotel Inturista nazywał się George za czasów „cesarsko-królewskich, austriacko-węgierskich”. Dobrze, że dostrzegła pomnik Mickiewicza. Widziała i podłe domy oraz mieszkania i podkreśla iż inaczej wygląda kraj zwiedzany bez przewodników i bez opieki „Inturista”.



Wrażenia dziennikarza Wasyla Sofroniwa Lewyckija², redaktora tygodnika *Nowyj Szlach*, dotyczą wizyt w ośrodkach ukraińskich w Jugosławii, Czechosłowacji i Polsce. Odbył tę podróż latem 1969 roku. Uderza w tych reportażach nacisk na stronę artystyczno-literacką. Lewyckij — chyba świadomie — zrezygnował z analizowania sytuacji politycznej oraz z bliższych badań nad położeniem mniejszości ukraińskiej w tych państwach. Oczywiście szkicuje lub często przytacza rozmowy i oświadczenia niektórych miejscowych działaczy, to znów rezygnuje z ujawniania swoich rozmówców. Niewątpliwym novum stanowią nie tylko liczne zdjęcia ale i próbki twórczości literackiej ukraińskich autorów w Jugosławii, Czechosłowacji i Polsce.

2. Wasyl Sofroniw Lewyckij, *Kłaniałysia Wam Try Ukrainy*. („Nowyj Szlach”, Winnipeg-Toronto 1970, str. 175).

Najobszerniejsza część, dotycząca Ukraińców w Jugosławii, utrzymana jest w najbardziej serdecznym tonie. Autor pozwala wnioskować, że ludność ta ma stosunkowo najlepsze warunki.

Nas oczywiście interesuje rozdział dotyczący Ukraińców w Polsce. Część tę autor zatytułował: „Ta Ukraina, co od macochy” i zawarł dokładnie w 43 stronach łącznie ze zdjęciami, wierszami itp. Interesują go właściwie tylko Ukraińcy. Bardzo żywo opisuje swoją wizytę w redakcji ukraińskiego tygodnika *Nasze Słowo* i Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego — jedynej oficjalnej organizacji Ukraińców w Polsce. Rozmowy z działaczami tej organizacji, oczywiście partyjnej, jak i z pracownikami tygodnika ani nie przebiegały w serdecznej atmosferze, ani nie sprawiały przyjemności redaktorowi z Toronto. Lojalnie jednak podaje uzyskane od nich dane o położeniu Ukraińców. A więc Towarzystwo ma 250 terenowych komórek, liczy 4.500 członków, istnieje 50 kółek artystycznych, w 23 zespołów śpiewaczych, 9 estradowych, 4 muzyczne i 27 dramatycznych. Programy radiowe w języku ukraińskim nadają rozgłośnie w Olsztynie, Koszalinie, Lublinie, Rzeszowie i Wrocławiu. Czynnich jest 90 punktów „nauczania języka ukraińskiego”, na które uczęszcza około 3.000 dzieci w wieku szkolnym. Istnieją trzy szkoły podstawowe z ukraińskim językiem wykładowym, dwa licea pedagogiczne dla nauczycieli z ukraińskim językiem wykładowym w Bartoszycach i Szczecinie. Do 1969 roku licea te ukończyło 224 nauczycieli nabywając prawo nauczania w języku ukraińskim.

Warszawskie rozmowy z ukraińskimi komunistami nie wprawiły go w najlepszy nastrój i skorzystał z okazji, by wyjechać z ukraińskim zespołem śpiewaczym na festiwal (trzeci kolejny) ukraińskiej pieśni i muzyki w Koszalinie. Sprawozdanie z tej imprezy jest entuzjastyczne. „Wszędzie Ukraińcy” — pisze z zachwytem. Pełno autobusów, przez dwa dni górowali w mieście Ukraińcy, którzy przybyli z różnych stron Polski. Pierwszy festiwal, jak informuje Lewyckij, odbył się w 1967 roku w Sanoku i był nie tylko wielką ale zarazem demonstracyjną manifestacją, dlatego też władze nie zezwoliły, by następny odbył się w Sanoku tylko w Kętrzynie w woj. olsztyńskim, a w 1969 roku w Koszalinie. W tym festiwalu wzięło udział 15 najlepszych zespołów z ogólnej ilości 38, które stanęły do konkursów wojewódzkich. Autor, jak powiedzieliśmy, został oczarowany festiwalem, jego uczestnikami i z jedną grupą w autobusie odbył podróż powrotną. W rozśpiewanym i rozgadany autobusie czuł się prawdziwie szczęśliwy. Z inną grupą przejechał niemal przez cały kraj, bo aż na obszar Łemkowszczyzny aby zwiedzić muzeum, którym jest dawna chata Fedora Gocza, a nowy jego dom w Zyndrakowie jest rodzajem pensjonatu dla letników. Lewyckij pojechał ponadto do Zakopanego, aby odwiedzić rzeźbiarza Grzegorza Peczuca, a w Krakowie artystę-malarza Lwa Geca — obaj urodzili się na Łemkowszczyźnie i podkreślają swoje pochodzenie.

Nie podejmujemy się literackiej oceny prozy i wierszy pięciu autorów ukraińskich z Polski, których próbki przedrukował Le-

wyćkij. A wnioski: „diaspora ukraińska w Polsce ma zupełnie inne oblicze aniżeli ukraińska mniejszość na zwartych terenach Słowacji czy Jugosławii. Ukraińcy są w Polsce rozproszeni po całym kraju. Stąd narodowa świadomość i duchowy związek z Ukrainą jest zarówno dla byłych autochtonów Przemyśla — Łemków jak i tych, którzy wbrew swej woli, w następstwie wojny muszą pozostać na polskiej ziemi, silnym ideowym czynnikiem zjednoczeniowym”. Dalej dowodzi Lewyćkij, że Ukraińcy w Polsce mają najtrudniejsze warunki działalności i rozwoju, że władze ograniczyły je do najmniejszych rozmiarów: „Odniośłem wrażenie, że z wymienionych przyczyn Ukraińcy mają w Polsce największe straty wśród młodzieży. Psychologiczne procesy, którym podlegają młodzi prowadzą do wyobcowania z własnego narodowego pnia, są one podobne do procesów zachodzących wśród Ukraińców w Ameryce i Kanadzie”.

Praca dr. Petra Mirczuka³ nasuwa tyle różnorodnych oporów psychicznych, iż najrozsądniej byłoby ją pominąć. Ale znowu sporo innych względów przemawia przeciwko temu. Nie zamierzam oczywiście dyskutować kreowania Romana Szuchewycza (gen. Tarasa Czuprynki) na bohatera narodowego. To sprawa Ukraińców.

Autor skorzystał ze sporej ilości opublikowanych materiałów, dodając iż wielu jest jeszcze brak, cytując kilka większych opracowań monograficznych, których — niestety — nie znamy, ale mimo to trudno jego pracę określić inaczej aniżeli hagiograficzną kronikę bohaterskiego żywota i działalności. Nikt oczywiście nie oczekuje w takiej pracy pochwał dla Polaków czy Polski, ale na pewno przerażać musi ta doza nienawiści do nas, jaka bije z kart tej książki. Nawet nie kwestionując zasady terrorystyczno-sabotażowej akcji bojowych organizacji ukraińskich nacjonalistów na terenach województw wschodnich, które Ukraińcy uważali za swoje etniczne obszary, to chyba reakcja władz państwowych, polskich, musi być uznana za uzasadnioną. Nawet jednak w świetle relacji dr. Mirczuka te procesy i wyroki sądów polskich wydają się zadziwiająco łagodne w porównaniu z tym co się działo pod rządami hitlerowskimi i sowieckimi. A powtarzające się amnestie nie omijały bojowców ukraińskich. Nie ma powodu np. twierdzić, że „doskonała organizacja zamachu na min. Pierackiego” — w przygotowaniach i planowaniu brał udział Szuchewycz — powiodła się w biały dzień „mimo licznej ochrony policyjnej” — skoro Pieracki ochrony nie miał, bo nakazał jej zdjęcie. Ucieczka była dobrze zorganizowana, ale wykonanie zamachu nie przedstawiało żadnej trudności. Ministrowie polscy nie jeździli po mieście pod eskortą samochodów czy motocykli policyjnych. Po co to kłamliwe przechwalanie?

3. Dr Petro Mirczuk, *Roman Szuchewycz (Gen. Taras Czuprynka) Komandyr armii bezsmertnych* (Towarzystwo kołyszniich wojakiw UPA w ZSA, Kanadi i Europi, New York-Toronto-London 1970, str. 269).

Oburzające jest, gdy Mirczuk pisze „partyzanci bolszewicy”, „oddziały niemieckie”, ale „bandy polskie”. Oddziały ukraińskie — obojętnie w skład jakich formacji wchodziły — zawsze działały sprawiedliwie, we własnej obronie, w interesie ludności, narodu itp. Można i tak, jakkolwiek doskonale wiadomo iż wojna to nie wyprawa turystyczna. Działy się potworności, okropności, straszliwe, niepotrzebne zbrodnie. Nie brak na to niezbitych dowodów. Daleko posunięta powściągliwość jest na pewno wskazana i celowa. Nie znać jej w tej pracy.

Najciekawsze jednak w książce dr. Mirczuka to relacje o walkach wewnętrznych w łonie organizacji bojowych zarówno przed wojną jak w czasie wojny i po niej. Ujawnia sporo szczegółów, mimo iż niektóre sprawy zaciemnia a inne przemilcza. Autor utrzymuje np. iż nie wie skąd dostała się do władz polskich tzw. archiwum Seniuka, na które powoływano się w czasie procesu zabójców min. Pierackiego. Przecież zostało dostarczone przez władze czechosłowackie, które przestały interesować się UOW.

Bracia Jarosław i Roman Baranowscy, wybitni członkowie naczelnych władz, zostali rozszyfrowani jako agenci na służbie polskiej policji. Mirczuk zauważa, że ich matka była Polką, ojciec księdzem. Czy ma to być insynuacja iż jako synowie Polki zdradzili ukraińską organizację? Bardzo to niskie. Zresztą w każdej podziemnej organizacji jest pewna ilość agentów, donosicieli i prowokatorów. Było ich wcale dużo i w ukraińskich. Ale gdy chodzi o braci Baranowskich to byli oni również agentami sowieckimi.

Powtarzamy: najbardziej interesujące są wewnętrzne dzieje, zmagania, walki, rywalizacje, ambicje owych podziemnych bojowych organizacji ukraińskich. Szuchewycz został do końca w kraju, gdzie skupiał wszystkie stanowiska ruchu nacjonalistów UPA. Jako gen. Czuprynka był naczelnym dowódcą, jako Tur był przewodniczącym rady OUN, jako Roman Łozowski, premierem ukraińskiego rewolucyjnego rządu, wreszcie w latach 1944 do śmierci w 1950 roku przewodniczącym generalnego sekretariatu UGWR (Ukraińskiej Głównej Wierchownej Rady). Zginął wraz ze swoją ochroną w walce, w kryjówek pod Lwowem, 5 marca 1950 roku otoczony oddziałem NKWD. Nikt z jego otoczenia nie wyszedł żywy, nie poddał się.

Benedykt HEYDENKORN

Nadesłane nowości wydawnicze

JANTA (Aleksander). *Przestroga dla wnuków*. Str. 143 i 1 nłb. Poezje. Rysunek na okładce — Feliks Topolski. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1971).

PIELORZ (Joseph, OMI.). *Les Ob-lats polonais dans le monde 1920-1970*. Str. 254. (Rome, Maison Générale, 1971).

- Spółeczeństwo Ziemi Zachodnich*. Studium porównawcze wyników badań socjologicznych w województwie zielonogórskim. Str. 259 i 1 nlb. Praca zbiorowa pod redakcją Zygmunta Dulczewskiego. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1971).
- KANFER (Irene). *Ombre du Soleil*. Str. 33 i 7 nlb. Poezje. (Wyd. Pierre Jean Oswald, Honfleur, 1971).
- IWANSKA (Alicja). *Ideology and the Mexican Indian*. Nadbitka z *Revue Internationale de Sociologie*, organe de L'Institut International de Sociologie. Actes du XXII Congrès de l'Institut International de Sociologie, Rzym, 15-21. IX. 1969, Série II* — Vol. VI, nn. 1-3, 1970. Str. 216-232.
- BUSZA (Andrzej). *Astrologer in the underground*. Str. 61 i 9 nlb. Poezje. Tłumaczenie z polskiego Jagna Boraks i Michael Bullock. (Wyd. Ohio University Press, Athens, Ohio, 1970).
- The Man on the Moon — Story of Pan Twardowski*. As Told by Marion Moore COLEMAN. Str. 54 i 6 nlb. (Wyd. Cherry Hill Books — ISBN, Cheshire, Conn., 1971).
- KRYNSKI (Magnus J.). *Yugoslavia 1970: The Country, The Slavic Seminar and Some Polonica*. Str. 13. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XVI, No. 2, Spring, 1971, pp. 90-102, New York).
- Catalogue of Periodicals in Polish or relating to Poland and Other Slavonic Countries published outside Poland since September 1st, 1939*. Str. 126. Opracowanie: Maria Danilewicz i Barbara Jabłońska. (Wyd. The Polish Library, London, 1971. Wydanie II, powielacz).
- LIPOWSKI (Z. J., M.B.D. Psych.). *The Conflict of Buridanian's Ass. or Some Dilemmas of Affluence: The Theory of Attractive Stimulus Overload*. (Nadbitka z *Amer. J. Psychiat.* 127: 3, September 1970, str. 49-55).
- BRZEZINSKI (Zbigniew). *Half past Nixon*. Str. 21. (Odbitka z *Foreign Policy*, number 3, Summer 1971).
- Polish Circuit Rider. The Texas Memoirs of Adolf Bakanowski, O. R. (1866-70)*. Tłumaczenie i opracowanie Marion Moore Coleman. Str. 49 i 1 nlb. (Wyd. Cherry Hill Books — ISBN, Cheshire, Conn., 1971).
- Polnische Stimmen 2 — Eine Dokumentation über Polens Stellung zu den Ostverträgen vom 8. August 1970 bis 17. April 1971*. Zebrań i opatrzył przedmową Andrzej J. Chilecki. Str. 100. (Wyd. Edition Atlantic Forum, Bonn-Bruxelles-New York, 1971).
- FILIPPOW (Boris). *Priedanja stariny głubokoj*. Opowiadania, legendy, wiersze. Str. 105 i 3 nlb. (Nakł. autora, Washington, 1971).
- GORKIJ (Maksim). *Nieswojewremienneje mysli*. Str. 304. Opracowanie G. Jermolajewa. (Wyd. Editions de la Seine, Paryż, 1971).
- Historiska och Litteraturhistoriska Studier* 46. Str. 351 i 1 nlb. Skrifter Utgivna av Svenska Litteratursällskapet i Finland. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland Förlag, Helsingfors, 1971).
- Almanach „Homin Ukrainy” na 1971 rik*. Str. 181 i 3 nlb. Nakładem Wydawnictwa „Homin Ukrainy”, Toronto, Canada).
- HORDYŃSKYJ (Swiatosław). *Ukraiński cerkwy w Polsce*. Str. 20 + ilustracje. Odbitka z „Bohosłavia” t. XXXIII, Rzym, 1969).
- STANKIEWICZ (Jan, Prof. Dr). *Z ukraińskich dacziniennjai da wialikalitwy-Bielarusi*. Str. 34. Powielacz. (Wyd. The Francis Skoryna Kryvian (Greatlitvianian, Bielarus) Society of Arts and Sciences, in the U.S., Inc., New York, 1970).
- ANDRZEJEWSKI (Jerzy). *Apelacion*. Str. 163 i 5 nlb. Tłumaczenie na język hiszpański Willy Kemp. (Wyd. Editorial „Tiempo Nuevo”, Caracas, 1970).

- KANTOR (Leonid). *Sverige och svenskt kulturliv i polska publikationer 1966-1970*. Str. 17. Powielacz. (Wyd. Slaviska Institutionen, Sztokholm, Meddelanden, Nr 1, 1970).
- GIDYŃSKI (Joseph C.; LL.M., LL.D., J.D.). *Foreigners and the Polish Penal Code*. Str. 20. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XV, No. 3, Summer, 1970, pp. 48-65, New York, N.Y.).
- KOSIŃSKI (Leszek A.) *Migration of Population in East-Central Europe, 1939-1955*. (Nadbitka z *Canadian Slavonic Papers*, XI, 3, 1969, str. 359-373).
- KOSIŃSKI (Leszek A.) *Changes in the Ethnic Structure in East-Central Europe, 1930-1960*. (Nadbitka z *The Geographical Review*, Volume LIX, No. 3, 1969, 388-402 str. (Wyd. American Geographical Society, New York).
- KRZYŻANIAK (M.) i MUSGRAVE (R. A.). *Corporation Tax Shifting: A Response*. Nadbitka z *The Journal of Political Economy*, Vol. 78, No. 4, July/August 1970, str. 768-773. (Wyd. University of Chicago).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.) *Henryk Sienkiewicz and Ignacy Paderewski: Five Letters*. Str. 11. Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XV, No. 3, Summer, 1970, pp. 8-18. (Wyd. The Polish Institute of Arts and Sciences in America, Inc., New York).
- STACHIW (Matthew; LL.D.) i SZTENDERA (Jarosław; M.A.). *Western Ukraine at the Turning Point of Europe's History 1918-1923*. Vol. I. Str. 324 i 2 nlb. (Wyd. The Shevchenko Scientific Society, New York, N.Y., 1969).
- Kalendar-Almanach Parafiji Swiatych Wołodymyra i Olhy w Czikago na Rik Bożyj 1970*. Str. 135 i 53 nlb. (Wyd. Bratstwa Swiatioho Andrija Perwozwannoho, Chicago, 1970).
- BIŁYŃSKYJ (Andrij). *Pohlad na mynute i ukraiński perspektywy*. Str. 62 i 2 nlb. (Nakładem W-wa „Orlyk”, Chicago-München, 1970).
- MARKUŚ (Wasył). *Synod i posynodalna dijsnist' w Ukraiński Katolyckij Cerkwii*. Str. 40. (Wyd. Bratstwa Swiatioho Andrija Perwozwannoho, Chicago, 1970).
- SZCZAKACYCHIN (Mikoła). *Narysy z Historii Bielaruskaga Mastactwa*. Tom pierwszy. Wydanie drugie — fotograficzne. (Wyd. Instytut Bielaruskaje Kultury, Addziej Humanitarnych Nauk, Miensk, 1928).
- FILIPPOW (Boris). *Mimochodom*. Rasskazy, Liegendy, Stichi. (Washington, 1970, Nakładem Autora).
- AMALRIK (Andrzej). *Czy proisnuje Radjanskiy Sojuz do 1984 roku?* Str. 93 i 5 nlb. (Wyd. Wasył Symonenko „Smołokyp”, Paryż-Baltimore, 1971).
- SZKILNYK (Mychajło, Dr). *Ukraina u borot'bi za derżawnist' w 1917-1921 rokach*. Przedmowa — Dr Bohdana Bociurkiw. Str. 366. (Wyd. „Biblos”, Toronto, 1971).
- DEMKOWYCZ - DOBRIANSKYJ (Mychajło). *Ukraińsko-polski stosunki u XIX storiczci*. Str. 114 i 6 nlb. (Wyd. Ukraiński Wilnyj Uniwersytet, Monachium, 1969).
- Kontrasty*. Zbirka mołodeczozji tworczosti (Poezja, proza, muzyka i hra-fika). Redakcja Łaryssy M. L. Onyszkewycz. Str. 150 i 2 nlb. (Wyd. „Junak”, Ukrainian Youth Organization Plast, New York, 1970).
- Notatky z Mystectwa*. Str. 71 i 1 nlb. Ukrainian Art Digest No 10, Czerwiec 1970. (Wyd. U.A.A. in U.S.A., Philadelphia Branch).
- Żalost zmagoslavja — poljska vojna in emigracijska lirika med drugo svetovno vojno 1939-1945*. Wybór i przekład Tine Debeljak, opracowanie graficzne Bara Remeć. Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. Editorial Baraga, Rzym - Buenos Aires, 1970).
- Hid* No 3, Marzec 1971. Zawiera m.in. paryski i berliński Dziennik Gombrowicza (*Parizs és Berlin*), przeł. na język węgierski György Gömöri. (Wyd. Novi Sad, 1971).

- Meddelanden* No 3, 1971. Str. 25. Powielacz. (Wyd. Slaviska Institutionen, Stockholm).
- Meddelanden* No 4, 1971. Str. 26. Powielacz. (Wyd. Slaviska Institutionen, Stockholm).
- SISSON (Andrew R.). *Applehood and Mother Pie. Notes on „American” Values*. Str. 133 i 1 nlb. (Wyd. Orchard Press, Peterborough, New Hampshire, 1971).
- International Journal*. Vol. XXVI, No 3, Summer 1971. *China and Japan*. Str. 457-613. (M.in. opracowanie T. G. Rawskiego. *Foreign Contacts and Industrialization*). (Wyd. Canadian Institute of International Affairs, Toronto, 1971).
- SZER (Jakow). *Kuda idti? (Kniha dlia tiech, kto choczet zmienit' mir)*. Str. 251 i 5 nlb. (Nakładem autora, Paryż, 1971).
- Polnische Stimmen* 2. Eine Dokumentation über Polens Stellung zu den Ostverträgen vom 8. August 1970 bis 17. April 1971. Str. 100. Przedmowa i redakcja — Andrzej J. Chilecki. (Wyd. Edition Atlantic Forum, Bonn - Bruxelles - New York, 1971).
- Instrukcja duszpasterska „Zjednoczenie i Postęp” o środkach społecznego przekazu, zredagowana z polecenia Drugiego Watykańskiego Soboru Powszechnego*. Str. 72 i 4 nlb. (Wyd. Papieska Komisja do Środków Społecznego Przekazu, Rzym, 23. V. 1971).

Biblioteka "Kultura"

PEŁNY WYKAZ WYDAWNICTW

1. Witold GOMBROWICZ . *Trans-Atlantyk i Ślub* (wyczerpane)
2. George ORWELL *1984* (wyczerpane)
3. Czesław MIŁOSZ *Zniewolony umysł* (wyczerpane)
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?* (wyczerpane)
5. Czesław MIŁOSZ *Światło dzienne* (Poezje) (wyczerpane)
6. Czesław STRASZEWICZ. *Turyści z bocianich gniazd* (wyczerpane)
7. Stefan KORBOŃSKI ... *W imieniu Rzeczypospolitej* (wyczerpane)
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota* (Poezje)
9. Czesław MIŁOSZ *Zdobycie władzy* (wyczerpane)
10. Czesław MIŁOSZ *Dolina Issy* (wyczerpane)
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy* (wyczerpane)
13. Stefan KORBOŃSKI ... *W imieniu Kremla...* (wyczerpane)
14. Raymond ARON *Koniec wieku ideologii* (wyczerpane)
15. Graham GREENE *Moc i chwała*
16. Leo LIPSKI *Dzień i noc* (Opowiadania) (wyczerpane)

128 e

NOWOŚCI

BIBLIOTEKI « KULTURY »

INSTYTUT LITERACKI

Adres Redakcji : 91, Avenue de Poissy, 78-MAISONS-LAFFITTE, France

O. N. BURBA-KOCHAŃSKI

LIST DO EMIGRANTA (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 34)

Tom 198
Str. 128
12 F (\$ 2,50; £. 1,00)

● Obrazujący jak krajowa lewica widzi emigrację i jak wyobraża sobie z nią współpracę. (Grudzień 1970).

Tomasz STALIŃSKI

CIENIE W PIECZARZE

Tom 199
Str. 368
30 F (\$ 6; £. 2,50)

● Nowa powieść autora książki „Widziane z góry”, której tematem jest inteligencja polska w kraju. (Luty 1971).



ZESZYTY HISTORYCZNE

(Zeszyt 19-ty)

● Zawiera m.in.: Charles de Gaulle: *Bitwa o Wisłę; Co w rzeczywistości myślał gen. Weygand o bitwie o Warszawę*; gen. Sztymienko: *Powstanie Warszawskie. — Pamięci Heleny Radlińskiej — Wspomnienia*: M. Czapskiej, K. Bańskiego, W. Pełczyńskiej, J. Hoffmana, A. Bogusławskiej, Z. Gulińskiej-Mondschein, J. Różankowskiej. — *Polemiki — Książki — Listy do do Redakcji*. (Luty 1971).

Tom 200

18,50 F (\$ 4; £. 1.50)

Bogdan CZAYKOWSKI

POINT-NO-POINT

(Poezje)

(Marzec 1971).

Tom 201

Str. 96
10 F (\$ 2,25; £. 0.93)

POZNAŃ 1956 - GRUDZIEŃ 1970

(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 35)

● Tom zawiera m.in. następujące opracowania: *Kronika wydarzeń: Grudzień 1970 - Luty 1971. — Biurokratycznych rządów ciąg dalszy. — Sylwetki nowej ekipy. — Pozycja kościoła. — Poznań 1956*. (Kwiecień 1971).

Tom 202

Str. 228
18,50 F (\$ 4; £. 1.60)

Aleksander SOŁZENICYN

ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

● Przekład Józefa Łobodowskiego. (Kwiecień 1971).

Tom 203

Str. 480
40 F (\$ 8,50; £. 3.40)



Tom 204

Str.
18,50 F (\$ 4; £. 1.50)

Tom 205

Str.
25 F (\$ 5; £. 2.00)



Tom 206

Str.
10 F (\$ 2,25; £. 0.93)

Tom 207

Str.
9 F (\$ 2; £. 0.80)

ZAMAWIAM NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

..... Cena

..... Cena

..... Cena

..... Cena

..... Cena

..... Cena

..... Cena

ZAMAWIAM PRENUMERATĘ „KULTURY” NA OKRES

DLA

.....
Francja - F. 75; Zagranicą - F. 82 (lub \$ USA 15; \$ can. 15).

ZAMAWIAM PRENUMERATĘ „KULTURY” WRAZ Z „ZESZYTAMI HISTORYCZNYMI” NA

OKRES

DLA

.....
Francja - F. 110; Zagranicą - F. 120 (lub \$ USA 21; \$ can. 21).

WPLACAM NA FUNDUSZ „KULTURY”

Załączam czek na

.....
(podpis)



ZESZYTY HISTORYCZNE

(Zeszyt 19-ty)

● Zawiera m.in.: Charles de Gaulle: *Bitwa o Wisłę; Co w rzeczywistości myślał gen. Weygand o bitwie o Warszawę*; gen. Sztymienko: *Powstanie Warszawskie*. — *Pamięci Heleny Radlińskiej — Wspomnienia*: M. Czapskiej, K. Bażyńskiego, W. Pełczyńskiej, J. Hoffmana, A. Bogusławskiej, Z. Gulińskiej-Mondschein, J. Różankowskiej. — *Polemiki — Książki — Listy do do Redakcji*. (Luty 1971).

Tom 200
Str. 228
18,50 F (\$ 4; £. 1.50)

Bogdan CZAYKOWSKI

POINT-NO-POINT

(Poezje)

(Marzec 1971).

Tom 201
Str. 96
10 F (\$ 2,25; £. 0.93)

POZNAŃ 1956 - GRUDZIEŃ 1970

(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 35)

● Tom zawiera m.in. następujące opracowania: *Kronika wydarzeń: Grudzień 1970 - Luty 1971*. — *Biurokratycznych rządów ciąg dalszy*. — *Sylwetki nowej ekipy*. — *Pozycja kościoła*. — *Poznań 1956*. (Kwiecień 1971).

Tom 202
Str. 228
18,50 F (\$ 4; £. 1.60)

Aleksander SOŁZENICYN

ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

● Przekład Józefa Łobodowskiego. (Kwiecień 1971).

Tom 203
Str. 480
40 F (\$ 8,50; £. 3.40)



Tom 204
Str. 224
18,50 F (\$ 4; £. 1.60)

Witold GOMBROWICZ

TEATR

● Tom V-ty „DZIEŁ ZEBRANYCH”. Zawiera sztuki sceniczne: *Iwona księżniczka Burgunda* — *Ślub* — *Operetka*. (Maj 1971).

Witold GOMBROWICZ

DZIENNIK (I)

1953 - 1956

● Tom VI-ty „DZIEŁ ZEBRANYCH”. (Czerwiec 1971).

Tom 205
Str. 304
25 F (\$ 5; £. 2.00)



Tom 206
Str. 88
10 F (\$ 2,25; £. 0.93)

Władysław BIENKOWSKI

DROGI WYJŚCIA

(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 36)

● Trzecia praca autora „Motorów i hamulców socjalizmu” (Tom 183 „Biblioteki Kultury”) i „Kryzysu rolnictwa” (Tom 193 „Biblioteki Kultury”). (Czerwiec 1971).

Danuta Irena BIENKOWSKA

PIEŚŃ SUCHEGO JEZYKA

(Poezje)

(Lipiec 1971).

Tom 207
Str. 64
7 F (\$ 2; £. 0.85)

INSTITUT LITTÉRAIRE

91, Avenue de Poissy

78 MAISONS-LAFFITTE

France

ZAMAWIAM NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

..... Cena
 Cena
 Cena
 Cena
 Cena
 Cena

ZAMAWIAM PRENUMERATĘ „KULTURY” NA

OKRES

DLA

Francja - F. 75; Zagranicą - F. 82 (lub \$ USA 15;
 \$ can. 15).

ZAMAWIAM PRENUMERATĘ „KULTURY”
 WRAZ Z „ZESZYTAMI HISTORYCZNYMI” NA

OKRES

DLA

Francja - F. 110; Zagranicą - F. 120 (lub \$ USA 21;
 \$ can. 21).

WPLACAM NA FUNDUSZ „KULTURY”

Załączam czek na

(podpis)

Tom 208
 Str. 256
 18,50 F (\$ 4; £. 1.50)

Tom 209
 Str. 136
 14 F (\$ 3,25; £ 1.25)

ZESZYTY HISTORYCZNE

(Zeszyt 20-ty)

● Zawiera m.in.: W. Babińskiego: *Prasa angielska w sprawach polskich na przełomie lat 1943-1944*; St. Kirkora: *Próby dozbrotienia Polski i Ewakuacja Min. Skarbu w 1939 roku*; Józefa Becka: *Preliminaria polityczne do wojny 1939 roku i Komentarze do historii dyplomatycznej wojny 1939 roku*; A. Ciołkosza: *„Dzielnica żydowska” obozu w Jabłonninie oraz szereg innych artykułów, Relacje i Wspomnienia — Polemiki — Recenzje — Listy do Redakcji.* (Sierpień 1971).

Władysław BIENKOWSKI

SOCJOLOGIA KŁĘSKI

(Tragedia gomulłkowskiego czternastolecia)

(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 37)

(Wrzesień 1971).

17. Andrzej CHCIUK *Smutny uśmiech* (Opowiadania) (wyczerpane)
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
19. Czesław MIŁOSZ *Traktat poetycki* (wyczerpane)
20. Józef MACKIEWICZ ... *Kontra*
21. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (1953-1956)* (wyczerpane)
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkiem* (Francja 1940-1944), 2 tomy
23. Paweł ZAREMBA *Historia Stanów Zjednoczonych*
24. Aleksander HERTZ *Amerykańskie stronnictwa polityczne (Mechanizm demokracji)* (wyczerpane)
25. Daniel BELL *Praca i jej gorczyce* (Kult wydajności w Ameryce)
26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej* (Antologia)
27. Milovan DŽILAS *Nowa klasa wyzyskiwaczy* (wyczerpane)
28. Marek HŁASKO *Commentarze. Następny do raju* (wyczerpane)
29. Czesław MIŁOSZ *Kontynenty* (wyczerpane)
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956* (wyczerpane)
31. Stanisław REMBEK *W polu*
32. Howard FAST *Król jest nagi* (wyczerpane)
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany* (wyczerpane)
35. James BURNHAM *Revolucja menadżerska* (wyczerpane)
36. Tadeusz KATELBACH . *Rok złych wróżb* (1943)
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriliane widrodzennia* (Antologia)
38. Józef ŁOBODOWSKI .. *Pieśń o Ukrainie z tłumaczeniem na ukraiński Św. Hordyńskiego* (wyczerpane)
39. Tadeusz NOWAKOWSKI . *Syn zadumionych* (wyczerpane)
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 5)
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 6)
42. Marek HŁASKO *Hrbitowy* (wyczerpane)
43. Jan KOWALIK *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”*
44. Borys PASTERNAK ... *Doktor Żiwago* (Trzy wydania) (wyczerpane)
45. Wacław LEDNICKI *Glossy Krasińskiego do apologetyki rosyjskiej* (wyczerpane)
46. Abram TERC *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny?* (wyczerpane)
47. Tibor DÉRY *Niki* (wyczerpane)
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy Błąd* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 7)
49. Wacław IWANIUK *Milczenia 1949-1959* (Poezje) (wyczerpane)
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzina Europa* (wyczerpane)



(Zeszyt 20-ty)

● Zawiera m.in.: W. Babińskiego: *Prasa angielska w sprawach polskich na przełomie lat 1943-1944*; St. Kirkora: *Próby dozbrowienia Polski i Ewakuacja Min. Skarbu w 1939 roku*; Józefa Becka: *Preliminaria polityczne do wojny 1939 roku i Komentarze do historii dyplomatycznej wojny 1939 roku*; A. Ciołkosza: „Dzielnica żydowska” obozu w Jabłonie oraz szereg innych artykułów, *Relacje i Wspomnienia — Polemiki — Recenzje — Listy do Redakcji*. (Sierpień 1971).

Tom 208
Str. 256
18,50 F (§ 4; £ 1.50)

Władysław BIENKOWSKI

SOCJOLOGIA KŁĘSKI

(Tragedia gomułkowskiego cztertnastolecia)

(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 37)

(Wrzesień 1971).

Tom 209
Str. 136
14 F (§ 3,25; £ 1.25)

17. Andrzej CHCIUK *Smutny uśmiech* (Opowiadania) (wyczerpane)
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
19. Czesław MIŁOSZ *Traktat poetycki* (wyczerpane)
20. Józef MACKIEWICZ ... *Kontra*
21. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (1953-1956)* (wyczerpane)
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkiem* (Francja 1940-1944), 2 tomy
23. Paweł ZAREMBA *Historia Stanów Zjednoczonych*
24. Aleksander HERTZ *Amerykańskie stronnictwa polityczne (Mechanizm demokracji)* (wyczerpane)
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze* (Kult wydajności w Ameryce)
26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej* (Antologia)
27. Milovan DŽILAS *Nowa klasa wyzyskiwaczy* (wyczerpane)
28. Marek HŁASKO *Commentarze. Następny do rajy* (wyczerpane)
29. Czesław MIŁOSZ *Kontynenty* (wyczerpane)
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956* (wyczerpane)
31. Stanisław REMBEK *W polu*
32. Howard FAST *Król jest nagi* (wyczerpane)
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany* (wyczerpane)
35. James BURNHAM *Rewolucja menadżerska* (wyczerpane)
36. Tadeusz KATELBACH . *Rok złych wróżb* (1943)
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriliane wrodziennia* (Antologia)
38. Józef ŁOBODOWSKI .. *Pieśń o Ukrainie z tłumaczeniem na ukraiński Św. Hordyńskiego* (wyczerpane)
39. Tadeusz NOWAKOWSKI . *Syn zadżumionych* (wyczerpane)
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 5)
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 6)
42. Marek HŁASKO *Hrbitowy* (wyczerpane)
43. Jan KOWALIK „Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”
44. Borys PASTERNAK ... *Doktor Żiwago* (Trzy wydania) (wyczerpane)
45. Wacław LEDNICKI *Glossy Krasińskiego do apologetyki rosyjskiej* (wyczerpane)
46. Abram TERC *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny?* (wyczerpane)
47. Tibor DÉRY *Niki* (wyczerpane)
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy Błąd* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 7)
49. Wacław IWANIUK *Milczenia 1949-1959* (Poezje) (wyczerpane)
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzinna Europa* (wyczerpane)

51. Gustaw HERLING-GRU-DZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-CHMIELOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia*. Wyd. I, (wyczerpane)
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tłanka ziemi* (wyczerpane)
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Hadyackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 8)
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOLKOSZ *Róża Luksemburg a Rewolucja Rosyjska*
Róża Luksemburg *Rewolucja Rosyjska* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 9) (wyczerpane)
63. Bogdan CZAYKOWSKI i Bolesław SULIK *Polacy w Wielkiej Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej* (wyczerpane)
67. Andrzej STAWAR *Pisma ostatnie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 10) (wyczerpane)
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC *Fantastyczne Powieści* (wyczerpane)
71. I. IWANOW *Jest' li ziźń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I.*
73. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 1-szy)
74. Adam CZERNIAWSKI . *Topografia wnętrza* (Poezje) (wyczerpane)
75. Władysław BRONIEWSKI *Wiersze* (wyczerpane)
76. Józef CZAPSKI *Na nieludzkiej ziemi* (wyczerpane)
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosa do Stawka*
79. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze* (wyczerpane)
80. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 2-gi) (wyczerpane)
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-61)* (wyczerpane)
82. Milovan DŽILAS *Rozmowy ze Stalinem* (wyczerpane)
83. Jerzy MOND *6 lat temu...* (Kulisy Polskiego Października) (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 11-ty) (wyczerpane)
84. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 3-ci)
85. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*

87. Marek HŁASKO *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942)* Antologia
89. Witold JEDLIŃSKI *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 12-ty)
90. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 4-ty)
91. Abram TERC *Lubimow* (wyczerpane)
92. — *We własnych oczach*. Antologia współczesnej literatury sowieckiej
93. Gustaw HERLING-GRU-DZIŃSKI *Drukie przyjsie oraz inne opowiadania i szkice*
94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962* (wyczerpane)
95. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5-ty)
96. Marek HŁASKO *Brudne czyny. Wszyscy byli odwrócenii* (wyczerpane)
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach* (Poezje) (wyczerpane)
98. Bogdan CZAYKOWSKI . *Spór z granicami* (Poezje) (wyczerpane)
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia. Tom I/III.*
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
101. Jan BIELATOWICZ *Gaude Mater Polonia* (wyczerpane)
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6-ty)
104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
105. Wiktor SUKIENICKI . *Biała Księga* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 13-ty) (wyczerpane)
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewolucjonizm* (wyczerpane)
107. Abram TERC *Myśli niespodziewane*
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-my)
109. Wacław IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRU-DZIŃSKI *Inny świat* (wyczerpane)
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos*. Wyd. I, (wyczerpane)
113. Borys LEWICKYJ *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN *Olivia*
116. Czesław MIŁOSZ *Gucio zaczarowany* (Poezje) (wyczerpane)
117. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my)
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14-y)
120. Mikołaj ARŻAK *Odkupienie i inne opowiadania*

121. Arthur KOESTLER *Fragmenty wspomnień* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
122. Michel GARDER *Agonia reżymu w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
123. Piotr GUZY *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (wyczerpane)
124. — *Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 15-ty) (wyczerpane)
125. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 9-ty)
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*
127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16-ty) (wyczerpane)
128. Marek HŁASKO *Piękni, dwudziestoletni* (wyczerpane)
129. Borys LEWYCKYJ *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
130. Mihajlo MIHAJLOV ... *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
131. George J. FLEMMING .. *Polska mało znana*
132. J. KUROŃ i K. MODZELEWSKI *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17-ty) (wyczerpane)
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10-ty)
134. Wacław LEDNICKI *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI . *Sen — Cytaadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18-ty) (wyczerpane)
137. George J. FLEMMING .. *Czym to się je?* (wyczerpane)
138. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik III. Operetka* (wyczerpane)
139. Aleksander HERTZ *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11-ty)
141. Olga SCHERER *W czas morowy*
142. Alicja ZAWADZKA-WETZ *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 19-ty)
143. Bonifacy MIĄZEK *Ziemia otwarta* (Poezje)
144. Juliusz MIEROSZEWSKI *Polityczne Neurozy*
145. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 12-ty)
146. Aleksander HERTZ *Szkice o ideologiach*
147. Wiktor SUKIENNICKI . *Legenda i Rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 20-ty)
148. Tomasz STALIŃSKI ... *Widziane z góry* (wyczerpane)
149. Galina SIERIEBRIAKOVA *Huragan* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
150. Swietlana ALLILUJEWa *Dwadzieścia listów do Przyjaciela* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
151. Aleksander WEISSBERG-CYBULSKI *Wielka Czystka* (Seria „Archiwum Rewolucji”)

152. Leopold TYRMAND *Życie towarzyskie i uczuciowe* (wyczerpane)
153. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 13-ty)
154. Kazimierz WIERZYŃSKI *Czarny Polonez* (Poezje)
155. Czesław DOBEK *Drugi rzut i inne opowiadania*
156. Wacław IWANIUK *Ciemny Czas* (Poezje)
157. Leon MITKIEWICZ ... *Z gen. Sikorskim na obczyźnie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 21-szy)
158. Alicja IWANŃSKA *Świat przetłumaczony*
159. Piotr GUZY *Stan wyjątkowy*
160. Julian KULSKI *Stefan Starzyński w mojej pamięci* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 22-gi)
161. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 14-ty)
162. Andrzej SACHAROW .. *Rozmyślenia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 23-ci) (wyczerpane)
163. Jerzy ANDRZEJEWSKI . *Apelacja*
164. Eugenio REALE *Raporty. Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 24-ty)
165. Stanisław WYGODZKI . *Zatrzymany do wyjaśnienia*
166. Henryk GRYNBERG .. *Zwycięstwo*
167. — *Wydarzenia marcowe 1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 25-ty)
168. Dominique DE ROUX . *Rozmowy z Gombrowiczem*
169. Iwan KOSZELIWEK ... *Ukraina 1956-1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 26-ty)
170. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 15-ty)
171. Kazimierz WIERZYŃSKI *Sen mara* (Poezje)
172. — *Polskie Przedwiośnie. Dokumentów marcowych T. II — Czechosłowacja* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 27) (wyczerpane)
173. Józef MACKIEWICZ .. *Nie trzeba głośno mówić* (Powieść)
174. Andrzej BUSZA *Znaki wodne* (Poezje)
175. Gustaw HERLING-GRU-DZIŃSKI *Upiory rewolucji* (Eseje)
176. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 16-ty)
177. Czesław MIŁOSZ *Widzenia nad zatoką San Francisco*
178. Czesław MIŁOSZ *Miasto bez imienia* (Poezje)
179. Paulina PREISS *Biurokracja totalna*
180. — *Komunizm z ludzką twarzą* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 28-my) (wyczerpane)
181. Witold GOMBROWICZ . *Ferdydurke* (T. I. „Dzieł Zebranych”)
182. Franciszek KALINOWSKI *Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii* (1940-1945)
183. Władysław BIEŃKOWSKI *Motory i hamulce socjalizmu* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 29-ty)
184. — *Znasz-li ten kraj?* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 30-ty)
185. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 17-ty)
186. Witold GOMBROWICZ . *Trans-Atlantyk* (T. II. „Dzieł Zebranych”)

187. Aleksander SOŁŻENICYN *Krąg Pierwszy* T. I. i II. (wyczerpane)
188. Sławomir MROŻEK *Dwa listy i inne opowiadania*
189. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia* (T. III. „Dzieł Zebranych”)
190. Andrej AMALRIK *Czy Związek Sowiecki przetrwa do r. 1984?*
(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 31-y) (wyczerpane)
191. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos* (T. IV. „Dzieł Zebranych”)
192. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 18-ty)
193. Władysław BIEŃKOWSKI *Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej?* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 32-gi)
194. Andrzej BOBKOWSKI . *Coco de Oro*. Szkice i opowiadania
195. Juliusz MIEROSZEWSKI *Modele i praktyka*
196. Tadeusz NOWAKOWSKI *Happy-End*
197. — *Głosy stamtąd* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 33-ci)
198. O. N. BURBA-KOCHAŃSKI *List do emigranta* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 34-ty)
199. Tomasz STALIŃSKI ... *Cienie w pieczarze*
200. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 19-ty)
201. Bogdan CZAYKOWSKI. *Point-no-point* (Poezje)
202. — *Poznań 1956 - Grudzień 1970* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 35-ty)
203. Aleksander SOŁŻENICYN *Oddział chorych na raka*
204. Witold GOMBROWICZ . *Teatr* (T. V. „Dzieł zebranych”)
205. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (I) 1953-1956* (T. VI „Dzieł zebranych”)
206. Władysław BIEŃKOWSKI *Drogi wyjścia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 36-ty)
207. Danuta Irena BIEŃKOWSKA *Pieśń suchego języka* (Poezje)
208. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 20-ty)
209. Władysław BIEŃKOWSKI *Socjologia kłeski* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 37-my)
210. Jerzy STEMPOWSKI *Od Berdyczowa do Rzymu*
(Paweł Hostowiec)
211. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (II) 1957-1961* (T. VII „Dzieł zebranych”)

**CZY ZNASZ NASZE WYDAWNICTWA? — CZY SA
W TWOJEJ BIBLIOTECE? — CZY POSYŁASZ JE
PRZYJACIOŁOM DO KRAJU?**

**ZBLIŻA SIĘ BOŻE NARODZENIE.
PAMIĘTAJ, ŻE NAJLEPSZYM PREZENTEM JEST
KSIĄŻKA!**

Wolna trybuna

Odpowiedzialność i dyscyplina na autostradzie

Jak zwykle przed urlopem był taki nawał spraw i problemów zarówno w biurze jak i w domu, iż dopiero tu na Costa Brava, przejechawszy bez mała całą długość francuskich autostrad i już opalony na różowo od góry do dołu, zabrałem się do czytania podwójnego numeru *Kultury* (lipiec-sierpień 1971). Natrafiłem na artykuł pana Marka Głogoczowskiego pt. „Freedom on Freeway”, który wyprowadził mnie nieco z równowagi. Siedzę więc w zaciętej winem altanie i piszę.

Jednym z ważnych problemów obecnego świata jest brak zrozumienia spraw technicznych ze strony humanistów (używam tego pojęcia w szerokim znaczeniu obejmującym wszystkich nie-techników). Nie rozumieją oni maszyny i wypaczają relacje pomiędzy maszyną a człowiekiem. Możliwe, że są jeszcze głębsze problemy. Wydaje się, iż żeby rozumieć świat trzeba wziąć pod uwagę trzy czynniki: Bóg, człowiek i wszechświat, a w dzisiejszych czasach szczególnie należy uwzględnić maszynę, która jest częścią wszechświata. Czyli trzeba uporządkować współzależność pomiędzy czterema elementami: Bóg, człowiek, natura, maszyna. I na tym polega podstawowa trudność, gdyż cywilizacja zachodnio-europejska, a w szczególności humaniści, w ostatnich wiekach bez mała zagubili Boga i nie potrafili go zachować i przekazać następnym pokoleniom. Żydzi zdołali przechować w niesprzyjających warunkach pojęcie Boga jedyne, natomiast zachodnio-europejscy humaniści są w trakcie zatracania tego pojęcia i coraz częściej mówią o śmierci Boga. A jeżeli Bóg umarł lub jest w trakcie umierania, to nie ma innego wyjścia i należy przypisać cechy boskie albo jakiemuś człowiekowi, czy też grupie ludzi, albo naturze, albo maszynie. Na przykład autor omawianego artykułu pisze (str. 11), iż maszyna, w tym wypadku „komputer... ustala

autorytet „odgórny”, podobny do 'wszechwiedzącego' Boga". (Nawiasem mówiąc nie wiem co znaczą te cudzysłowy. Albo coś jest odgórne, albo nie jest, albo Bóg, czy też komputer jest wszechwiedzący, albo nie. Co to znaczy wszechwiedzący w cudzysłowie?).

Jako inżynier z wykształcenia i zawodu wiem, iż technicy żadnych boskich czy też ludzkich cech maszynom nie przypisują, natomiast czynią to humaniści, którzy maszyn nie znają i ich nie rozumieją, a jedynie rozglądają się za Bogiem, którego zgubili i myślą, iż może ulokował się On w maszynie. Technicy, chociaż też nie wiedzą gdzie jest Bóg i nie bardzo się nad tym zastanawiają, znają przynajmniej maszynę i wiedzą, iż to jedynie narzędzie zdolne do wykonywania ściśle określonej i kontrolowanej przez człowieka funkcji, dopóty dopóki maszyna działa sprawnie (o psuciu się maszyn za chwilę). Technicy nie mają wątpliwości, iż maszyna nie posiada osobowości i nie ma żadnych nawet potencjalnych szans wyboru. Jeżeli dostanie bodziec „a”, to zareaguje w sposób „b”, tak jak człowiek (konstruktor lub konstruktorzy, o nich za chwilę) zdecydował, a nie w sposób „b” lub „c” lub „d” etc., tak jak to potrafi osoba ludzka. Zaraz ktoś powie, iż człowiek jest uwarunkowany przez otoczenie lub przeszłość do powzięcia takiej decyzji, a nie innej. Tak, jest uwarunkowany, ale tylko w sensie prawdopodobieństwa. Można jedynie przewidywać, iż istnieje pewien procent prawdopodobieństwa, że na skutek bodźca „a” pewna grupa ludzi zareaguje w sposób „b”, inna w sposób „c”, a jeszcze inna w sposób „d”. Ale to jest tylko statystyczne prawdopodobieństwo. Człowiek ma potencjalne możliwości zareagowania w sposób inny niż przepowiadałyby najbardziej przeprowadzone badania statystyczne. Natomiast maszyna, dopóki działa sprawnie zawsze na bodziec „a” zareaguje w sposób „b”.

A oto mała ilustracja. Niedawno byliśmy świadkami wyborów w Wielkiej Brytanii. Wszystkie statystyczne biura badawcze, z wyjątkiem jednego, najmniejszego, przepowiadały zdecydowaną przewagę Labour Party. Tymczasem, późnym wieczorem w dniu głosowania sami wyborcy byli zaskoczeni, na skutek zapowiedzi biur statystycznych, tym czego dokonali. Conservative Party wygrała wybory dużą większością, większą niż ta, którą przewidywało te jedyne mające znikomą renomę, biuro statystyczne.

Tak, dopóki człowiek jest człowiekiem, dokładne przewidywanie jego reakcji jest niemożliwe i można jedynie operować prawdopodobieństwami. Sytuacja może się zmienić dopiero wówczas kiedy jedni ludzie zdołają zdeterminować w sensie stuprocentowego prawdopodobieństwa reakcje innych ludzi. Osobiście nie wierzę, żeby do tego doszło, ale gdyby doszło, to ci których

by determinowano nie byłoby już ludźmi. Byliby oni jakimiś nowymi istotami pozbawionymi cech człowieczego wyboru. Staliby się czymś pośrednim pomiędzy maszyną a oswojonym zwierzęciem. Ludźmi pozostałoby tylko ci, którzy decydowałiby o determinowaniu reakcji tych nowych istot. Zachodzi pytanie, czy takie nowe zdeterminowane istoty miałyby duszę nieśmiertelną, chyba nie, bo wolny, niezeterminowany w sensie stuprocentowym wybór jest zasadniczą cechą istot obdarowanych nieśmiertelną duszą.

Humanisci z jednej strony gloryfikują maszynę przypisując jej cechy osobowości boskiej lub ludzkiej, a z drugiej strony potępiają ją jako rzecz w zasadzie złą. Oba te elementy występują w omawianym artykule. Wysuwam twierdzenie, że maszyna, tak jak każde inne narzędzie — siekiera, widelec lub pług — w zasadzie jest rzeczą dobrą, tak jak wszystko to co istnieje we wszechświecie. O ile mnie pamięć nie myli w Księdze Genezis Starego Testamentu powiedziano, iż Bóg stworzył, spojrzął i stwierdził, iż „dobre było”. Człowiek nie stworzył niczego. Jedynie wykorzystuje on te możliwości, które istniały we wszechświecie od początku i od początku były dobre. Człowiek miał zawsze pełne prawa do korzystania ze wszechświata i skierowywał istniejące w nim możliwości albo ku celom dobrym, tzn. ku rozwiązywaniu, czyli likwidowaniu problemów tego świata dążąc do harmonii i ładu, albo ku celom złym, tzn. ku wzrastaniu problemów tego świata, czyli ku powiększaniu chaosu.

Nie widzę, tak jak widzi to autor, zasadniczego konfliktu między naturą i maszyną, gdyż oba te elementy należą do tej samej całości, do wszechświata, w którym na początku wszystko „było dobre”. Ale wszechświat poddany jest (w pewnych granicach) kontroli człowieka i jedynie człowiek może zachwiać równowagę pomiędzy naturą i maszyną. Może zachwiać, ale nie musi.

Wszechświat jest tak bogaty w możliwości już wykorzystane i jeszcze nie wykorzystane przez człowieka, iż przy dobrych chęciach i odpowiednim wysiłku rozwiązanie problemów wszechświata przez człowieka musi być możliwe. Jeśli jednak człowiek nie potrafi kontrolować spraw tego świata, równowaga zostanie zachwiana i nastąpi katastrofa, czyli upadek dawnej cywilizacji, czy też społeczeństwa, które nie potrafiło wykorzystać w odpowiedni sposób istniejących możliwości w celu zlikwidowania problemów tego świata. Wypadków tego rodzaju było już wiele.

Z tego, co autor pisze, jak również z innych źródeł, odnosi się wrażenie, iż obecnie w Stanach Zjednoczonych równowaga zaczyna się chwiać. Jeżeli Amerykanie potrafią wykorzystać istniejące środki, to dadzą sobie radę i z zatruciem wody i z powietrzem, i z samochodami, i z parkowaniem, i z dochodem narodowym

1 z zachowaniem natury. Środki techniczne dają ogromne możliwości rozwiązywania problemów tego świata, należy je tylko odpowiednio skierować i wykorzystać co leży całkowicie w ludzkiej mocy i do tego ingerencja boska nie jest potrzebna. Środki techniczne odpowiednio użyte nie muszą niszczyć natury. Dajmy na to polucja dlatego przybrała groźne rozmiary, iż nie kontrolowano zanieczyszczeń i nie użyto środków technicznych ograniczających wszelkiego rodzaju wylęwy.

Na przykład przez lata, jeżeli nie wieki, spalano w Londynie bez żadnej kontroli wielkie ilości węgla i stąd głównie pochodziły przysłowiowe londyńskie mgły. Od kilkunastu lat coraz intensywniej wprowadza się *smokeless zones* (tereny bezdymne) przez użycie innych środków energetycznych takich jak elektryczność, gaz, czy olej, lub bezdymnych produktów węgla i skutek jest ten, iż tradycyjne jesienne mgły i *smog* właściwie w ostatnich latach znikły.

Odnosi się wrażenie, iż autor artykułu jest zdania, iż rozwiązanie obecnych problemów leży w cofnięciu się wstecz do prymitywu technicznego. Rozumowanie to jest z pewnością błędne. Ludzkość nie wyrzeknie się dobrowolnie zdobyczy technicznych. Postęp techniczny może być zahamowany jedynie przez kataklizm wynikły z wadliwej kontroli ludzkiej procesów tego świata. Problemy tego świata należy rozwiązywać właśnie środkami technicznymi. Należy skierować umysły i środki finansowe w celu znalezienia odpowiedzi na istniejące problemy, a z pewnością środki zaradcze znajdą się, gdyż granice możliwości technicznych nie zostały jeszcze zbadane i należy przypuszczać, iż są jeszcze daleko od obecnego stanu rozwoju technicznego. Stale jednak należy mieć na uwadze hierarchię ważności — Bóg, człowiek, materia.

Zautomatyzowane maszyny powinny wykonywać wszystkie powtarzalne i cykliczne prace, zarówno fizyczne jak i umysłowe. Kontrola funkcji, w których wszystkie sytuacje można z góry przewidzieć, powinna stopniowo być przekazywana komputerom. Ludzie powinni jedynie wykonywać jednorazowe i niepowtarzalne czynności zarówno fizyczne jak i umysłowe, jak również te czynności, których nie da się zaprogramować, gdyż ingerencja ludzkiego umysłu, woli i ludzkich zdolności do spekulacji konieczna jest w czasie wykonywania danej czynności. Zasady te należy wprowadzać w życie stopniowo w miarę opłacalności finansowej automatyzowania poszczególnych procesów i stopniowo należy uwalniać ludzi od mechanicznej, powtarzalnej i monotonnej pracy, którą może wykonać maszyna.

Głogoczowski pisze (str. 11): — „Komputer... degraduje wartość pracy umysłowej w zawodach, które jeszcze kilka lat temu posiadały duży prestiż”. Niewątpliwie jest to wyraz obciążenia

jakie autor wyniósł z prymitywnej technicznie Polski, gdzie byle urzędnik zliczający kalesony sprzedane w powiecie w ostatnim roku nosi zaszczytny tytuł pracownika umysłowego. W Polsce, tak jak i w innych krajach opóźnionych w rozwoju technicznym, kontrola produkcji urządzeń elektronowych, która w pierwszym rzędzie polega na monotonnym powtarzaniu tych samych pomiarów, wykonywana jest często przez inżynierów z wyższym wykształceniem. Jest to praca nudna, cykliczna, nadająca się do zautomatyzowania. Wobec tego w krajach bardziej zaawansowanych technicznie wprowadza się coraz szerzej, na zasadzie opłacalności, zautomatyzowaną kontrolę wyprodukowanych aparatów elektronicznych. Czy to jest degradacja wartości pracy umysłowej? Wręcz przeciwnie, jest to wyzwanie człowieka od monotoności i okazja do skierowania go do takich zadań, w których każdy krok jest nowy i wymaga ludzkiego intelektu. Dajmy na to do zadań konstruktorskich lub organizacyjnych.

W tym miejscu warto by może nadmienić, iż w przemyśle elektronicznym problemy techniczne nie są wcale najtrudniejsze. W tej dziedzinie fakty można względnie łatwo ustalić i zagadnienie zdefiniować. O wiele trudniejsze, a jednocześnie wymagające wiadomości technicznych, są sprawy organizacyjne, personalne i finansowe. Możliwe, iż wkrótce sprawy techniczne, przynajmniej częściowo, będą przekazywane maszynom do rozwiązania, ale upłynie jeszcze dużo czasu zanim będzie automatyzować finanse, organizację i personalia.

Z kolei nieco więcej o komputerach. Publicyści kochają się w przesadzie i sensacji. W prasie brytyjskiej zawodowej i niezawodowej wypisywano przed laty banialuki o komputerach nazywając je *electronic brain*, czyli mózg elektroniczny. Cóż to za mózg, który nie jest zdolny do wyboru i spekulacji poza te granice, które inny mózg — mózg ludzki — mu narzucił. W ostatnich latach prasa jednak przycichła. Dowiedzieli się wreszcie, iż komputer to tylko suwak do n-tej potęgi, który wykona jedynie to, co mu człowiek każe. A oto teraz znowu Głogoczowski wystąpił ze spóźnioną gloryfikacją komputera (a jednocześnie z pośpiechaniem go) nadając mu ludzkie, a nawet boskie cechy. Tymczasem komputer to maszyna do liczenia, udoskonalona, szybsza niż człowiek, bardziej pamiętliwa niż człowiek, ale *tylko* maszyna do liczenia, niezdolna do żadnej decyzji, której człowiek nie narzuci jej i do żadnej spekulacji, której człowiek nie każe jej przeprowadzić. To takie szczoty niepomiernie udoskonalone przez człowieka. Maszyna genialna, ale tylko maszyna nie posiadająca własnej osobowości. Genialna, ale mająca pewne ograniczenia.

Komputer nadaje się najbardziej do dużej ilości obliczeń może nawet bardzo skomplikowanych, ale identycznych, tzn. obliczeń

bardzo podobnych, kiedy procedurę obliczeniową (wzory) jedynie modyfikuje się pomiędzy jedną grupą danych, a drugą, a nie zmienia się zasadniczo. Komputer również nadaje się do obliczeń indywidualnych, o ile znana jest człowiekowi przybliżona odpowiedź i o ile pisanie programu do jednego obliczenia (o programach nieco później) opłaca się finansowo. Mogą być wypadki, w których taniej jest przeprowadzić pojedyncze obliczenie innymi metodami. Natomiast używanie komputera do obliczeń indywidualnych, w których rząd wielkości odpowiedzi nie jest człowiekowi znany, jest często niewskazane, gdyż nie wiadomo, czy otrzymany wynik jest prawdziwy.

Komputer jest bardzo wygodnym magazynem informacji pod warunkiem, iż człowiek odpowiednio wykorzysta te możliwości, zapisze wiadomości, zakataloguje i umożliwi wywołanie ich kiedykolwiek może to być potrzebne. I ma się rozumieć pod warunkiem, iż magazynowanie informacji w komputerze jest finansowo opłacalne.

Z kolei dochodzimy do pisania programów. Głogoczowski pisze (str. 11): — „decyzja o mym stanie psychicznym została zaprogramowana przez jakiegoś anonimowego technika”. To jest jakieś grubsze nieporozumienie. Normalnie programowanie oznacza jedynie tłumaczenie dyrektyw operacyjnych, dawanych komputerowi z normalnego języka ludzkiego (powiedzmy angielskiego), wraz z wzorami matematycznymi na taki czy inny język komputera (jest ich kilka). Tę funkcję tłumacza i jedynie tłumacza, rzeczywiście może spełnić anonimowy technik (*programmer*). Natomiast zachodzi pytanie zasadnicze, kto decyduje i układa dyrektywy potrzebne do programowania? Przecież nie anonimowy technik, a specjalista w danej dziedzinie — lekarz, inżynier, socjolog, ekonomista — który wie jakie dane posiada, jakie obliczenia należy przeprowadzić, jakie informacje należy zmagazynować na przyszłość, jakie dane i w jakiej formie należy otrzymać i jak te dane interpretować. Może się zdarzyć, iż specjalista sam układa program komputerowy, czyli sam z miejsca pisze dyrektywy w języku komputera. Nie zmienia to jednak faktu, iż specjalista, inicjator obliczeń i interpretator wyników jest osobą centralną, a nie technik-tłumacz, czy też maszyna-komputer.

Na tym tle twierdzenie Głogoczowskiego (str. 12), iż: — „gadanie że Nixon to, Nixon tamto, staje się zupełnie próżne, bo to tak jakby kwestionować wyroki maszyny, która i tak wie lepiej, a jakakolwiek dyskusja z nią jest niemożliwa z braku naszej kompetencji” — jest całkowitym nieporozumieniem. Decyduje, albo też unika decyzji człowiek, i tylko człowiek, u steru, albo grupa ludzi wpływowych, a komputer może jedynie dostarczyć im informacji. Jeżeli będą decydowali poprawnie, dane spo-

łeczeństwo będzie trwało, a jeżeli popełnią cały szereg kardynalnych błędów, albo po prostu nie będzie im się chciało decydować, to wynikną konflikty, które mogą doprowadzić do upadku danej społeczności, bez względu na to czy używają komputerów w celu zbierania informacji potrzebnych do decyzji, czy nie.

W zasadzie komputery poprawnie użyte powinny raczej pomóc w osiągnięciu słusznej decyzji. Jednak istnieje pewne niebezpieczeństwo, iż ogromna ilość informacji, jaką dzięki komputerom można otrzymać, może być zbyt wielka do strawienia przez umysły ludzi pobierających decyzje. Może nastąpić również przesadne uwypuklenie dziedzin podatnych do obliczeń komputerowych, a zminimalizowanie impoderabiliów które, choć nieuchwytnie metodą komputerową, są niemniej ważne. Sytuacja tego rodzaju może doprowadzić do wadliwej decyzji. Ale po to człowiek jest człowiekiem, żeby potrafił odróżnić ziarno od plew, a jeżeli nie potrafi, to poniesie konsekwencje. Komputer może dostarczyć jedynie tego, czego człowiek zażąda.

Głogoczowski pisze o komputerach (str. 13): — „maszyna... bezbłędna, posiada logikę i wiadomości nieporównanie większe ode mnie”. Po pierwsze, jeżeli posiada większe wiadomości, to nie *per se*, a dlatego że inny człowiek kazał komputerowi je zmagazynować. Po drugie, rzeczywiście posiada logikę, czyli logiczny system liczenia i pamiętania wbudowany w niego przez człowieka, ale jest bezbłędna tylko do czasu, a mianowicie do momentu w którym zepsuje się, czyli krótko mówiąc nawali! Tej sprawie czyli niezawodności (*reliability*) urządzeń elektronicznych chcę poświęcić nieco więcej miejsca.

Do niedawna inżynierowie lądowi i wodni, jak również mechanicy starali się zapewnić niezawodność swoich konstrukcji przez wyprowadzenie współczynników bezpieczeństwa. Wyglądało to tak, iż przeprowadzano obliczenia potrzebnej wytrzymałości i dla bezpieczeństwa mnożono wynik przez powiedzmy sześć lub siedem. Ostatnio, głównie ze względów oszczędnościowych, zredukowano współczynnik bezpieczeństwa do cyfr tak niskich jak jedna przecinek sześć i nic dziwnego, że coraz to słyszy się o zawaleniu się domów lub mostów w tym lub innym kraju.

W elektronice od samego jej zarania istniała tendencja do wykorzystywania elementów elektronicznych do samych granic

1. Polski język nie posiada odpowiednika angielskiego *failure*. Obecnie w kraju używa się słowa awaria na określenie wszelkiego rodzaju nawałanek, nie tylko okrętowych, jak przed wojną. Słowa awaria używa się obecnie w polskim w podobny sposób jak w rosyjskim, chociaż w rosyjskim *failure* jest zwykle określaną jako *otkaz*, przynajmniej jeśli chodzi o sprzęt elektroniczny. Ponieważ w moim uchu awaria brzmi o wiele gorzej niż kolokwialna nawałanka i nawałać używam ich w tych notatkach nawet bez cudzysłowów.

możliwości i współczynników bezpieczeństwa właściwie nie stosowano. Przemawiało za tym ograniczenie objętości i wagi aparatów elektronicznych, jak również zmniejszenie konsumpcji z zasilania elektrycznego. W miarę wzrostu ilości sprzętu elektronicznego jego nawalanki stały się zbyt częste, co powodowało straty finansowe jak również straty w ludziach. W tej sytuacji kilkanaście lat temu zaczęto interesować się niezawodnością, czyli pewnością działania sprzętu elektronicznego, w sposób naukowy najpierw w Stanach Zjednoczonych, a później między innymi w Wielkiej Brytanii i w Związku Sowieckim.

W wyniku badań przeprowadzonych ustalono, iż z natury rzeczy urządzenia elektroniczne nawalają i to nawalają w czasie według ustalonego prawa, tzw. *Poisson distribution* (po polsku to się chyba nazywa szeregiem *Poisson*)! Wobec tego prawdopodobieństwo nawalenia można przewidzieć i w przybliżeniu obliczyć. Można też dążyć do ulepszenia niezawodności, czyli do zmniejszenia prawdopodobieństwa nawalenia w czasie przez odpowiednie zmiany konstrukcyjne lub dublowanie elektronicznych systemów.

Niezawodność określa się jako przeciętne prawdopodobieństwo nawalenia w danym czasie, a najczęściej w czasie pojedynczego zadania (*mission*). Dajmy na to w armii lądowej na niższym szczeblu dowodzenia pojedyncze zadanie może trwać 100 do 200 godzin operacyjnych, a jednocześnie 10 % prawdopodobieństwa nawalenia w tym czasie jest do przyjęcia w warunkach wojskowych. Cel taki jest w tej chwili względnie łatwo osiągalny i zostaje na ogół spełniony.

Inaczej wygląda sprawa, dajmy na to, w lotach planetarnych, gdzie przypuszczam (nie znam dokładnych cyfr) w ciągu 100 do 200 godzin operacyjnych można dopuścić zaledwie 0,01 % prawdopodobieństwa nawalenia. Tego rodzaju rząd niezawodności uzyskuje się metodą tzw. *triple redundancy*, która polega na tym, że trzy identyczne systemy elektroniczne są zmontowane w ten sposób, iż całość działa sprawnie w trzech następujących wypadkach: jeżeli wszystkie trzy systemy działają sprawnie, jeżeli dwa działają sprawnie, a jeden — obojętnie który — jest nawalony i jeżeli tylko jeden działa sprawnie, a dwa — obojętnie które — są nawalone. Ma się rozumieć koszt takich systemów jest ogromny.

Wszystko to napisałem po to, żeby wykazać, iż z zasady, z natury rzeczy, urządzenia elektroniczne nawalają, czyli nie można komputera uważać, jak to czyni Głogoczowski, za maszynę bezbłędną jeżeli weźmie się pod uwagę skalę czasu, czyli ilość godzin operacyjnych komputera. Są komputery tańsze, które nie alarmują operatora w wypadku nawalanki i są inne, droższe,

które alarmują w wypadku zasadniczych nawalank. Bardzo wątpię, żeby istniały takie komputery, czy systemy komputerów w normalnym zastosowaniu, które miałyby — statystycznie rzecz biorąc — zero prawdopodobieństwa nawalenia bez zaalarmowania operatora.

Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego jak wygląda praca konstruktorska w dziedzinie elektroniki. Na przykład Głogoczowski pisze (str. 10): — „sama jego (komputera) konstrukcja przypisywana jest... ogromnemu i ciągle powiększającemu się zespołowi anonimowych specjalistów, z których każdy poświęca swe życie konstrukcji jakiegoś elementu tej maszyny, nie mając i nie mogąc mieć pojęcia jaki jest ogólny cel jej zastosowania”. Jeżeli tak wyglądałaby praca konstrukcyjna, to na pewno komputerów nigdy by nie zmontowano. Konstruktor „poświęca życie nie mając pojęcia”? Już lepiej nie mówmy kto ma pojęcie, a kto nie ma.

Najpoważniejsze problemy konstrukcyjne wynikają nie w czasie pracy nad poszczególnymi elementami, ale w chwili złożenia wszystkich podzespołów w jedną całość. Wówczas dopiero wychodzą na światło dzienne wszystkie te najtrudniejsze problemy, których nie można było rozpracować w stadium podzespołów jak również te, które zostały przeoczone w początkowym stadium studiów konstrukcyjnych. Problemy wynikłe na skutek uruchomienia całości aparatury lub systemu mogą wyeliminować tylko ci z zespołu konstrukcyjnego, którzy są świadomi działania całości urządzenia lub systemu konstrukcyjnego. Zarówno początkowa koncepcja każdego urządzenia lub systemu elektronicznego, jak również wszystkie stadia konstrukcyjne są całkowicie i świadomie kierowane przez człowieka. Błędy konstrukcyjne mogą wyeliminować wówczas kiedy człowiek nie panuje i nie kontroluje procesu konstrukcyjnego w szczegółach lub też w całości zagadnień.

Niesposób w krótkim szkicu wakacyjnym pokryć wszystkie zastrzeżenia i sprostować wszystkie nieścisłości występujące w artykule Głogoczowskiego. Ogólnie rzecz biorąc sprawia on przygnębiające wrażenie. Uprzednie pokolenia musiały popełnić poważne błędy, polegające prawdopodobnie głównie na zbyt przesadnym nacisku na osiągnięcia czysto materialne, skoro ludzie młodzi mogą myśleć kategoriami przedstawionymi przez Głogoczowskiego. Potępia on istniejący stan rzeczy i ustosunkowuje się negatywnie do demokracji, którą nazywa tyranią większości (str. 21). Ma się rozumieć demokracja nie jest idealnym systemem rządzenia, ale jak dotychczas najlepszym jaki ludzkość zdołała wypracować po wielu wiekach wysiłków i najbardziej stosownym dla zaawansowanych technicznie społeczeństw. Jeżeli Głogoczowski odrzuca tyranię większości, to jaką tyranię propo-

nuje w jej miejsce? Częściową odpowiedź na to pytanie znajdujemy w zakończeniu artykułu. Pożądany stan w pojęciu autora, to prymitywne społeczeństwo (w jego wypadku amerykańskie), chociażby nawet rządzone przez „tyranię jednej partii” i „mające tysiąc idiotycznych przepisów” (str. 22), w którym jednak ludziom pokroju autora przysługują specjalne przywileje. Mogą oni „stanąć samochodem na środku drogi i przekraczać do woli przepisy szybkości” (str. 22).

Grupa ludzi, do której należy autor, marzy o tym, żeby stać ponad prawem krępującym prymitywne społeczeństwo, a jednocześnie mieć „nie skrępowaną odpowiedzialnością fizjologiczną wolność życia” (str. 22). Czyli krótko mówiąc, niech rządzi kto chce, niech zdychają uciemiężeni, byle byśmy my, młodzi (a właściwie już starzejący się młodzieńcy bliscy trzydziestki), mieli całkowitą swobodę zachowania się (i prawdopodobnie środki po temu), a jednocześnie żadnej odpowiedzialności. Postawa taka jest pewnego rodzaju *novum*. Dotychczas różne grupy żądały dla siebie uprzywilejowanego stanowiska z tytułu rasy, światopoglądu, pochodzenia, wykształcenia, czy posiadanego majątku, ale jednocześnie dążyły one do objęcia władzy, czyli w mniejszym lub większym zakresie brały na siebie odpowiedzialność za losy całości. To była postawa normalnego, ludzkiego egoizmu. Obecna postawa, głoszona przez autora, jest wyidealizowanym egoizmem, w którym występują jedynie przywileje bez żadnych obowiązków i to dopiero nazywa Głogoczowski „fizjologiczną wolnością życia”.

Jazda autostradą w Stanach Zjednoczonych niewiele różni się od jazdy po autostradach europejskich. Toteż, wbrew temu co twierdzi Głogoczowski, w większości krajów są ograniczenia szybkości (Niemcy Zachodnie są jednym z niewielu wyjątków), toteż nie można jechać jak kto chce, z lewa na prawo lub *vice versa*.

Głogoczowski nie zdaje sobie sprawy, iż wolność nie jest pojęciem oderwanym i może być stosowana jedynie równolegle z pojęciem odpowiedzialności i dyscypliny osobistej, co jest konieczne do zabezpieczenia równomiernego rozłożenia wolności na — w miarę możliwości — wszystkich ludzi. Autor pojmuje wolność tak jak zdezorientowana część proletariatu rosyjskiego po rewolucji październikowej, tzn., że każdemu proletariuszowi wszystko wolno. Stosowanie takiego rodzaju pojęcia wolności może prowadzić do katastrofy.

Na tym kończę te wakacyjne notatki, pozostawiając bez komentarzy wiele innych spaczonych twierdzeń autora, a m.in. i to, że w Polsce degradacja ludności rozpoczęła się z powodu mechanizacji (str. 22).

Muszą istnieć ogromne luki i zniekształcenia w systemach

edukacyjnych skoro ludzie z uniwersyteckim wykształceniem mogą mieć tak wykoszlawione pojęcia w dziedzinie zasadniczych zjawisk tego świata. Pokolenia starsze, które wprowadziły te systemy edukacyjne, musiały popełnić poważne błędy zniekształcające podstawowe relacje pomiędzy Bogiem, człowiekiem, naturą i maszyną. Na tych pokoleniach w pierwszym rzędzie ciąży odpowiedzialność za zdezorientowanie wśród ludzi młodszych.

Z. S. SIEMASZKO

La Escala, Costa Brava, sierpień 1971

New York, 22 lipca 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dwa artykuły zamieszczone w lipcowo-sierpniowym numerze *Kultury* dotyczą tematyki podobnej: zniewolenia, w jakie popadli Amerykanie w wyniku niekontrolowanego postępu cywilizacji. Temat bardzo ważny. Chyba jeden z najważniejszych. W liście chciałbym zająć się tylko pierwszym artykułem — p. Głogoczowskiego, ze względu na jego wybitnie niepoważną treść. Nie znaczy to, abym uważał, że o kryzysie cywilizacji należy pisać zawsze ze śmiertelną powagą. Broń Boże. Można by np. tak jak Stanisław Lem napisać opowiadanie fantastyczne o tym jak to ludzie zostali upupieni przez komputery. Można napisać zjadliwą satyrę na temat: safandula profesor — versus sprytny komputer, albo felietonowym stylem zrobić kilka dowcipów. Czytelnicy będą się wówczas śmieli (albo — nie), będą podziwiali imaginację autora (albo — nie). W każdym razie rzecz będzie ustawiona właściwie, każdy zrozumie, że autor opowiadania czy satyry nie chce o niczym serio informować czytelników.

Zadnej z tych dróg nie wybrał p. Marek Głogoczowski. Autor przedstawia tragizm obecnej sytuacji w Stanach Zjednoczonych najzupełniej serio, ale wprowadza w nią czytelnika przy pomocy swobodnej maniery obserwatora-trzpiota, który nie bardzo dba o prawdę, przeinacza fakty, aby przedstawić całą rzecz w kształcie bardziej okrągłym i zwartym, a przez to — bardziej beznadziejnym. Niektóre z tych przeinaczeń chciałbym sprostować.

Komputer w pölliterackiej wizji Marka Głogoczowskiego jest czymś w rodzaju molocha, który degraduje człowieka, ponieważ pozbawia go najcenniejszej rzeczy — myślenia. To znaczy myśleć można, ale nie warto, bo komputer robi to lepiej. „Komputer ma jedną cechę — która mnie niepokoi — pisze p. Głogoczowski — którą, jak dotąd, przypisywali sobie bogowie, papieże tudzież partia komunistyczna: on wie lepiej ode mnie. I nie myli się”. Na początku małe sprostowanie dotyczące pierwszego zdania. Żeby lepiej wiedzieć od Marka Głogoczowskiego nie trzeba być koniecznie ani papieżem ani partią komunistyczną. Ale to w końcu drobiazg zwłaszcza, że drugie zdanie jest prawdziwe. Rzeczywiście komputery się nie mylą. Chyba, że są zepsute. Jeśli nie — to przeprowadzają bardzo skomplikowane operacje, ale wyłącznie takie, które odpowiadają sformalizowanym czynnościom umysłu (np. zastosowanie reguł prawdopodobieństwa w oparciu o dostarczone dane lub rozwiązanie układu równań n-tego stopnia z k-liczbą niewiadomych, obliczanie toru satelitów itp.). Komputery nie mają wyobraźni, nie operują pojęciami ogólnymi, nie mogą rozwiązać ogólnej teorii pola, nie mogą napi-

sać powieści ani nawet wymyślać dowcipów, choćby „programer” miał Bóg wie jakie poczucie humoru. To są rzeczy ogólnie znane — a już najlepiej p. Markowi Głogoczowskiemu. Po cóż więc pisze, że „komputer nie tylko ustala autorytet odgórny podobny do 'wszechwiedzącego'” skoro sam w innym miejscu uczciwie informuje, że „... nie może posiadać żadnej wyobraźni i myślenia, innych niż zaprogramowany postęp”? Najwyraźniej świadomie i z pełną wdzięku przekorą praktykuje mowę-trawę.

To prawda, że „komputer degraduje wartość pracy umysłowej w zawodach, które kilka lat temu posiadały duży prestiż”, ale to samo można było powiedzieć kilkadziesiąt lat temu o zwykłym arytymetrze, który szybko i bezbłędnie wykonuje cztery działania. Zdegradował rachmistrza. Tak jak kiedyś maszyna do pisania zniszczyła rację bytu ludzi posiadających umiejętność pięknego pisma, co w zawodzie urzędniczym niegdyś bardzo się liczyło.

W istocie komputery wykonują tzw. czarną robotę umysłu, tj. taką którą dotychczas była czasochłonna, męcząca i nie wymagająca wyobraźni. W analogicznym sensie w jakim zwykle przed-elektroniczne wynalazki eliminowały pracę fizyczną, czyniąc życie łatwiejszym. Ponieważ jednak ostatnio rzeczy poszły za daleko, doprowadzając już całkiem wyraźnie do konfliktu z pewnymi naturalnymi skłonnościami natury ludzkiej stworzonej zapewne do wysiłku umysłowego i fizycznego, sytuacja stała się krytyczna, a jeśli chodzi o historię ludzkości — bezprecedensowa. W tym kryzysie, w obliczu którego stoją w pierwszym rzędzie kraje przemysłowo-zaawansowane, na komputery nie spada bynajmniej większa „odpowiedzialność” niż na inne „gadgets”. Odwrotnie, wydaje się, że narodom bardziej zaawansowanym w większym stopniu grozi atrofia mięśni niż mózgow.

Marek Głogoczowski, zamiast przedstawić sprawę w jej rzeczywistych kształtach i tak dostatecznie niepokojących, wolał je zdemontować. Ukazał Amerykę w postaci pobożowska, po którym wraz z komputerami grasują rozmaite wytwory supercywilizacji, doprowadzając jej elitę umysłową do stanu cięłego ogłupienia, a zamieniając resztę mieszkańców w stado nudnych, jednakowo myślących i jednakowo zachowujących się baranów. To wszystko napisane jest zgrabnie, ze swadą i dlatego stwarza sugestię prawdy. Rzeczywistość jest jednak inna. Nieprawda, że Amerykanie są podobni do siebie. To znaczy nie są do siebie bardziej podobni niż Francuzi, Niemcy, Hindusi, Egipcjanie, Anglicy, Wschodnio-Afrykanie, Persowie i Rosjanie. Poza tym że większość z nich chodzi na lunch między 12-tą i 2-gą i że kupują gotowe wyroby, bardzo się od siebie różnią. Niektórzy cenią pieniądze, a inni — wcale. Jedni odkładają pieniądze do banku, a inni — podkładają pod banki bomby. Jedni starają się dorobić — inni leżą brzuchem do góry na trawnikach, uważając, że nie warto pracować, bo i tak dobry Bóg, działając za pośrednictwem *welfare* nie da im zginąć. Jedni chcą koniecznie kogoś uszczęśliwić i na coś nawracać, a drudzy mają wszystko w nosie. Poza tym spora liczba obywateli USA zajmuje się protestowaniem. Między innymi protestują przeciw supercywilizacji. Nie dopuszczają do zakładania w wielu miejscach elektrowni. Sprzeciwili się, i to skutecznie, ponaddwukrotowej komunikacji lotniczej w Ameryce, która na skutek tego została w tej dziedzinie zdystansowana przez ZSSR i Francję. Poza tym sprzeciwili się budowaniu rurociągu naftowego na Alasce, ponieważ mogło to zaszkodzić roślinności. Armia protestujących liczy w USA z pewnością milion lub więcej, a więc nie służy się, jak sugeruje p. Głogoczowski, z pięknoduchów, ponieważ pięknoduchy z racji swego powołania występują pojedynczo — nie w masie. W ogóle sędzę, że różnorodność gatunku ludzkiego jest większa w USA niż w Polsce bo obniżanie konsumpcji bardziej upodabnia ludzi do siebie niż jej nadmiar. Jeśli ludziom jest czegoś chronicznie brak, co jest potrzebne do życia, to w kółko łamią sobie głowy na podobny temat i ciągle o tym

samym mówią. Zdaje się, że jeszcze w większym stopniu, choć może z nieco innych powodów, widać to na przykładzie Chińczyków. Nie mają ani komputerów, ani samochodów, a supercywilizacja konsumpcyjna na razie im nie grozi. Być może, że mają oni wiele spartańskich cnót, które nieznanne są w Ameryce, ale przy tym wszystkim są do siebie bardzo podobni i bardzo podobnie myślą. Niewykluczone, że jeśli chodzi o to drugie, to oczernia ich własna prasa, ale w takim razie udają, że tak samo myślą, co na jedno wychodzi, bo w zachowaniu różnicy nie widać. Inna sprawa, że to wszystko, choć podwaja wnioski p. Głogoczowskiego, nie osłabia wagi jego osobistych doświadczeń. Może np. ja jakimś dziwnym sposobem spotykałem odmienny gatunek ludzi, a on w Ameryce „etknął się wyłączenie z osobnikami nudno-siebie-podobnymi. Nieprawdopodobne, choć możliwe. Ale p. Markowi Głogoczowskiemu nie bardzo można wierzyć, bo oto w innym miejscu twierdzi, że „musi napisać nudny doktorat, którego dobrowolnie by nie przeczytał, bo irracjonalnie zostałby poza nawiasem społecznym”. Nieprawda. Wcale nie musi. Może postarać się o posadę windziarza i rzucić w diabły karierę naukową i wcale nie będzie poza nawiasem społecznym. Będzie tylko poza nawiasem świata naukowego, czego sobie jednak najwyraźniej nie życzy. Po prostu kusi go awans społeczny, tak jak kiedyś coś tam kusilo św. Antoniego czemu jako święty się oparł. Nie wymagam od Marka Głogoczowskiego, żeby był świętym, ale niech nie błaguje. Pokusa i szansa — to jedna sprawa, a przy mus — druga. Poza tym niech p. Głogoczowski nie pisze, że jak się jedzie amerykańską autostradą i się zboczy, to obowiązkowo trafi się do budy z hamburgerami lub na stację benzynową, bo to też nieprawda. Można trafić do budy, ale można też zboczyć do jakiegoś miasteczka, a dalej trafić na tzw. *dirty road* czyli po polsku — szosę i zajechać do lasu. Nie trzeba też koniecznie przekraczać granicy meksykańskiej, aby zostawić samochód włączyć się bez celu. W Ameryce mnóstwo ludzi młodych i w średnim wieku włączy się bez celu. Bez własnych środków lokomocji, korzystając tylko z auto-stopu lub chodząc pieszo. Włączą się jak Marki po piekło. Marek Głogoczowski mógłby też, ale nie chciał. Może dlatego, że woli jeździć samochodem albo, co gorsza — miał zaplanowaną wycieczkę do Europy. Ale p. Głogoczowski za żadne skarby nie przyzna się, że coś zaplanował, ponieważ robi wszystko spontanicznie i nieodpowiedzialnie czyli „na wariata”. „Zamiast robić optymalną karierę według danej mi instrukcji — pisze p. Marek Głogoczowski — uciekłem na jeden kwartał do Europy...”. Teraz już wiemy kim jest p. Głogoczowski, a przynajmniej za kogo chce uchodzić. Za *enfant terrible*. Za rebelianta, który buntuje się przeciw oczekującej go pozycji naukowca na nudnym uniwersytecie, w nudnym kraju, wśród nudnych ludzi. W tym celu ucieka na trzy miesiące do Europy, po czym, jak należy sądzić — wraca. Bunt p. Głogoczowskiego nie budzi zaufania, ale koniec końcem jest to jego osobista sprawa. Natomiast wydaje się, że należałoby przestrzec czytelników *Kultury* przed trzypiotwością p. Głogoczowskiego i jemu podobnych w momentach, gdy publikują oni artykuły. Między innymi dlatego, że sprawa skutków supercywilizacji jest niezmiernie ważna. Nie mam pretensji do p. Głogoczowskiego o to, że nie chce się zająć nią poważnie, bo jak kto nie chce, to nie musi. Natomiast mam pretensje, że sieje dezinformację.

Generalną ideą krytyków supercywilizacji jest teza, że system kapitalistyczny zmusza ludzi do rozmaitych rzeczy, które ich stopniowo odczłowieczają. Mnie się wydaje, że niebezpieczeństwa należy szukać zupełnie gdzie indziej. Ze ludziom w istocie odechciewa się wielu rzeczy, których powinni chcieć. Zupełnie inny rodzaj obezwładnienia niż sugerują krytycy ze szkoły Marcuse'a.

Z poważaniem,

Zbigniew BYRSKI

KRAJ — BLOK WSCHODNI

13-8-71

W Warszawie zmarł, w wieku lat 45, Paweł Beylin, filozof, publicysta i krytyk muzyczny. ■ Z opóźnieniem dotarła do nas wiadomość, że 30 lipca br. w Przemyslu odbyła się uroczystość 50-lecia służby kapłańskiej głowy Kościoła Greko-Katolickiego w Polsce, generalnego wikariusza, O. Mitrata Wasyła Grynika.

15-8-71

Chińska Republika Ludowa zwróciła się do Izraela z propozycją nawiązania stosunków dyplomatycznych. Chiny Ludowe zostały uznane ostatnio przez Turcję, a w niedługim czasie uczyni to Grecja. ■ Kompleksowy program integracji gospodarczej krajów RWPG przyjęty przez zakończoną niedawno XXV sesję RWPG przewiduje między innymi rozpatrzenie i przyjęcie propozycji polskich, dotyczących zwiększenia wydobycia węgla energetycznego, miedzi i cynku na terytoriach PRL, drogą wspólnych inwestycji krajów członkowskich. Obszerny, kompleksowy, długodystansowy program integracji jest odejściem od autarchii gospodarczej, ale nie przewiduje powstania organów ponadnarodowych, jak to ma miejsce na obszarze Wspólnego Rynku. Kompleksowy program mówi jedynie o koordynowaniu planów narodowych, o konsultacjach zmierzających do zharmonizowania polityki gospodarczej, o specjalizacji i kooperacji produkcji, o ustaleniu realnego kursu walut i o przyszłej wymiennalności tych walut na obszarach RWPG. ■ Jak stwierdza GUS we wszystkich grupach gospodarstw rolnych wzrosło wyraźnie pogłowie bydła i trzody. Pogłowie trzody chlewnej wzrosło w ciągu ostatniego roku o 13,4 %, osiągając najwyższy poziom jaki zanotowano dotychczas w Polsce. ■ W Warszawie notowano rekordowe upały: 34-36 stopni powyżej zera. Codziennie wybuchało w całym kraju ponad sto pożarów, a długotrwała susza sprawia, iż stan wilgotności gleby budzi poważne obawy. ■ W PRL do roku 1975 mają wzrosnąć o połowę (w porównaniu z 1970 r.) dostawy materiałów budowlanych dla wsi. Nie pokryją one jednak zapotrzebowania. ■ Warszawa podjęła decyzję sprowadzenia do Kraju i złożenia na Westerplatte prochów dowódcy Westerplatte z 1939 roku, mjr. Henryka Sucharskiego. Zmarł on w Neapolu w 1946 roku i był pochowany na cmentarzu Casamassima koło Bari.

16-8-71

W ostatniej pięciolatce w Polsce wybudowano 21,5 tysięcy mieszkań dla nauczycieli w mieście i na wsi. Potrzeby szacuje się na 70 tysięcy mieszkań, które mają być wybudowane w ciągu najbliższych 10-ciu lat. ■ W PRL na wyjazdy służbowe wydaje się rocznie 7 miliardów złotych. ■ Na wyspie Wolin w Polsce odkryto ropę. Pierwszy szyb jest już w eksploatacji. Jeszcze nie wiadomo jak wielkie są złoża tej ropy.

17-8-71

PRL eksportuje do Stanów Zjednoczonych towary wartości 38 milionów złotych dewizowych, co stanowi 10 % polskiego eksportu do krajów kapitalistycznych. Ostatnie zarządzenia amerykańskie mogą wywołać poważne reperkusje w tym handlu. ■ W roku bieżącym 5 tysięcy studentów z Polski wyjechało na praktyki zagraniczne. 1.100 osób wyjechało do 15-tu krajów zachodnich, a do Związku Sowieckiego ponad 2.000 osób.

20-8-71

W Warszawie został zamordowany w tragicznych okolicznościach Jan Gerhard, pisarz, publicysta i poseł na Sejm PRL. Według rozpowszechnionej w Warszawie opinii Gerhard został zamordowany przez ludzi zainteresowanych w utrzymaniu tajemnicy śmierci Gen. Waltera Świerczewskiego, którego zamordowania był świadkiem.

21-8-71

Warszawa podjęła decyzję uruchomienia w latach 1980-82 pierwszej w Polsce elektrowni nuklearnej o mocy około 44 MW. Decyzja została spowodowana oceną, że polskie górnictwo węglowe po 1980 roku nie będzie w stanie pokryć zapotrzebowania energetyki. W budowie elektrowni nuklearnej Polska została wyprzedzona przez Związek Sowiecki i Niemcy Wschodnie; elektrownie takie Czechosłowacja i Bułgaria mają zbudować do 1975 roku, a Rumunia i Węgry do 1980.

22-8-71

Sąd w Koszalinie skazał sprawców usiłowania porwania łodzi motorowej w Darłowie na 12 i 11 lat więzienia. ■ W prasie krajowej ukazało się szereg artykułów poświęconych Pawłowi Jasienicy, które są swoistą rehabilitacją. Niemniej jednak nie przewiduje się wznawiania jego dzieł.

23-8-71

Zmarł Władysław Kiernik (lat 92), działacz ludowy, poseł do Sejmu Ustawodawczego (1919), minister rządu PR (1923 i 1925), więzień Brześcia, od 1932 roku na przymusowej emigracji w Czechosłowacji, minister w Tymczasowym rządzie Jedności Narodowej (1945), wiceprezes PSL, a następnie członek władz ZSL, poseł na Sejm PRL.

28-8-71

Władze polskiej spółdzielczości mieszkaniowej podają, że co dziesiąty obiekt przekazywany do użytkowania należy dyskwalifikować z powodu wad i usterek. ■ Komitet Pracy i Płacy PRL stwierdził, że nie uda się wykonać przewidzianego na bieżący rok planu stworzenia 13 tysięcy nowych miejsc pracy dla kobiet. Do 1 sierpnia przygotowano poniżej 1.000 stanowisk roboczych, a do końca br. ma przybyć około 5.000 miejsc pracy. Tenże Komitet podaje, że pierwszą w życiu pracę podejmie w tym roku około 324 tys. absolwentów szkół zawodowych i 13 tys. absolwentów szkół ogólnokształcących. Przewiduje się poważne kłopoty w zatrudnieniu w niektórych specjalnościach (m.in. absolwentów techników ekonomicznych) i dziewcząt.

1-9-71

Gen. Tadcusz Pietrzak został usunięty ze stanowiska komendanta głównego Milicji Obywatelskiej (pozostając nadal na stanowisku wiceministra spraw wewnętrznych). Na jego miejsce został mianowany płk Kazimierz Chojnacki, dotychczasowy komendant wojewódzki MO w Poznaniu. ■ Ignacy Łoga-Sowiński, b. przewodniczący Związków Zawodowych i b. członek biura politycznego, został mianowany ambasadorem PRL w Turcji. Po Kociółku w Belgii, Korczyńskim w Algierze jest to trzeci odpowiedzialny za wydzierżawienie grudniowe, który został „zesłany” na placówkę dyplomatyczną. ■ Szereg studentów usuniętych w marcu 1968 z wyższych uczelni wróciło na uniwersytety, m.in. na Politechnikę Warszawską. Jedynym, który konsekwentnie odrzuca podania o przyjęcie jest rektor Uniwersytetu Warszawskiego, Rybicki. ■ Za „ostoję” marcowego kursu uchodzi obecnie wojsko. Przemawiają za tym dwa fakty: *Żołnierz Wolności*, który jest obecnie najbardziej reakcyjnym pismem polskim, oraz cykl wykładów na Wojskowej

Akademii Technicznej zainspirowanych przez Kępcę, „że te same ciemne siły, które próbowały dokonać zamachu w marcu 1968 są odpowiedzialne również za wypadki na Wybrzeżu”. ■ Znany historyk sztuki, prof. Zdzisław Kępiński z Poznania, twierdzi, że 12 obrazów w kościele w Książnicach Wielkich (kieleckie) jest pędzla Wita Stwosza. Sensacja ta została przyjęta z dużym sceptycyzmem w środowisku historyków sztuki. ■ Podczas spotkania na Krymie przywódców demokracji ludowych (bez udziału Rumunii) został zawarty dodatkowo jednopunktowy protokół do Układu Warszawskiego, który rozszerza zakres „wzajemnej pomocy” także na wypadek konfliktu z Chinami, oraz przewiduje, że kraje wchodzące w skład Paktu Warszawskiego oddadzą w tym wypadku do 50 % wszystkich swoich sił zbrojnych. ■ Artur Starewicz „został zesłany” na stanowisko ambasadora PRL w Londynie.

3-9-71

Do Polski przyjechał Małcużyński, który przez cały miesiąc będzie dawał koncerty i recitale w ważniejszych miastach Polski, a specjalnie na Wybrzeżu.

4-9-71

XI plenum KC PZPR uchwaliło datę zwołania VI zjazdu partii na 6 grudnia br. oraz uchwaliło wytyczne: „O dalszy socjalistyczny rozwój PRL”. ■ W Poznaniu zakończył się VI kongres techników polskich w którym wzięło udział ponad 3.000 reprezentantów przeszło półmilionowej rzeszy inżynierów i techników polskich. Wbrew zapowiedziom kongres nie wniósł nic nowego w dziedzinie poprawy sytuacji ekonomicznej i technicznej PRL.

10-9-71

Na uniwersytecie w Kyoto (Japonia) powstała sekcja literatury polskiej. Jej założycielem i wykładowcą jest prof. Masanari Kobayashi — językoznawca przygotowujący obecnie słownik japońsko-polski i gramatykę języka polskiego. Prof. Kobayashi studiował swego czasu na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie oraz na Uniwersytecie Jagiellońskim.

11-9-71

W Moskwie zmarł, w wieku lat 77, N. S. Chruszczow. Czytelnikowi polskiemu należy przypomnieć, że w 1938 roku Chruszczow pacyfikował Ukrainę, w 1939 roku organizował wywózki setek tysięcy ludzi z terenów zajętych przez wojska sowieckie, w 1956 roku zaakceptował dojsię do władzy Władysława Gomułki i w tymże roku krwawo pacyfikował Węgry; kilka lat przed odejściem ze stanowiska pierwszego sekretarza partii sowieckiej proponował Gomułce ogłoszenie dokumentów dotyczących Katynia, które stwierdzały, że Katyń był dokonany przez Rosjan na polecenie Stalina i Berii, co przez Gomułkę zostało odrzucone.

18-9-71

Zwolniono z więzienia Karola Modzelewskiego, Jacka Kuronia i Macieja Kozłowskiego.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-8-71

Na X mistrzostwach lekkoatletycznych Europy złoty medal w rzucie oszczepem zdobyła Daniela Jaworska. Ponadto Polska na tych zawodach zdobyła 4 medale brązowe. ■ W Chislehurst pod Londynem otwarto nowy dom

dla starszych i samotnych zasłużonych Polaków. Dom liczy 30 pokoi mieszkalnych. Powstał on na miejsce starego „Antokolu”, który został zburzony.

16-8-71

Zebrań b. wychowanków i kadry Centrum Wyszakolenia Kawalerii w Grudziądzu w Londynie uchwaliło wydanie monografii historycznej C. W. Kawalerii i jego organów szkoleniowych. Przewodniczącym komitetu redakcyjnego jest b. komendant Centrum, gen. Józef Smoleński. Monografia będzie wydana w 1.000 egzemplarzy. Cena w przedpłacie wynosi £.stg. 3.00 za egzemplarz z przesyłką. ■ Wydawnictwo YMCA Press wraz z adwokatem Sołżenicyna wystąpiło na drogę sądową przeciwko wydawnictwu Flegon Press z powodu korsarskiego wydania książki „Awgust 1914”. Wydanie to jest fotokopią wydania YMCA Press, które posiada *copyright*. Nie jest pierwszy wyczyn Flegon Press. Szereg lat temu wydał on bezprawnie „Goworit Moskwa” Daniela, na które miał *copyright* Instytut Literacki.

19-8-71

Po upadku *Dziennika Chicagowskiego* zaczęły wychodzić w Chicago dwa tygodniki: jeden pt. *Polonia*, drugi pt. *Jedność*. Zespół redakcyjny *Polonii* stanowią redaktorzy *Dziennika Chicagowskiego*, wydawcą i redaktorem *Jedności* jest Zenon Kuczyński, który zapowiada, że jego tygodnik w krótkim czasie będzie przekształcony na dziennik.

20-8-71

W Toronto (Kanada) zmarła Irena Syput, b. więźniarka Ravensbrück, czynna działaczka *Polonii* kanadyjskiej. W ostatnich latach pracowała nad założeniem domu dla starców pod nazwą Wawel Villa Inc. Była również czynna w Towarzystwie Przyjaciół *Kultury*.

30-8-71

W NRF za najlepszą książkę w miesiącu wrześniu uznano wydany przez Neske Verlag „Dziennik” Witolda Gombrowicza. ■ W Divion (Francja) zmarł, w wieku lat 88, Jan Szambelańczyk, działacz społeczny *Polonii* francuskiej, założyciel i prezes honorowy Polskiego Zjednoczenia Katolickiego.

1-9-71

Dr Józef Lichten, dyrektor Anti-Defamation League of B'nai B'rith w New Yorku, opuszcza zajmowane stanowisko przenosząc się do Rzymu na okres jednego roku gdzie będzie konsultantem w sprawach katolicko-żydowskich. ■ O. Pedro Arrupe, generał zakonu jezuitów, udał się z wizytą do Związku Sowieckiego.

4-9-71

W Europie bawi Andrzej Chciuk znany pisarz, zamieszkały w Australii. W czasie swego pobytu miał on wieczór autorski w Tel-Awivie, w sali Związku Dziennikarzy. Następnie, 9 września br., w Zürichu — zorganizowany przez Kiermasz Książki Polskiej S.P.K., a 21 września br. w Domu Kombatanta w Paryżu. ■ W Mediolanie zmarł znany pisarz polski Edwin Jędrkiewicz, w wieku lat 82. Został pochowany w wiosce alpejskiej Torre Pellice.

14-9-71

Rząd Stanów Zjednoczonych przyznał PRL kredyt w wysokości 25 milionów dolarów na zakup produktów rolnych. Od 1 października 1970 Polska otrzymała ze Stanów Zjednoczonych kredyty na ogólną sumę 62,5 milionów dolarów.

15-9-71

W Niemczech Zachodnich ukazała się, w Hanser Verlag (Monachium), książka Karola Dedeciusa pt. „Deutsche und Polen”. ■ Oxford University Press wydał książkę prof. Heleny Łopata, dziekana departamentu socjologicznego na Loyola University pt. „Occupation: Housewife”. Książka ta z miejsca stała się *best-seller*'em. Dr Łopata, urodzona w Poznaniu, jest córką wielkiego polskiego socjologa, Floriana Znanieckiego. ■ Znany pisarz niemiecki Heinrich Böll został wybrany prezesem Pen Club'u na miejsce Pierre Emmanuel'a. Wybór miał miejsce w Dublinie na 38-ym kongresie Pen Club'u, który obchodził w tym roku pięćdziesięciolecie swego istnienia. W Kongresie bierze udział 500 pisarzy z 35-u krajów. Zw. Sowiecki przysłał trzech obserwatorów. ■ Z opóźnieniem dowiedzieliśmy się, że 17. VI. br. zmarł w Louvain dr Jerzy Bogdanowicz, wykładowca na uniw. w Louvain, wybitny lekarz, niezmiernie ceniony zarówno w Belgii jak i w kraju. Żył 47 lat. ■ Zmarł w Londynie, w wieku 84 lat, Ludwik Lawiński, jeden z popularniejszych aktorów zarówno w kraju przed wojną, jak i na emigracji. ■ Na festiwalach filmowych w Ottawie i Stratford (Kanada) pokazano m.in. filmy polskie. Na pierwszym wyświetlono „Brzezię” w reżyserii Andrzeja Wajdy i „Życie rodzinne” w reżyserii Krzysztofa Zanussi z Olbrychskim i Kreczmarem w głównych rolach, w Stratfordzie „Faraona” w reżyserii Jerzego Kawalerowicza. Oba festiwale mają charakter międzynarodowy i odbyły się we wrześniu br. ■ Joe Borowski, jedyny członek rządu w Kanadzie pochodzenia polskiego, górnik, działacz związku zawodowego United Steelworker's of America, zrezygnował z zajmowanych stanowisk z powodu wewnętrznych nieporozumień. Był ministrem dróg i robót publicznych w rządzie Nowej Partii Demokratycznej prowincji Manitoba. Wystąpił zdecydowanie przeciwko decyzji rządu udzielania dotacji szpitalowi w Winniepegu, w którym przeprowadza się zabiegi przerywania ciąży. Wypowiedział się w ogóle przeciwko przerywaniu ciąży. ■ Sergiej Kurdakow, 20-letni marynarz sowiecki, po 8 godzinach pływania dobił do brzegu miejscowości Tasu na wyspie Morseby w Brytyjskiej Columbii i poprosił o azyl polityczny. Ambasada sowiecka domagała się odesłania go na statek i możliwości porozumienia się z nim. Marynarz odmówił zobaczenia kogokolwiek z ambasady. ■ Joseph Romaniw, syn imigrantów ukraińskich, przybyłych do Kanady w 1912 roku, liczący obecnie 50 lat — został generałem. W czynnej służbie w lotnictwie jest od 32 lat i piastował po wojnie szereg odpowiedzialnych stanowisk zarówno w Kanadzie jak i w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Obok studiów wojskowych ukończył techniczne, jest inżynierem-mechanikiem i znakomitym pilotem. Jest pierwszym generałem ukraińskiego pochodzenia w kanadyjskich siłach zbrojnych.

Humor krajowy

JESZCZE O GOMUŁCE

Odejścia Wł. Gomułki najbardziej żałują w Polsce dzieci. To był najlepszy dziadzio na świecie — mówią. Do paciorka nie namawiał, do jedzenia nie zmuszał, a bajeczki opowiadał najpiękniejsze...



Gomułka wraca do domu i woła do żony: — Zośka, rozbieraj się!

— Zwarowałeś, czy co — odpowiada żona.

— Jak mówię rozbieraj się, to rozbieraj się!

Zaniepokojona Gomułkowa zdjęła sweter i spódnicę i patrzy.

— Wszystko zdejmuj, do naga!

Kiedy się rozebrała, Gomułka zaczął się jej uważnie przyglądać, a potem powiedział ze zdziwieniem:

— Nie rozumiem co oni widzą w tym strip-teasie...



PYTANIA I ODPOWIEDZI

— Na co umrze Gomułka?

— Na własną prośbę!



— Jak nazywa się okres, który przeżywa obecnie PRL?

— Bezwładzie...



— Co to są postulaty?

— Śluszne żądania klasy robotniczej, które będą spełnione po stu latach...



W Warszawie mówi się, że wkrótce ma nastąpić zmiana w rządzie Gierka. Mianowicie ministrem pracy ma zostać kardynał Wyszyński. Będzie uczył Polaków jak mają pracować za Bóg zapłać!



Milicja zatrzymuje na Nowym Świecie mężczyznę który biegnie krzycząc: „Niech żyje melioracja! Niech żyje melioracja!

— O co wam chodzi, obywatelu, co wy tu za hasła wykrzykujecie! Kto to jest melioracja?

— Mnie nie tyle o meliorację idzie — odpowiada zatrzymany — ale widzicie, ja jestem przeciw moczarom...

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł Edwarda Puacza o Kolegium Związkowym (*Kultura* nr 7/8, 1971) wywoła zapewne różne echa, przede wszystkim ze strony ludzi bliżej zainteresowanych sprawami tej uczelni. Zostawiam to na boku i dorzucam tylko kilka uwag na tematy ogólniejsze i marginesowe.

1. Wspomniane przez autora „specjalne studium, zorganizowane w Polsce przez kardynała Hlonda dla duszpasterstwa emigracyjnego” nie mogło powstać w latach kiedy Kolegium stawiało pierwsze kroki po roku 1912, bo Hlond został kardynałem co najmniej 15 lat później, a owo „studium” mógł założyć o wiele, wiele lat później. Czy tu nie chodzi o „Towarzystwo Chrystusowe”, czyli luźne zgromadzenie zakonne założone specjalnie dla duszpasterstwa na wychodźstwie? Powstało ono o wiele później a w Ameryce Północnej pojawili się Chrystusowcy na dobre dopiero po „październiku”.

2. Integracyjne czy asymilacyjne dążenia hierarchii katolickiej w Stanach Zjednoczonych to sprawa sięgająca o wiele dalej w przeszłość niż okres po II Wojnie jak pisze Puacz. Kiedy się po roku 1830 pojawili emigranci niemieccy, biskup Filadelfii, przeniesiony później do Baltimore (1830-63) Francis P. Kerick zakazał im śpiewać w kościele pieśni niemieckie i był oburzony, gdy je usłyszał w czasie wizytacji biskupiej. Wielkim promotorem asymilacji był po nim arcybiskup John Ireland, którego wpływy sięgały daleko poza jego archidiecezję „St. Paul and Minneapolis”. Lata po I Wojnie to też czasy wzmożonej akcji integracyjnej zwłaszcza w szkołach.

3. Wielki kryzys gospodarczy, który się rozpoczął przed rokiem 1930 i trwał kilka dobrych lat zadał polskości potężne ciosy, rozpraszając bezrobotnych w poszukiwaniu zarobku. Tysiące Polaków pozmieniało wtedy swe nazwiska odrzucając końcówki „ski” i „wicz” lub tłumacząc je na język angielski (np. Kaczorowski na Drake, dosłownie „Kaczor”). Rodzice zaczęli się wtedy głośno domagać likwidacji języka polskiego w szkołach parafialnych, jako że polszczyzna nie pomagała wcale w zdobyciu pracy zarobkowej a nawet „psuła akcent angielski”. Lata późniejsze pozwoliły nadrobić braki materialne wywołane kryzysem, ale innych szkód nie dało się już naprawić.

Jak z tego wynika na losy polszczyzny i wszystkiego co się określa jako „polonijne” miały wpływ różnorakie czynniki, na które nie mieli wpływu nawet najlepsi przywódcy organizacji polonijnych i kościelnych.

4. Zdaniem Puacza przywódcy polonijni oświadczają, że „głównym celem jest, aby zorganizowane życie Polonii szło kursem wytkniętym 50, 70 czy nawet 100 lat temu”. Nie zaprzeczam, że konserwatyzm był i jest jeszcze silny w kołach polonijnych, ale chodzi tu chyba nie o nastawienie czołowych prezesów oraz ich bezpośredniego otoczenia. Trzeba pamiętać, że te wielkie związki, ligi i zjednoczenia są zrzeszeniami składającymi się z towarzystw lokalnych lub parafialnych i że ów konserwatyzm tam właśnie ma swoje

źródło. Prezesi i prezeski w takich stowarzyszeniach pozostają na urzędach przez dziesiątki lat, czasem po prostu dlatego że w miejscowej konfiguracji nie ma nikogo, żeby ich zastąpił, a czasem nikt im nie chce „robić przykrości” głosząc na kogoś innego. To też przeszkadza światłym nieraz liderom naczelnym w odmładzaniu tych wielkich organizacji: w Chicago i na sejmikach nawołuje się do pozyskania młodszego pokolenia, ale w terenie nastroje są takie, że tych młodszych, zwłaszcza z emigracji najnowszej, odstrasza.

5. Gdy zaś chodzi o polonistykę w Kolegium Związkowym, to właśnie w czasie, gdy obejmował jego zarząd ustępujący obecnie prezydent, słyszałem tam od przedstawicieli grona profesorskiego, że czas na podkreślenie nauk ścisłych technologii, a nie na polonistykę, która „studentom chleba nie da”. Dziwne, że tak niedawne nawoływania do pielęgnowania nauk ścisłych już poszły w zapomnienie. Dziwne i nie do wiary. Czy kto przeprowadzał w tej sprawie prawdziwe „badanie opinii publicznej” wśród Polonii, w szeregach ZNP i wśród studentów lub kandydatów na studentów? Zapewne będzie o tym mowa na Sejmie ZNP i coś się wtedy dowiemy.

6. Językiem wykładowym we wszystkich szkołach parafialnych jest język angielski, bo tylko ten język może przygotować młodzież do życia w Ameryce i umożliwić im wstęp do szkół średnich i wyższych. Większość szkół parafialnych obywateli bez nauki polskiego i bez szkolek sobotnich, a i te nie mogą nauczyć zbyt wiele, bo co to jest trzy godziny raz na tydzień, jeżeli dziecko nie słyszy języka polskiego w domu i nie posługuje się nim nawet z rodzicami! Szkoły takie mają jednak swe znaczenie dla parafii, która jako całość jest jednak nadal przynajmniej w pewnych sprawach pewną ostoją polskości, jeżeli nie językowej, to kulturalnej.

A. S.

(Adres i nazwisko znane Redakcji)

Paryż, 10 września 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

List p. Zygmunta Gabryszewskiego, zamieszczony na str. 156 (*Kultura* Nr 9/288), jest doskonałą próbą otchłani w jakiej żyją i prosperują pewni przedstawiciele — wierzymy, że niezbyt licznej — społeczności ludzkiej w ogóle, a polskiej w szczególności, a interesuje nas w danej chwili ta ostatnia. Przy tym autor tego listu mieszka w Stanach Zjednoczonych! Można sobie wyobrazić jego *alter ego* w PRL...

To już nie jest antysemityzm, na to nie ma słów, to są plwociny, charkoty, ekskrementy, które najwidoczniej stanowią wyłączone załodzenie tej zbuntowanej mózgowicy.

Zachodzę w głowę, co skłoniło Redakcję do zamieszczenia tego plugastwa zanieczyszczającego jej łamy, które dla mnie rozbrzmiewają na ogół tak górnymi tonami. Z podobnymi wypowiedziami nie podobna dyskutować.

Zestawienie tego „listu” z umieszczoną tuż obok wypowiedzią Henryka Grynberga jest jakże bardzo wymowne...

Z poważaniem,

Szymon LAKS

Możemy z miejsca p. Laksowi wyjaśnić, że list p. Gabryszewskiego został zamieszczony z tych samych powodów jak list jego i p. Grynberga. Liberalizm naszym — może mylnym — zdaniem jest wtedy, gdy go się stosuje do *wszystkich* a więc i do poglądów nam obcych czy nawet wrogich. Za liberalizm nie uważamy metod sowieckich — jedynie stosowanych „na odwrót”. — Redakcja.

Paryż, 12 września 1971.

Do Redakcji „Kultury”.

W numerze 9/288 (1971) znalazłem notę biograficzną Andrzeja Brychta. W nocy tej przeczytałem między innymi: „... w 1962 nagroda literacka Fundacji im. Kościelskich w Genewie (wspólnie z S. Mrożkiem)”.

Wyjaśniam, że nigdy nie napisałem żadnego utworu wspólnie z Andrzejem Brychtem. Prawdopodobnie więc słowo „wspólnie” ma oznaczać, że Fundacja im. Kościelskich przyznała nagrody zarówno Andrzejowi Brychtowi, jak i mnie.

Jednakże w takim razie powstaje pytanie, dlaczego nie wymieniono również nazwisk co najmniej kilkudziesięciu osób (jeżeli ich liczba nie przewyższyła już setki) które są laureatami nagrody im. Kościelskich, wyróżniając jedynie moje nazwisko. Jeżeli już autor noty odczuwał potrzebę wymienienia tylko jednego nazwiska, obok nazwiska Andrzeja Brychta, to uważam, że należało to nazwisko wyłonić drogą losowania.

Z poważaniem,

Sławomir MROŻEK

10 sierpnia 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Kolejna, smutna rocznica Powstania Warszawskiego oraz wznowione zainteresowanie sprawą Katynia, nastrojają refleksyjnie. Aż dziw, że dotychczas żaden z historyków i publicystów parających się tymi tematami, nie dostrzegł pewnowy łączącej oba te wydarzenia, tak w dziejach Polski tragiczne. Nasuwa się tu analogia z historią południowych sąsiadów Polski — Czechów, którzy pod Białą Górą stracili kwiat szlachty, co na długi czas zdeterminowało ich drogę rozwojową, otwierając wrota ekspansji żywiołu niemieckiego.

W moim przeświadczeniu Katyń stanowił odpowiednik Białej Góry, gdyż i tu i tam zainteresowane narody poniosły bolesną stratę biologiczną. Katyń pozbawił przecież Polskę kilkunastu tysięcy oficerów, stanowiących element patriotyczny, antysowiecki i bojowy, otwierając wrota do ekspansji ruchu, który wbrew intencjom jego ideowych uczestników, miał stać się forpczą sowietyzacji Polski. Tak więc logika nakazuje, aby kontrowersyjne wydarzenia związane z Powstaniem Warszawskim, oceniać jako kolejny, konsekwentny krok, podyktowany bezwzględnością Stalina, dążącego w tym rejonie do absolutnej dominacji i uważającego się — słusznie — za kontynuatora polityki rusyfikacyjnej carów. Likwidacja Powstania Warszawskiego — pomijając elementy emocjonalne — była śmiertelnym ciosem w najaktywniejsze i najżywoźniejsze centrum Armii Krajowej oraz elementów zdolnych do utrudnienia dziejowej misji rosyjskiej tak, jak ją widział współczesny car totalitarnego imperium. Był to więc kolejny akt brutalności politycznej obliczonej na wykrwawienie patriotycznej i opozycyjnej elity narodowej, akt wynikający z rosyjskiej racji stanu — tak jak ją Stalin pojmował.

I wreszcie akt trzeci, który nazwałbym epoką „Targowicy z Targówka”. Jest to nagonka antyrewizjonistyczno-antysemicka idąca w parze z kampanią antyinteligencją. To polityka kadrowa preferująca elementy ćwierćinteligentkie, to równanie w dół, selekcja *in minus* stanowiąca odwrotność darwinowskiej selekcji *in plus*, cała ta produkcja marcowych docentów i profesorów z łapanek, forsowanie do władzy ludzi prymitywnych, bezideowych karierowiczów i potakiewiczów, *yes-men*ów. W ten sposób tradycje arystokra-

tycznej i szlacheckiej Targowicy przejęła dziś warstwa ludzi bez twarzy, wywodzących się z politycznego motłochu, sprawująca — jak to celnie określono na Krakowskim Przedmieściu — rządy ciemniaków. Król umysłowych nędzarzy odszedł wprawdzie — ale generałowie zostali. Tezę tę można poprzeć listą nazwisk ludzi, znanych mi osobiście na tyle, by wiedzieć, że reprezentują nędzę charakteru i umysłu i by wiedzieć, że właśnie te, a nie inne, cechy predestynują ich do zajmowania najbardziej eksponowanych stanowisk. To dzięki nim Polska przepadła rola dużej, zachodniej guberni, pacyfikowanej umiętną polityką kadrową prowadzoną pod hasłem „im gorzej — tym lepiej”. — Dla Rosji.

Zmieniły się, Panie Redaktorze, środki, bo i zmieniły się czasy, dyktujące nową dialektykę władzy, ale cele — cele pozostały niezmiennie te same i droga wiodąca do nich przez hekatombę Katynia i Warszawy prowadzi dzisiaj przez Targowicę z Targówka. Dzielnica ta w geografii stołecznej jest twierdzą cwaniaków p. Wiecha i nie przebiegających w środkach, wielkomijskich lumpów.

Z poważaniem,

Jerzy ROS

Stevens Point, Wis., 25 lipca 1971.

Wielce Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Ostatnio przeglądałem stare roczniki *Kultury*. Przy tej okazji natrafiłem na artykuł W. A. Zbyszewskiego „Stéphane Aubac” (*Kultura* nr 6/44, 1951, str. 89-93). Musiałem czytać ten artykuł w swoim czasie, ale go nie pamiętałem. Przeczytałem go powtórnie, bo to problem Żydów, związanych z polskością, polskich patriotów, który z wielu względów dziś wymaga więcej uczciwej uwagi niż kiedykolwiek może w dziejach.

Artykuł Zbyszewskiego jest świetnie napisany z tym posmakiem salonowej gawędy po kawie, właściwym wielu jego artykułom. Ale jest to jedynie błyskotliwe skwitowanie faktu śmierci kogoś z własnej grupy zawodowej, kogo można, nawet po śmierci, poklepać po plecach tak po szlagońsku, jak się klepało swego Żyda — pachciarza. Stéphane Aubac zasługiwał i zasługuje na głębsze studium. Do wiadomości przekazanych czytelnikom — i historii — przez Zbyszewskiego chciałbym od ręki dodać kilka innych, które są warte pamięci.

Walka Aubaca o dobre imię Polski nie zaczęła się w roku 1925 z inicjatywy polskiej ambasady w Paryżu i na zasadzie źle odpłatnych zamówień, jakby to można zrozumieć z artykułu Zbyszewskiego. Już bowiem w roku 1919 wydał on mocną broszurę: *Les dessous d'une campagne; la Question Juive en Pologne et les opinions socialistes sur les „pogroms”*, zdaje się nie znaną Zbyszewskiemu. Broszurę tę wprowadził w świat życia intelektualnego Victor Charbonnel, sekretarz generalny Koła Berthelot Unii Kół Obywatelskich (Union des Cercles civiques). W tej broszurze Aubac mierzy się z potężnymi ośrodkami antypolskiej propagandy w całym świecie, z potężnymi wrogami Polski jak to nazywał wcześniej Georges Brandes. W niej to Aubac zdemaskował fakt opublikowania przez *New York Herald* (26 maja 1919 roku) fotografii z pogromu w Kiszyniewie z roku 1905 jako rzekomej fotografii „polskich pogromów” w roku 1919, podanej czytelnikom przez *New York Herald* pod znamiennym tytułem: „Jews Robbed, Murdered and Driven From Homes in Polish Pogroms”. Ta sama fotografia mordów rosyjskich, przypisywanych Polakom, była ogłoszona w roku 1905 przez *Colliers Weekly* jako ilustracja pogromu kiszyniewskiego. Aubac to wykrył i opublikował zaraz w roku 1919. W tej samej broszurze Aubac zebrał oficjalne

oświadczenia przywódców narodu polskiego, Polaków i Żydów, wyrażające ich zdeterminowanie w ustalaniu podstaw życia w Polsce, opartych o pełną tolerancję, szacunek i równouprawnienie Żydów. Broszura oczywiście ma cechy głębokiego zaangażowania i walki o Prawdę w ogóle, a o prawdę o Polsce w szczególności. Nie ma żadnych cech mechanicznego wypełniania „zamówienia”. Już wtedy też Aubac miał za sobą poważne pozycje dziennikarskie jako korespondent *L'Intransigeant* w Piotrogradzie (w czasie wojny i rewolucji) i w Warszawie.

Charakterystyczne, że Aubac użył jako motta słów Juliana Unszlichta, późniejszego księdza katolickiego i kapelana robotników polskich we Francji. Warto chyba je przytoczyć: „*Nous sommes saisis de honte et de douleur, nous, Polonais d'origine juive, conscients de cette origine, en voyant la trahison inouïe dans les annales de l'humanité, que les Juifs ont commise à l'égard de la patrie qui leur fut si hospitalière, et cela à l'une des heures les plus exceptionnellement critique de son histoire. Julien Unszlicht, Polonais d'origine juive...*”. Na kopii broszury, którą dwa lata temu szczęśliwie dostałem od ks. Jean Molin, wykonawcy testamentu ks. Unszlichta, jest też ciekawa dedykacja autora: „*A Julien Unszlicht — en communion de buts et de pensées. Affectueusement St. Aubac. Paris, le 2 Sept. 1919*”. Ta wspólnota celów i myśli wskazuje na głębsze zaangażowanie Aubaca w walce przeciw tym skrzydłom międzynarodowego socjalizmu, które zdecydowanie występowały przeciw niepodległości Polski — używając nie raz kłamstw i fałszu.

Twierdzenia Zbyszewskiego co do stosunków wzajemnych Aubac-Sikorski też by wymagały korekty i uzupełnień. Pamiętam z rozmów z prof. St. Kotem, że Aubac spełniał przez dłuższy czas funkcje jakby szefa protokołu dyplomatycznego i aranżował kontakty międzynarodowe dla polskiego rządu we Francji, w czasie wojny. Za te usługi specjalnego wynagrodzenia nie pobierał, ale rachunki wydatków tych spotkań były zwykle tak wysokie, że i Sikorski i Kot trochę się pod ich ciężarem uginali. Zawsze jednak oczywiście widzieli dużą użyteczność jego usług i kontaktów i wielką lojalność dla sprawy Polski i dla jej rządu. Nie szczędzili też wysiłków, aby Aubacowi zapewnić dostatniejsze życie niż sądzi Zbyszewski. Kot opowiadał o Aubacu oczywiście wesołe anegdoty — ale zawsze z wielką sympatią i ciepłem. Myślę, że Sikorski zachował do niego taki sam stosunek.

Osoba Aubaca głęboko tkwiła w sprawach walki o niepodległość Polski. Jest też ciekawym przykładem pracy dziennikarskiej. Nadaje się jako temat do jakiejś rozprawy, np. na pracę magisterską w studiach dziennikarskich czy historycznych. Piszę ten list właśnie z myślą, że *Kultura* poświęci tej osobie trochę miejsca, aby ewentualnie przyczynić się do rozbudzenia więcej zainteresowania kolorowymi postaciami Żydów-Polaków, które w dziejach przyczyniły się do walki o niepodległość Polski. Być może, że te uwagi i informacje wywołają jakąś reakcję, która może spowodować zebranie więcej wiadomości o jednym z Auerbachów, spośród których wielu dało wiele dla dobra ogólnego Polski.

Z wyrazami najlepszych pozdrowień,

Wacław W. SOROKA
Department of History, Wisconsin
State University in Stevens Point

Montreal, 15 sierpnia 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Zobowiązany jestem red. Benedyktowi Heydenkornowi, że zechciał omówić moją książkę pt. „*Polish contribution to arts and sciences in Canada*” na

łamach Pańskiego poczytnego pisma (*Kultura*, nr 7/286-8/287 z lipca i sierpnia br., str. 214-216). Ponieważ jednak wysunął on pod jej adresem kilka zarzutów, pragnę na nie odpowiedzieć.

Zgadzam się, że rozbieżność między datą wydania książki i datą, do której doprowadzone są dane, zawarte w tej publikacji (1967/68), niewątpliwie obniża jej wartość dokumentacyjną, przy czym, z niewiadomych mi przyczyn, widnieje na stronie tytułowej rok 1969, gdy praca ukazała się w druku w początkach grudnia 1970. Na moje usprawiedliwienie muszę wyjaśnić, że przed oddaniem maszynopisu do druku, wysłałem kilkanaście okólników o zamierzonej publikacji do rozmaitych drukarni, prosząc o oferty. Wybrałem oczywiście najkorzystniejszą ze względu na cenę druku i termin wykonania książki. Powierzylem więc druk, który miał trwać trzy miesiące polskiemu przedsiębiorstwu w Londynie. W rzeczywistości czekać musiałem na gotowe egzemplarze z górą dwa lata. Gdybym był na miejscu w Londynie, dopilnowałbym zapewne terminu i staranniejszej korekty. Mieszkając w odległej Kanadzie, możliwości moje były ograniczone. Chcąc dopomóc polskiej inicjatywie prywatnej, wyszedłem trochę, jak „Zabłocki na mydle”. Muszę podkreślić, że w głównej mierze zawdzięczam ukazanie się tej książki ludziom mi życzliwym w Londynie, którzy zanudzali drukarnię częstymi wizytami i telefonami w mojej sprawie. W przeciwnym wypadku nie wiem, czy w ogóle by książka ta ujrzała światło dzienne ponieważ na liczne moje listy, skierowane bezpośrednio do drukarni w sprawie ustalenia szczegółów technicznych, terminu wykonania książki i wzajemnej współpracy, nie otrzymywałem żadnej odpowiedzi.

Nie wiem, jak p. Heydenkorn wyobraża sobie „podmurowanie” polskiego wkładu do kultury kanadyjskiej. Wydaje mi się, że obiektywne zestawienie osiągnięć poszczególnych osób spełnia całkowicie zadanie. Podkreślając w większości wypadków rzeczywisty wkład wspomnianych w książce artystów, naukowców i inżynierów do życia w Kanadzie, celowo unikałem własnych sądów i komentarzy, jako rzeczy ryzykownej, zwłaszcza, że większość tych ludzi żyje i mogłaby mieć do mnie uzasadnione pretensje. Daleki więc byłem od wyrażania własnych opinii, czy prób spoinowania poszczególnych osiągnięć. „Sos”, czy jak kto woli „podmurowanie” nie we wszystkich książkach jest wskazane, a zwłaszcza typu encyklopedycznego, czy biograficznego, jak moja. Nie wiem też, dlaczego p. Heydenkorn mimochodem tylko wspominał o danych statystycznych w mojej publikacji (str. 256-259), które stanowią, moim zdaniem, pozytywny materiał do dalszych badań i są pierwszym tego rodzaju opracowaniem. O zainteresowaniu, jakie te dane wzbudziły świadczy fakt, że są one podkreślane we wszystkich prawie poważnych recenzjach, które utrzymuję z całego świata. (*Nota-bene*, statystyka ta posłużyła za materiał do odczytu dr. Witolda Babińskiego pt. „*Polacy w Quebecu i Kanadzie, wczoraj, dziś i jutro*”, który się odbył w lokalu Stowarzyszenia Polskiego w Montrealu na wiosnę br.). Przykro mi, że nad tym fragmentem mojej książki red. Heydenkorn przechodzi do porządku dziennego. Widocznie różne osoby stosują różne kryteria do tych samych zagadnień.

Czytamy dalej, że „... w bardzo zwięzłym zarysie historycznym będącym prezentacją czołowych, zdaniem autora, osobistości, znajduje się kapitalny błąd. Pisze on, iż „ponad połowa 330.000 Polaków przybyła do tego kraju po drugiej wojnie światowej”. Twierdzenie to jest sprzeczne ze stanem faktycznym...” itd. Nie wiem, z jakich źródeł czerpał p. Heydenkorn, aby stwierdzić, że Polaków przybyło po wojnie do Kanady (do 1967 roku włącznie) tylko 102.376. Jedynym wiarygodnym źródłem są w tym zakresie oficjalne roczniki statystyczne, publikowane przez Rząd w Ottawie. Otóż, ogólna liczba imigrantów narodowości polskiej za lata 1945 do 1967 włącznie, według tabeli „*Nationality of immigrants*” wynosi 129.298. Jeżeli przyjąć za podstawę do kalkulacji cyfrę 323.513 wymieniona przeze mnie liczba 129.298 wynosi ok.

40 % całości. Ponieważ jednak, jak sam p. Heydenkorn pisze, cyfra 323.513 odnosi się nie do Polaków, a jedynie do „osób polskiego pochodzenia etnicznego”, przeto ilość Polaków jest w rzeczywistości mniejsza. W tym wypadku moje twierdzenie nie bardzo odbiega od prawdy. Nie wiem, czy to niewielkie odchylenie, jeżeli w ogóle istnieje, można nazwać „kapitałnym błędem”. Ja bym to ostatecznie nazwał drobną usterką. Ale to jest kwestia terminologii.

W końcu uwaga red. Heydenkorna dotyczy osoby inż. W. A. Wyszkwoskiego. Gdzie pisałem, że Wyszkwoski w charakterze architekta projektował Scarborough College?? Na str. 280 książki wspominałem jedynie, opierając się zresztą na jednym z jego listów do mnie, że „... under his supervision the following projects were being made: ... (tu następuje wyliczenie) and University of Scarborough buildings (heating, ventilation, air conditioning, lighting, sewerage etc.)”. Wydaje mi się, że projektowanie ogrzewania, wentylacji i rurociągów kanalizacyjnych w żaden sposób nie da się podciągnąć do kompetencji architekta, jak tego chce p. Heydenkorn.

Pozostałe komentarze Recenzenta wezmę pod uwagę, opracowując następne wydanie mej pracy, o ile zajdzie tego potrzeba.

Łączę wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia,

Andrzej WOŁODKOWICZ

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 4^e Trimestre 1971.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznia	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ A. 1,50	\$ A. 8,00	\$ A. 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guaiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	F. h. 54,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 24 Facer Str, St. Catharines, Ontario, Jozef Polkowski, 110 Cobourg Street, apt. 301. Ottawa 2, Telefon: 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskörgatan 3/IV, 115 33 Stockholm	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczukowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziewanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W. Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; Edward Posnylak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F.82; półroczna F.45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 203 - ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

Przekład Józefa Łobodowskiego

Str. 480.

Cena F. 40 (dol. 8,50; £ 3.40)

TOM 208 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY

Zawiera m.in.: W. Babiński: *Prasa angielska w sprawach polskich na przełomie lat 1943-1944*; St. Kirkor: *Próby dobrojenia Polski i Ewakuacja Min. Skarbu w 1939 r.*; Józef Beck: *Preliminaria polityczne do wojny 1939 r. i Komentarze do historii dyplomatycznej wojny 1939 r.*; A. Ciołkosz: *„Dzielnica żydowska” obozu w Jabłonie oraz szereg innych artykułów, RELACJE i WSPOMNIENIA — POLEMIKI — RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 256.

Cena F. 18,50 (dol. 4,00; £ 1.50)

TOM 209 - SERIA “DOKUMENTY”

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

SOCJOLOGIA KLĘSKI

(Dramat gomułkowskiego czternastolecia)

zawiera następujące rozdziały:

Przer.mowa. — Pytania wstępne. — Program-utopia — czy manewr taktyczny. — Gospodarze bezdroża. — Odbudowa i rozkład aparatu partyjnego. — Koniec jedności i „parcelacja centralizmu”. — Komentarz do wyłączeń marcowych. — Produkty rozkładu. — Rachunek społecznego sumienia. — Kilka wniosków. Oraz ANEKSY: Uwagi o aktualnej sytuacji kraju. — Michała Kaleckiego „Uwagi o planie gospodarczym na lata 1966-1970”. — List autora do Wł. Gomułki z 11 marca 1970 roku. — „Refleksje nad dyscypliną”. List autora do *Trybuny Ludu* z 5 lutego 1971. — Przed użyciem wstrząsnąć (Refleksje nad zastosowaniem nauki).

Str. 136

Cena F. 14 (dol. 3,25; £ 1.25)

Cena 7,50 F